MIĘDZY ZWIĄZKIEM SOWIECKIM A ROSJĄ

Czy Putin jest Stalinem 2.0? – analizuje Adam Wielomski



Sądy w Polsce – coraz bardziej nierychliwe i niesprawiedliwe

KOŚCIÓŁ KATOLICKI KAPITULUJE PRZED HOMOSEKSUALISTAMI?

USA zajmują miejsce Rosji na europejskim rynku ropy i gazu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 46/655 10–16 LISTOPADA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Polowanie na Brauna

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 46 >

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl cd4abdcfc8



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

PiS walczy o odzyskanie wyborców Brauna

Trudno powiedzieć, na ile prawdziwe były doniesienia Wirtualnej Polski z zeszłego tygodnia, zgodnie z którymi Jarosław Kaczyński miał wystraszyć się rosnącego poparcia dla Grzegorza Brauna i podjąć w związku z tym stosowne kroki. Cytuję za wp.pl „Dlatego [Jarosław Kaczyński] wymyślił plan: wyśle w kolejnych wyborach na ścianę wschodnią najbardziej radykalnych polityków swojego ugrupowania, by odbić zawiedzionych wyborców PiS, którzy dziś są za Konfederacją Korony Polskiej. – Mamy zakładać biura poselskie, być w terenie, odzyskać wiarygodność – przyznają źródła z PiS". Wp.pl powołuje się na różne źródła w PiS. Z wypowiedzi polityków wynika, że o jakiejkolwiek współpracy z Braunem nie ma tam mowy. Czy chodzi o to, że wystawiłoby to PiS na ataki Tuska, czy o niechęć prezesa PiS do byłego reżysera – trudno powiedzieć.

Nie ma natomiast wątpliwości co do tego, że odpływ wyborców z PiS postępuje. Przypomnę, że w pierwszej turze wyborów prezydenckich, kiedy to Karol Nawrocki zebrał wyłącznie głosy elektoratu PiS-owskiego, wystarczyło mu ich na zajęcie dopiero drugiego miejsca. Wtedy Grzegorz Braun dostał 1,3 mln głosów, czyli ponad 6 proc. Dzisiaj zdarzają się sondaże, które dają mu 9 proc., co – biorąc pod uwagę zmasowaną i wrogą kampanię medialną – może wskazywać na to, że cieszy się on nawet większą sympatią. „Wyborcy partii Brauna to niemal w stu procentach wyborcy PiS z 2023 r. Ci wyborcy są zmęczeni partią Kaczyńskiego. Braun, jak wskazują badania, może być niezbędny do stworzenia koalicji na prawicy" – mówi w rozmowie z wp.pl socjolog Łukasz Pawłowski.

Najważniejsze jednak i najciekawsze z mojego punktu widzenia jest to, w jaki sposób partia prezesa Kaczyńskiego zamierza walczyć o odzyskanie wiarygodności. Otóż PiS chce wysłać swoich najbardziej radykalnych (choć oni sami wolą określenie „wiarygodni") polityków na ścianę wschodnią i na południe Polski. Doprawdy, jeśli tak się rzeczy mają, to sytuacja w PiS jest gorsza, niż myślałem.

Znaczyłoby to bowiem, że kierownictwo rządzącej Polską osiem lat partii nadal niewiele zrozumiało z własnej przegranej w październiku 2023 r. Wychodziłoby bowiem na to, że cała koncepcja sprowadza się ostatecznie do udawania. Żeby odebrać Braunowi poparcie, należy wysłać – tak rozumuje szefostwo PiS – do trudnych okręgów tych, którzy wydają się zastępować Brauna. Wyraźnie widać, czego PiS nauczył się, sprawując władzę: dobra sztuka prestidigitatora jest najskuteczniejszą metodą zdobywania władzy. Nie trzeba rozliczyć się z błędów, nie warto zastanowić się, z jakich to powodów wyborcy tak masowo odeszli od popierania nominalnie prawicowego ugrupowania. Wystarczy posługiwać się hasłami i politykami jak kartami w talii. Doprawdy, jeśli informacje podane przez portal są prawdziwe, to wróży to przyszłości partii prezesa jak najgorzej.

Czy naprawdę ktoś w centrali partyjnej wyobraża sobie, że na południe i wschód Polski wystarczy wysłać twardych retorycznie przeciwników Zielonego Ładu i jednocześnie w Warszawie nadal brylować będzie w mediach, jak to robi nieustannie, były premier Mateusz Morawiecki? Czy mocne hasła przeciw polityce imigracyjnej przykryją sprowadzenie za czasów PiS do Polski rekordowej liczby migrantów zarobkowych? Jak przykryć fakt buńczucznej, prowojennej retoryki PiS i jednocześnie całkowitej uległości wobec Kijowa? Jak wytłumaczyć to, że w czasie rządów Mateusza Morawieckiego Polska przekazała Brukseli dużą część kompetencji państwowych? Czy opowieści prezesa o tym, że sojusz z USA zapewnia Polsce suwerenność, wystarczą, żeby zapomnieć o tym, jak Polska była traktowana przez amerykańskich ambasadorów po roku 2015? Czy można przejść do porządku dziennego nad podporządkowaniem owej tak chwalonej przez polityków PiS Ameryki wpływom Izraela? To wszystko są realne powody utraty zaufania.

Najkrócej mówiąc, nie da się przy pomocy podróbki zastąpić oryginału. Powodzenie Grzegorza Brauna jest prostym efektem rozczarowania słabością rządów PiS. A ta słabość wynikała z błędnej strategii i ciągłego dostosowywania się do presji czy to Brukseli, czy to Waszyngtonu z czasów Joe Bidena. Retorycznej swadzie nie odpowiadały prawdziwe działania.

Już bardzo dawno temu pewien grecki filozof zauważył, że nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki. Tymczasem można odnieść wrażenie, że na tym ma polegać obecny plan PiS. Może się łatwo okazać, że taka strategia – wysłanie używających podobnej retoryki co Braun polityków PiS – jedynie przyspieszy odpływ zniechęconych wyborców. Wystarczy, że zderzą te wypowiedzi nowych „radykalnych" liderów z pamięcią o realnej działalności tandemu Mateusz Morawiecki-Andrzej Duda.

Polityka jest, owszem, sztuką udawania. Ale tylko do pewnego stopnia. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



TEMAT TYGODNIA

16 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
POLOWANIE NA BRAUNA
Nagonka na lidera Konfederacji Korony Polskiej

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MIAŁO NAS NIE BYĆ
15 lat Marszu Niepodległości

23 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
KACZYŃSKI JEST WIĘŹNIEM PRZESZŁOŚCI

26 ŁUKASZ WARZECHA
SĄDY W POLSCE – CORAZ BARDZIEJ NIERYCHLIWE I NIESPRAWIEDLIWE

29 PIOTR SEMKA
KOCHAJ I RÓB, CO CHCESZ?

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
DROGOWA PARANOJA RZĄDU

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
POLSKA JEST JAK „HEWELIUSZ”
Nowy hit streamingu

36 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
RAPORT Z ZAMKNIĘTEGO MIASTA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 ADAM WIELOMSKI
CZY PUTIN JEST STALINEM 2.0?
Między Związkiem Sowieckim a Rosją

46 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ KATOLICKI KAPITULUJE PRZED HOMOSEKSUALISTAMI?



50 FILIP MEMCHES
SEKSUALNI DRAPIEŻCY Z PRZYWILEJAMI

HISTORIA

52 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
PEKIN POTĘŻNIEJSZY OD MOSKWY
Konflikty rosyjsko-chińskie

56 PIOTR WŁOCZYK
JAK PÓŁNOCNOKOREAŃSKI REŻIM PORYWAŁ JAPOŃCZYKÓW

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
PARTIA WOJNY TRZYMA SIĘ MOCNO
„Jastrzębi” dyktat na Kremlu

62 JAN BOGATKO
NIEMCY O ZMROKU

66 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP BRONI WYZNAWCÓW CHRYSTUSA

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
USA ZAJMUJĄ MIEJSCE ROSJI NA EUROPEJSKIM RYNKU ROPY I GAZU
Energetyczna gra mocarstw

SPORT

74 ROZMOWA Z MARKIEM HORBANIEM
POLSKI KLUB W UKRAIŃSKIEJ LIDZE
Niepewna przyszłość Pogoni Lwów

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl cd4abdcfc8

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA),* **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela),* **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym),* **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Paweł Wodzyński/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zemsta Tuska rękami Żurka, Rafał. A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 45/2025

Szanowna Redakcjo,
dziękuję za ciekawą analizę red. Ziemkiewicza dotyczącą zemsty Donalda Tuska czynionej rękoma ministra Żurka. Z przerażeniem śledzę doniesienia w sprawie uporczywych prób pozbawienia wolności pana Zbigniewa Ziobry. O bzdurności zarzutów wobec byłego ministra sprawiedliwości dyskutować nie zamierzam, bo zdaje z nich sobie sprawę każdy rozsądnie myślący człowiek. Ludzie, którzy ścigają tego człowieka, też. Nasuwa się smutny wniosek – skoro zdają sobie sprawę z tego, jak grubymi nićmi sprawa jest szyta, i mają świadomość, jakie konsekwencje dla stanu zdrowia pana Zbigniewa Ziobry może mieć pozbawienie go wolności, a nadal chcą tego dokonać, to oni nie cofną się już przed niczym. Oby PiS i Konfederacja zrozumiały to w porę i zakończyły wojenkę na prawicy.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Zakazane piwo

Szanowna Redakcjo,
z ogromnym wzruszeniem czytam o planach wprowadzenia nocnej prohibicji. Łza zakręciła mi się w oku, bo oto wreszcie ktoś postanowił przywrócić ducha dawnych, pięknych czasów – gdy alkohol smakował najlepiej o trzeciej nad ranem, w kuchni u znajomego, który „ma dojście".

Ach, wspomnienia! Jeszcze czuję ten dreszcz emocji, kiedy po północy wyruszało się na romantyczną wyprawę po nielegalny trunek, jak po Świętego Graala, z nadzieją, że może „u Mietka" jeszcze coś się znajdzie. Ileż to było wtedy przedsiębiorczości, innowacyjności, ducha inicjatywy! Władze chcą dziś „pobudzić gospodarkę" – proszę bardzo, oto genialny plan: jeden zakaz i dziesiątki nowych „met", start-upów alkoholowo-podziemnych, mikroprzedsiębiorstw z dostawą pod klatkę. Wreszcie ktoś zrozumiał, że Polacy potrzebują impulsu, by znów zacząć działać. Tyle się mówi o kreatywności młodego pokolenia, a teraz dzięki nocnej prohibicji młodzi będą mieli okazję naprawdę rozwinąć skrzydła. Ktoś zorganizuje dostawy po cichu, ktoś stworzy aplikację PiwkoNow z geolokalizacją czynnych piwnic, a ktoś inny zacznie warzyć domowe specjały pod przykrywką warsztatów kulinarnych. Gospodarka ruszy z kopyta!

Niektórzy twierdzą, że to ograniczenie wolności. Ale proszę – czyż nie jest piękniej, gdy o coś trzeba się postarać? W końcu, jak mówi klasyk, zakazany owoc smakuje najlepiej. A zakazane piwo – jeszcze lepiej.

Z poważaniem (i z nostalgią)
Janusz Obywatel, rocznik '78



eprasa.pl cd4abdcfc8



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z mroku w szarówkę

Zmarł arcybiskup Pragi kard. Dominik Duka. Parokrotnie w latach 2000. odwiedzałem go w Pradze. Bardzo pasował do wykwintnych sal rokokowego pałacu prymasowskiego na Hradczanach. Ale tylko ostatnie ćwierć wieku spędził wśród wygód i honorów, które przynosi tytuł prymasowski. Przez większość życia musiał się ukrywać ze swoim kapłaństwem.

W komunistycznej Czechosłowacji od wczesnego dzieciństwa nosił na sobie piętno bycia synem przedstawiciela „reakcji". Jego ojciec był oficerem czeskiej armii, którą w szczątkowej formie Niemcy zachowali po stworzeniu Protektoratu Czech i Moraw. W czasie wojny jego ojciec uciekł na stronę aliantów i wrócił do kraju z Londynu w mundurze zwycięskiej armii czechosłowackiej. Ale gdy w 1948 r. komuniści przejęli władzę, z dnia na dzień Duka senior zyskał status wroga narodu. W latach stalinowskich był więźniem politycznym. Posiadając tak „kompromitujcie pochodzenie", młody Dominik nie miał szans na uzyskanie miejsca na wyższych uczelniach. Dlatego po uzyskaniu matury w swoim gimnazjum musiał pracować jako ślusarz w fabryce. I równolegle do ciężkiej pracy rozpoczął studia teologiczne w seminarium duchownym w Litomierzycach.

W 1968 r. podjął naukę w podziemnym nowicjacie dominikanów. Święcenia kapłańskie przyjął w 1970 r., a w 1972 r. złożył śluby w zakonie dominikanów. W tym czasie władze uznały, że jest ich przeciwnikiem, i odebrały mu prawo do wypełniania posługi kapłańskiej. W 1979 r. niemal cudem udało mu się wyjechać do Warszawy, gdzie ukończył licencjat z teologii na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. Gdy wrócił do Czechosłowacji w 1981 r., władze komunistyczne uwięziły go na półtora roku. Przez całe lata 80. pracował jako kreślarz w zakładach Škody w Pilźnie.

Z rozmów z kard. Duką – mimo jego rubaszności – pamiętam człowieka porażonego doświadczeniem tego, jak szybko dawni opozycjoniści, którzy korzystali z pomocy czeskich księży, odwrócili się plecami od Kościoła. Pamiętam, jak mówił mi: „Byliśmy naiwni, myśleliśmy, że za ogromną, ofiarną pracę księży na rzecz poszerzania marginesu wolności w komunistycznej Czechosłowacji będziemy cieszyć się jakimiś względami w nowej republice. Z mroku wyszliśmy na szarówkę".

To właśnie pokolenie kard. Duki musiało obserwować gwałtowną laicyzację Czech. Nasi południowi sąsiedzi przeszli już ten proces w połowie lat 90. Nasz Kościół przeżywa ten kryzys dopiero dziś. Pamiętam, jak wtedy, na przełomie lat 90. i 2000., ze smutkiem ostrzegał mnie, że to, co wówczas działo się w Czechach, dojdzie za jakiś czas do Polski. Wtedy słuchałem jego ostrzeżeń z pewnym sceptycyzmem. Dopiero dziś dostrzegam, jak wiele miał racji.

Co roku 10 sierpnia, w odpust św. Wawrzyńca, kard. Duka odprawiał mszę w kaplicy na górze Śnieżka, która była spotkaniem czeskich i polskich katolików. Jak wyjaśniał, było to jego podziękowanie dla kraju, który tak życzliwie przyjął go w czarną noc komunizmu. Niech odpoczywa w pokoju. ©℗

PUBLICYŚCI „DO RZECZY" WŚRÓD NAJBARDZIEJ WPŁYWOWYCH POSTACI









FOT. DO RZECZY

Piotr Zychowicz (felietonista „Historii Do Rzeczy"), pisarz i nasz wieloletni publicysta Rafał A. Ziemkiewicz, Witold Gadowski, który od początku października publikuje na portalu DoRzeczy.pl cotygodniowy komentarz wideo, a także stały felietonista tygodnika „Do Rzeczy" Wojciech Cejrowski znaleźli się w prestiżowym gronie 15 najbardziej wpływowych osób w mediach społecznościowych w Polsce według Reuters Institute. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8

dwaj panowie g


FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jest kłopot. PiS zrobił obszerne badania wewnętrzne. To znaczy nie, że badał siebie wewnątrz, tylko badania były normalne, ale na użytek wewnętrzny. Ale że z zachowaniem tajemnicy bywa różnie, to mamy przyjemność coś o tych badaniach powiedzieć. Znaczy o wynikach. W sumie o wnioskach. A właściwie realizacji. Lub raczej o próbie realizacji. Przepraszamy, że tak owijamy w bawełnę, ale problem w tym, że do tej pory nie jesteśmy w stanie wyjść z szoku po tym, co usłyszeliśmy.

Przyczyną badań był problem: Dlaczego partii, mimo wybrania na prezydenta Karola Tadeusza Nawrockiego, nie rośnie? A nawet spada. Wyszło, że wyborcy PiS odchodzą do dwóch grup: niezdecydowanych oraz do Korony Brauna. Nie zasilają natomiast Konfederacji Mentzena. To nas jakoś nie zdziwiło. Ale idźmy dalej. Sprawdzono, komu szkodzą ataki PiS na Konfederację. I okazało się, że szkodzą mocno Konfederacji, a także trochę szkodzą PiS. OK, na razie nadążamy. Niestety, puenta będzie straszna. O niej w następnej notce.

Uwaga, zaczynamy następną notkę. Otóż podobno kierownictwo partii wyciągnęło z powyższych badań następujący wniosek: należy zaostrzyć linię wobec Konfederacji. A że i PiS będzie trochę tracił? Trudno. Ważniejsze, żeby traciła Konfederacja. I tu nas zatkało. Taktyka zaiste jest wyjątkowa: to pierwszy przypadek w dziejach, kiedy drogą do zwycięstwa w wyborach ma być agresywne granie na zniżkę notowań obu ugrupowań, które ponoć miałyby kiedyś utworzyć koalicję.

Ciekawa rzecz. Dostaliśmy zaproszenie na Święto Niepodległości do Pałacu Prezydenckiego. Nie byłoby w tym nic specjalnego, gdyby nie to, że przyszło przed świętem. Zazwyczaj docierało już po święcie. Nawiasem mówiąc, jesteśmy w gronie szczęśliwców. Bo o zaproszenie zabiegały tysiące osób. Niestety, Sala Kolumnowa, gdzie ma się odbyć główna część, ma wytrzymałość stropu obliczaną circa na 600, max. na 700 osób. Kancelaria zmuszona była więc wycinać bez litości. Tym bardziej nas cieszy, że nie podlegamy wycince. Ploteczki z Pałacu zatem za tydzień.

Bardzo nas ucieszyło, że obecny reżim zamierza powołać Narodowe Biuro Śledcze. Tym bardziej że następny reżim zamierza podobno powołać Narodowy Trybunał Karny. Nie wiemy, czemu przy okazji przypomina się nam anegdota o pierwszym apelu Osipa Mandelsztama w łagrze. Po wysłuchaniu powitalnego przemówienia wygłoszonego do nowo przybyłych łagierników rosyjski poeta nachylił się do swojego towarzysza niedoli i wyszeptał: „Do tej pory nie miałem pojęcia, że znaleźliśmy się w łapach humanistów". My do tej pory nie mieliśmy pojęcia, że jesteśmy w łapach narodowców.

Kilka dni przed Świętem Niepodległości zbierają się chłopy z PSL. Żniwa minęły, podorywki zakończone, czas więc na wykopki z elementami dożynek. Wybór Kosiniaka-Kamysza na kolejną kadencję szefa jest właściwie przesądzony. Pozostaje kwestia ułożenia władz partyjnych, co ma się sprowadzić do wykopania Waldka Pawlaka z Rady Naczelnej. Wszystko pod hasłem odmłodzenia struktur. Co ciekawe, chodzi o niegdysiejszego najmłodszego premiera w historii III RP. Wówczas miał on 33 lata. Dziś ma dwa razy więcej. Zważywszy jednak na to, że Tusk ma dziś 68 wiosen, Waldek wciąż może uchodzić za juniora.

Pewnie nie kojarzycie byłego już posła byłej Nowoczesnej. My też nie bardzo. Ale jak się okazuje, facet, który niczym szczególnym w Sejmie się nie wyróżnił, prowadzi bogate życie postposelskie. Ostatnio wylądował w Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, gdzie już dorobił się ksywki Paweł Wędrowniczek. A to za sprawą upodobania do dalekich podróży. Nie tak dawno bawił w delegacji w Nowej Zelandii, dokąd doleciał za pieniądze podatnika. Roboty miał tam na jeden dzień, ale postanowił sobie przy okazji zrobić urlop. Po wypoczynku urlop skończył i na ojczyzny łono znowu wrócił za pieniądze podatnika. Nie wiem, czy wam wspominaliśmy, że bardzo byśmy chcieli odwiedzić antypody. Niestety, nikt nas nie chce delegować.

Historia, jak wiadomo, powtarza się jako farsa. W 1956 r. komunistyczny premier Józef Cyrankiewicz ogłosił, że „każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie". W roku 2025 postkomunistyczny aparatczyk Dariusz Joński ogłosił natomiast: „Obetnę każdemu pisowcowi ręce, jeśli będzie atakował moją rodzinę". Jako że słowa te pojawiły się w kontekście pytań mediów o drogie prezenty od wyrokowca Andrzeja R., bylibyśmy jednak ostrożni w używaniu słowa „rodzina". Ma ono różne znaczenia. Wiemy, bo oglądamy filmy o Sycylii.

Z mediów. Domagamy się dalszych szczegółów na temat rozłamu w polskim holdingu medialnym skupionym wokół wPolsce24. Jak wiecie, w jego wyniku z telewizji oraz tygodnika braci mniejszych odeszli jeden z braci i jego dwóch kolegów. Z ich pierwszego programu na kanale TAK (Tulicki, Adamczyk, Karnowski) dowiedzieliśmy się nie tylko, że Michał został zwolniony dyscyplinarnie, lecz także, że brat Jacek próbował zagłodzić Michała. Chcemy więcej. Musimy bowiem wiedzieć, kogo zawiadamiać: Polską Akcję Humanitarną? UNICEF? Caritas? Światowy Program Żywnościowy? Czas na twarde pytania: czy oni tam we wPolsce24 w ogóle coś jedzą? A jeśli tak, to czy są to polskie dania? I kto je ludziom odbiera od ust: Jacek czy Romuald? ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zemsta papieru

Wpadło mi w ręce ciekawe badanie, z którego wynika, że słowo „dziennikarz" odbierane jest przez większość internautów negatywnie. Opinie dziennikarza są z zasady mniej pożądane i mniej wiarygodne, on sam bowiem postrzegany jest jako ktoś w rodzaju polityka i przedstawiciela establishmentu, w dodatku ze skłonnościami do mądrzenia się. Na pociechę – nie każdy dziennikarz postrzegany jest jako dziennikarz. Ci, którzy prowadzą popularne kanały youtube'owe i są aktywni w mediach społecznościowych, przekraczają barierę między tak odbieranym dziennikarstwem a swojską, akceptowalną influencerką.

Te dane są ważnym kontekstem dla zrozumienia ataku tygodnika „Newsweek" na Bogdana Rymanowskiego. Pomijam merytoryczną czczość zarzutów, które dały springerowcom asumpt do obrzucenia go obelgami. Nie był to jednak tylko atak propagandystów rządu na człowieka, który jako telewizyjny „host" tak poprowadził rozmowę z premierem Tuskiem, że ten niechcący wywalił w powietrze kampanię swojego kandydata na prezydenta. Była to także próba podratowania spadającej sprzedaży tygodnika – uderzył przecież nie w dziennikarza, ale w youtubera, którego kanał w rankingu Wirtualnych Mediów sprzed miesiąca uznano za największy sukces w swej kategorii. Każdy z wywiadów Rymanowskiego, rzekomo nierzetelnych, ogląda kilkakrotnie więcej widzów, niż wynosi sprzedawany nakład „Newsweeka". Lanserski sens publikacji jest oczywisty.

Ale tekst wywołał też spontaniczny atak na Rymanowskiego dziennikarzy z tzw. nazwiskami. Można rzec – rzucili się na niego medialni stronnicy władzy. Równie uzasadnione będzie jednak rzec, że rzucili się ci, którzy wciąż wspominają czasy świetności, gdy nad nastrojami panowały media elektroniczne, a nad nimi – drukowane.

Myślę, że to podobny znak czasu, jak atak „Wyborczej" na Krzysztofa Stanowskiego po sukcesie Kanału Zero. I że skutek będzie podobny. ©℗



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Droga do Oleśnicy

Normy prawo kształtują, ale praktyka może prawo odkształcać. Pół roku temu Polską wstrząsnęła śmierć małego Felka w szpitalu w Oleśnicy. Zabito go strzykawką, już po urodzeniu. Była kampania wyborcza, był temat. Potem oburzenie się wypaliło, a egzekucja prawa zeszła na drugi plan, mimo że Rzeczpospolita (w art. 4a ust. 2 stosownej ustawy) zapewnia dziecku (!) pełną ochronę życia od „chwili osiągnięcia przez płód zdolności do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej".

Prawo i Sprawiedliwość nigdy jednak nie walczyło o wykonalność tej normy; za bardzo przypominała budzący panikę Całkowity Zakaz Aborcji. W kluczowych momentach, gdy rozstrzygała się kwestia wykładni, padały sporadyczne wypowiedzi posłów, ale partię obowiązywała żelazna dyrektywa Prezesa: „Stanowiska PiS-u w tej sprawie nie ma i nie będzie", bo jest to „decyzja każdego posła i każdej posłanki, każdy musi we własnym sumieniu to rozważyć".

W 2016 r. zginął mały Hubert w warszawskim szpitalu na Madalińskiego. Umarł na stole operacyjnym, pozbawiony pomocy po „nieudanej aborcji". Było wiele zawiadomień o przestępstwie. Trzy lata później „dobrze zmieniona" prokuratura po cichu sprawę umorzyła, bo w próbie zabicia dziecka, które poza łonem matki jeszcze żyło, w pozbawieniu go pomocy nie zauważyła „znamion czynu zabronionego".

Historia PiS to długi ciąg zdrad najsłabszych, odmów niewygodnej wyborczo walki w ich obronie. W węzłowych momentach prawo wywalczone w pogardzanej III Rzeczypospolitej pozostawiano bez obrony, niczym małego Huberta na stole operacyjnym na Madalińskiego.

Chrześcijaństwo nie przekreśla, a zdradę traktuje jako rzecz (w sensie socjologicznym) bardzo pospolitą, jako wezwanie i okazję – do nawrócenia. Choć im dłużej się je odrzuca, tym bardziej rutyna czyni wolność rzeczą po ludzku – niemożliwą. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O mentalności ruskiej

W Rzymie podczas prac konserwatorskich zawaliła się część średniowiecznej wieży koło Koloseum. Było pięciu rannych. Jeden robotnik wydobyty z rumowiska mimo akcji ratunkowej zmarł w szpitalu. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa skomentowała: „Cała Italia runie, od wież po gospodarkę, jeżeli rząd będzie dalej marnotrawił pieniądze, pomagając Ukrainie".

Niemal zawsze w obliczu katastrofy rządy wyrażają współczucie, deklarując pomoc, kimkolwiek są ofiary – czy to Rzym, czy to Krym. Ale nie w faszystowskim państwie Putina. Szef włoskiego MSZ Antonio Tajani wezwał ambasadora, nazywając rojenia damy występem haniebnym i prostackim, niegodnym cywilizowanego państwa. I zawyrokował, że rosyjskie przywództwo wpadło w otchłań niespotykanej wulgarności i podłości, zupełnie jakby kiedykolwiek z niej wychodziło. Włosi niestety nie zdają sobie sprawy, że „ruskość" to szczególna forma mentis i wiele popełnianych bezeceństw wpisuje się w mentalność sporej liczby mieszkańców tego wielkiego, osobliwego kraju.

Jednak wszystko się zgadza, zwłaszcza domyślny wniosek, że Rosja cywilizowanym państwem nie jest. O wiele ostrzejszą diagnozę postawił prezydent Włoch Sergio Mattarella: „Reżimy autorytarne prowadzą wojny zaborcze. Projekt tego typu realizowała III Rzesza. Tej samej natury jest napad Rosji na Ukrainę". Zacharowa wpadła w szał, bo godzi to w klechdy, które propaganda opowiada narodowi od ponad 100 lat.

Ostatni haniebny wyskok rzeczniczki Ławrowa oburzył całą Italię. Z tej okazji, pośrednio, do włoskich mediów ponownie zawitała wojna na Ukrainie, która Włochów interesuje bardzo umiarkowanie. Teraz włoskie siły postępu nieprzerwanie walczą o niepodległość Palestyny. Nie wiedzieć czemu, przeciwko włoskiej policji.

W Rzymie od początku rosyjskiej inwazji odbyło się kilka skromnych proukraińskich demonstracji. Udział brało góra kilkaset osób, głównie Ukraińców, wasz korespondent, pan z gitarą i kilkanaście ekip telewizyjnych. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl cd4abdcfc8



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KUBA RZUCA PAPIERAMI

Najstarszy nastolatek w Polsce, Kuba Wojewódzki, ogłosił, że po 15 latach odchodzi z warszawskiego Teatru 6.piętro. Od lat wcielał się tam w postać Allana Felixa w komedii Woody'ego Allena „Zagraj to jeszcze raz, Sam". Showman z TVN ogłosił swoją decyzję w mediach społecznościowych. „W związku z planami pojawienia się na scenie Teatru 6.piętro niejakiego Żurnalisty, którego osoba, światopogląd, etyka i estetyka są mi całkowicie obce, zmuszony jestem zrezygnować z dalszej współpracy z Teatrem. Dziękuję Wszystkim za te wspólne 15 lat" – przekazał. Niedawno instytucja poinformowała o rozpoczęciu współpracy ze znanym podcasterem Żurnalistą. Projekt „ŻURNALISTA na 6.piętrze: Podcast przy otwartej kurtynie" to cykl spotkań z podcasterem, który od 2021 r. prowadzi najpopularniejsze rozmowy w polskim Internecie. „Ta nowatorska formuła łącząca świat sceny z fenomenem Internetu umożliwi widzom zasiadającym na teatralnej widowni wzięcie udziału w fascynujących wywiadach, w których nie ma tematów tabu [...]. To propozycja tak dla widzów, którzy spotkają się z Żurnalistą po raz pierwszy, jak i dla jego wiernych słuchaczy, dla wszystkich, którzy cenią atmosferę teatru, gdzie każde słowo wybrzmiewa mocniej, a wspólne doświadczenie tworzy jedyną w swoim rodzaju energię" – ogłosił teatr. No to teraz wolny rynek zdecyduje, czy widzowie wolą Kubę czy Żurnalistę.



FOT. FIPAK/FORUM

ZWYKŁA ZAZDROŚĆ

Dawid Swakowski (tak naprawdę nazywa się Żurnalista) odpowiedział na oświadczenie Kuby Wojewódzkiego. „Przeczytałem, że Kuba Wojewódzki odchodzi z Teatru 6.piętro, bo – jak napisał – moja osoba, światopogląd, etyka i estetyka są mu całkowicie obce. Dowiedziałem się o tym z mediów, bo Kuba zablokował mnie w social mediach trzy lata temu. Stało się to po tym, jak opublikowałem ranking podcastów, w którym był niżej ode mnie" – stwierdził twórca. Wskazał, że „później zaczęły się drobne, ale konsekwentne działania". „Próby blokowania niektórych gości z dopiskiem: »Jak pójdziesz do niego, nie przychodź do mnie«. Od tamtej pory kilka razy próbował zaczepić mnie w swoim podcaście – nieudolnie, półsłówkami, złośliwie. Jak wtedy, gdy pytał Krzysztofa Rutkowskiego, co sądzi o »przestępcach w polskim show-biznesie«" – napisał. „Zacznę więc od tego wątku, bo widzę, że znów krąży po mediach. Nie jestem przestępcą. Wszystkie sprawy, które były kiedyś publicznie omawiane, zostały zamknięte spłatą lub ugodą. Nigdy też się nie ukrywałem – prowadziłem firmę pod własnym imieniem i nazwiskiem. Człowiek, który w przeszłości zostawił swoich kolegów na lodzie, z niejednym wciąż niewyjaśnionym tematem, pisze dziś o etyce. Światopogląd? Jestem jednym z niewielu, którzy rozmawiają z każdym. Nie dzielę ludzi na »swoich« i »obcych«. Nie muszę zgadzać się ze wszystkimi, żeby chcieć ich zrozumieć. Ze swoim światopoglądem nigdy nie wychodziłem na zewnątrz. I nie zamierzam" – stwierdził Żurnalista. I podsumował: „Kubie Wojewódzkiemu nigdy nie chodziło o moją przeszłość, a przyszłość".

SIEBIE WARCI

Swoje trzy grosze postanowiła wtrącić dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska. „Jest w tym coś uroczego, naiwnego, bo unoszenie się honorem to zapomniana czynność, bo honor dzisiaj spuszcza się w kiblu, i jest też w tym coś bardzo smutnego, bo dziennikarza zastępuje żurnalista" – oceniła. „Jeden schodzi ze sceny, drugi na nią wchodzi, a trzeci wracając z Jamajki, liczy już kasę jako dyrektor. Czyli jak zwykle. Kasa wygrywa. Zły pieniądz wypiera dobry. To Kopernik powiedział" – czytamy w jej wpisie na Instagramie. „Jeden i drugi miał w programie jako gości przestępców, patologię i panie oraz panów lekkich obyczajów. Gadanie o etyce zatem średnio na miejscu [...]. Jeden i drugi sobie świetnie poradzą, ale ja temu, który na scenę wchodzi, życzę, by wzbudzał tak długo tyle emocji co ten, który ze sceny, tej jednej, zszedł ;) to może okazać się trudne..." – podsumowała Korwin-Piotrowska. Niech żyje symetryzm!

REALNOŚĆ DO BÓLU

Rozważania nad uciekającym czasem. Aktorka Izabela Kuna gościła w podcaście „Zza Kulis". Podzieliła się swoimi odczuciami na temat upływającego czasu. Gwiazda, w przeciwieństwie do wielu koleżanek z branży udających, że czas ich nie dotyka, przyznała, że mocno go odczuwa. – Ja się bardzo dobrze czuję ze sobą, ale chciałabym mieć 10 lat mniej. Upływający czas jest dla mnie przerażający [...]. To nie jest tylko to, jak ja się czuję. Ja się czuję super. Poćwiczyłam dzisiaj, potem miałam angielski, zaraz idę na masaż, potem mam bankiet po filmie, więc czuję się super. Ale liczby są, jakie są – wskazała. – Większość swojego życia mam za sobą. Nie ma opcji k...a. No tego się nie zmieni. W związku z tym, jak sobie pomyślę [...], ile czasu jeszcze mi zostało, ale tak, żeby przytomnie to rozegrać, to jest mi k...a strasznie przykro. Naprawdę, jest mi strasznie przykro i no, przykro mi po prostu – podsumowała aktorka. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie milkną echa wokół premiery nowego sezonu „Wiedźmina" na Netflixie. Jak wiecie, jest to dzieło postępowe, w którym twórcy – zgodnie z duchem oświeconego feminizmu oraz wielu innych „izmów", których zbyt długo byłoby tu wymieniać – postanowili zaprowadzić parytet w bandzie tzw. Szczurów.

Dla tych, którzy nie czytali książek Andrzeja Sapkowskiego: Szczury to była grupa sześciorga bandytów, w której skład wchodziły dwie waginoosoby oraz czterech fallusoosobników. Natomiast w serialu, aby było jeszcze równiej, jeszcze bardziej postępowo, jeszcze modniej i jeszcze bardziej w kierunku zachodniego widza, postanowiono zastąpić jednego ze Szczurów męskoosobowych Szczurzycą niemęskoosobową.

Tym samym w serialu mamy bandytkę o imieniu Reef w miejsce bandyty o imieniu Reef xD. Nawet jak na Netflix jest to zabieg bardzo postępowy i bardzo zaskakujący. Sądziliśmy bowiem, że w dotychczasowych odcinkach widzieliśmy już wiele starań o zastąpienie „wąsatej prozy znad Wisły" treścią bardziej zrozumiałą i przyswajalną dla współczesnego, zachodnioeuropejskiego, a nawet amerykańskiego odbiorcy. A tymczasem twórcy Netflixa byli w stanie wyłapać taki dodatkowy smaczek i tym samym sprawić, że serial jest jeszcze lepszy – czego tak naprawdę się nie spodziewaliśmy. I cieszymy się, że ktoś wyszedł nawet poza nasze, niemałe, oczekiwania.

Dawno nie było, kochani, naszego socjologicznego kącika – w którym tłumaczylibyśmy, na czym polega tzw. polski mindset. Pewnie pamiętacie, chodzi o to, że Polacy wolą mieszkać w małych mieszkaniach w starym budownictwie, jeździć starymi samochodami, a na wakacje wyjeżdżać najlepiej w obszarze jurysdykcji swoich gminnych ośrodków pomocy społecznej. A czasami, kiedy jakiegoś wąsatego janusza najdzie fantazja, to najwyżej poza granicę własnego powiatu.



Jednym z elementów takiego polskiego mindsetu było również to, że Polacy potrafili oszczędzać. I w ogóle wyobraźcie sobie, kochani, że jeszcze w 2009 r. według badań aż 54 proc. Polaków nie miało żadnych oszczędności.

Cóż, było to dopiero pięć lat po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Jeszcze pewnych postaw ekonomicznych się nie nauczyliśmy. Poziom wiedzy o finansach osobistych był zatrważająco niski, stąd też nikt Polaków gospodarowania pieniędzmi w rozsądny sposób nie uczył.

Natomiast obecnie oszczędności ma już prawie 70 proc. mieszkańców tego kraju. I, co ciekawe, profil takiej osoby, która oszczędności posiada, jest następujący: jest to osoba, która ma wykształcenie wyższe, jest stosunkowo młoda (ponieważ najwięcej oszczędności mają osoby w przedziale wiekowym 25–34 lata) i, uwaga, zarabia przynajmniej 7,5 tys. zł miesięcznie.

Widzicie więc sami, że osoby lepiej wykształcone, zapewne żyjące w większych miastach i lepiej wynagradzane mają większą skłonność do tego, żeby oszczędzać, ponieważ po prostu wydobyły się z tego polskiego mindsetu. Pozostaje jeszcze dużo do zrobienia w segmencie osób z mniejszych ośrodków, zarabiających mniej i gorzej wykształconych. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: *FB.COM/MWIZWO*

PODSŁUCHANE

Bomba klimatyczna

Donald, a jak wygramy za dwa lata?

No przecież chyba o to chodzi, Andrzej?

Niby tak... Ale wtedy to nam wjedzie w czasie kadencji ten ETS2.

A że w tym sensie... Spoko, na razie wygląda, że jednak nie wygramy.

Ale nie wiadomo na pewno. Kaczor goni w piętkę, nie rośnie mu.

Dobra, w sumie masz rację. Tę bombę ETS to lepiej będzie spuścić na nich.

To co robimy?

Trzeba zwiększyć ich szanse. Zrobimy premierem Radzia. To powinno pomóc. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Piszą do mnie setki ludzi z pytaniem, jak żyć? Jak sobie radzić z hejtem? Jak stanąć na nogi po upadku?".

JANUSZ PALIKOT, *przedsiębiorca, były poseł, na platformie X*

eprasa.pl cd4abdcfc8

MAMDANI – SOCJALISTA BURMISTRZEM STOLICY KAPITALIZMU

Mało znany wcześniej 34-letni polityk Zohran Mamdani – urodzony w Kampali w Ugandzie – zwyciężył w wyborach na burmistrza Nowego Jorku. To najmłodszy polityk, który zajmie to stanowisko od ponad 100 lat. Mamdani – określający się jako „demokratyczny socjalista", współzałożyciel oddziału organizacji Studenci na rzecz Sprawiedliwości w Palestynie na Bowdoin College – zapisze się również na kartach nowojorskiej historii jako pierwszy muzułmanin, który będzie rządził tym największym miastem Stanów Zjednoczonych. W kampanii regularnie odwiedzał meczety, a do wyborców zwracał się m.in. w języku urdu. Jego żoną jest 27-letnia syryjska artystka Rama Duwaji.

Zohran Mamdani zwyciężył, chociaż Donald Trump wprost poparł innego kandydata: byłego gubernatora Andrew Cuomo. Jednocześnie amerykański prezydent namawiał wyborców, aby nie głosowali na kandydata Partii Republikańskiej, czyli Curtisa Sliwę.

Wygrana Mamdaniego to tylko jedno z ważnych zwycięstw polityków Partii Demokratycznej w wyborach stanowych, będące pierwszym realnym testem tego, jak Amerykanie oceniają rządy Donalda Trumpa. Przeciwnicy obecnego gospodarza Białego Domu wygrali również w wyborach burmistrza Nowego Jorku oraz gubernatorów New Jersey i Wirginii. W Cincinnati w stanie Ohio wybory na burmistrza przegrał zaś przyrodni brat wiceprezydenta J.D. Vance'a, republikanin Corey Bowman. Demokraci zwyciężyli również w referendum w sprawie zmiany granic okręgów wyborczych w Kalifornii – republikanom trudniej będzie więc w tym stanie wygrywać wybory.

Tak poważna fala zwycięstw Partii Demokratycznej to jasny sygnał ostrzegawczy dla konserwatystów. Wielu wyborców właśnie Partię Republikańską i samego Donalda Trumpa obarcza bowiem winą za najdłuższy w historii kraju paraliż pracy amerykańskiego rządu (tzw. shutdown).
(jap) © ℗

CZYTAJ TAKŻE „LEWICOWA KONTRREWOLUCJA?" NA STR. 69

FOT. SARAH YENESEL/EPA/PAP


IRAN
YORK CITY
ZOHRAN
FOR NEW YORK CITY

Kochać i chronić





Karol Gac

W Wojewódzkim Domu Kultury im. Józefa Piłsudskiego w Kielcach wręczono nagrody redakcji tygodnika „Do Rzeczy” „Kochać i chronić”. Nasza redakcja doceniła w ten sposób inicjatywy, ludzi, organizacje, a także firmy, które działają na rzecz ochrony dzieci w województwie świętokrzyskim. Nagrodę specjalną redakcji „Do Rzeczy” otrzymała Anna Krupka, wiceprezes PiS

Kochać i chronić” to nagrody skierowane przede wszystkim do tych, którzy w szczególny sposób wspierają wychowanie dzieci. Doceniamy tych, którzy utrwalają miłość i szacunek do lokalnych tradycji i kultury, chronią dzieci przed zagrożeniami współczesnej cywilizacji, a poprzez swoje działania kształtują młodych ludzi na wartościowych członków naszego społeczeństwa oraz działają na rzecz ochrony i wzmacniania rodzin.

„To dla nas wielki zaszczyt, że gala tygodnika »Do Rzeczy« może się odbywać w Kielcach. Ta gala jest wielką inspiracją dla tych, którzy chcą wytyczać szlaki młodym ludziom, i dla tych, którzy pokazują młodym ludziom miłość oraz troskę. Takie osoby są inspiracją, ponieważ działają bezinteresownie, z potrzeby serca. Mają oni świadomość, że młodych ludzi trzeba chronić. To wielka inwestycja w kolejne pokolenia Polaków” – mówiła Anna Krupka, wiceprezes PiS.

W podobnym duchu wypowiadała się również Renata Janik, marszałek województwa świętokrzyskiego. „Dzisiejsze nagrody są symbolicznym wyrazem wdzięczności za pracę, działalność społeczną i inicjatywy, które służą temu, by kochać i chronić naszych najmłodszych mieszkańców na wszystkich etapach życia. Jesteście otwarci zawsze na pomoc i wsparcie drugiego człowieka. Za to wszystko dziękuję” – podkreślała Janik.

KOGO NAGRODZILIŚMY?

Podczas gali „Kochać i chronić” przyznaliśmy nagrody w kategoriach: „Zdrowie”, „Biznes przyjazny rodzinom

eprasa.pl cd4abdcfc8



z dziećmi”, „Dom kultury”, „Szkoła wyższa”, „Szkoła”, „Kampania społeczna”, „Bezpieczeństwo”, „Sport, Muzyka”, „Literatura”, „Fundacja”, „Działacz społeczny”. Przyznaliśmy także nagrodę specjalną oraz nagrodę specjalną redakcji „Do Rzeczy”.

„Nasza gala to wydarzenie, które celebruje ludzi, organizacje i inicjatywy działające na rzecz ochrony dzieci, wspierania rodzin oraz budowania wartości w polskim społeczeństwie. Wyróżnienia te kierujemy do tych, którzy edukują, chronią i inspirują kolejne pokolenia, a przez swoje działania wzmacniają fundamenty społeczne i rodzinne. Dzięki nim młodzi Polacy uczą się, jak kochać, jak chronić siebie i bliskich oraz jak radzić sobie w dynamicznie zmieniającym się świecie” – wskazywał prowadzący galę Mariusz Rytel.

Nagrodę w kategorii „Zdrowie” otrzymało Świętokrzyskie Centrum Onkologii w Kielcach. W kategorii „Biznes przyjazny rodzinom z dziećmi” wyróżniono Sabat Krajno – Park Rozrywki i Miniatur. Kolejną nagrodę w kategorii „Biznes przyjazny rodzinom z dziećmi” otrzymała firma Elerte Poland sp. z o.o.

W kategorii „Szkoła wyższa” nagrodę przyznaliśmy Uniwersytetowi Jana Kochanowskiego w Kielcach. W kategorii „Szkoła” statuetkę otrzymała Szkoła Podstawowa im. ks. Piotra Ściegiennego w Bilczy. Wyróżnienie w kategorii „Kampania społeczna” otrzymało zaś Polskie Stowarzyszenie na rzecz Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną Koło w Kielcach.

Nagrodę w kategorii „Bezpieczeństwo” otrzymała Ochotnicza Straż Pożarna w Brzeziu w powiecie opatowskim. Z kolei nagrodę w kategorii „Sport” przyznaliśmy Grzegorzowi Nowaczkowi – prezesowi Polskiego Związku Bokserskiego oraz Wojskowego Klubu Bokserskiego RUSHH Kielce.

Nagrodę w kategorii „Muzyka” otrzymała Rodzinna Kapela Korbanów z Dębskiej Woli. Z kolei statuetkę w kategorii „Literatura” otrzymała Anna Zielińska-Brudek. Nagrodę w kategorii „Dom kultury” otrzymał Staszowski Ośrodek kultury. Nagrodę w kategorii „Fundacja” otrzymali Fundacja Karczówka oraz ks. Mariusz Zakrzewski SAC. Z kolei nagrodę w kategorii „Działacz społeczny” otrzymała Renata Łoboda-Sędzimir.

NAGRODA SPECJALNA

Podczas gali „Kochać i chronić” przyznaliśmy również nagrody specjalne. Jedna z nich trafiła w ręce mecenas Luizy Zgiep-Partyki. „To adwokat, bizneswoman i inicjatorka jednej z najaktywniejszych sieci networkingowych w regionie. Od dekady wspiera rozwój lokalnego biznesu, łącząc doradztwo prawne z budowaniem relacji między przedsiębiorcami. Jest założycielką Spotkań Biznesowych – grupy, która dziś zrzesza już ponad 100 firm z Kielc i Krakowa, tworząc przestrzeń wymiany doświadczeń, współpracy i wzajemnego wsparcia” – mówił Mariusz Rytel.

„To będzie najważniejsza dla mnie nagroda, bo bliska mojemu serce. To nie tylko zaszczyt, ale również przypomnienie, dlaczego warto budować bezpieczne otoczenie dla młodych, jak również i dla przedsiębiorców, którzy mogą nawiązywać ciekawe relacje. Dzięki temu rośnie nasz region i całe nasze społeczeństwo” – mówiła laureatka, mecenas Luiza Zgiep-Partyka.

Nagrodę specjalną redakcji tygodnika „Do Rzeczy” otrzymała wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości Anna Krupka. „Od 2015 r. z mandatem posłanki na Sejm reprezentuje ziemię świętokrzyską. Z determinacją działa na rzecz sportu, kultury i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Była powoływana na stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki, a później w Ministerstwie Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, gdzie pokazała, że praca publiczna to nie tylko obrazki, ale konkretne decyzje i strategiczne wyzwania” – podkreślał Rytel.

„Jest mi niezmiernie miło, że otrzymałam tę nagrodę, która mnie niebywale wzruszyła. Bardzo dziękuję wszystkim, którzy inspirują mnie do takiego działania od samego początku pełnienia przeze mnie mandatu posła od 2015 r. Dziękuję tym, którzy mnie motywują i pokazują ważne cele, aby nasza mała ojczyzna się rozwijała. W sposób szczególny chciałam podziękować za wspaniałą współpracę pani marszałek Renacie Janik, z którą zmieniamy województwo świętokrzyskie na lepsze” – mówiła Anna Krupka.

Gala „Kochać i chronić” odbyła się pod Patronatem Honorowym Marszałka Województwa Świętokrzyskiego Renaty Janik.

Partnerem Głównym wydarzenia był Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego. Partnerem Gali był Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego w Kielcach.

eprasa.pl cd4abdcfc8

Dorwać Brauna



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

„Pakiet chanukowo-choinkowo-mikrofonowy" – tak postawione przez prokuraturę zarzuty określa Grzegorz Braun. Europoseł, szef Konfederacji Korony Polskiej zapowiada, że dopiero się rozkręca. Podobnie organy ścigania



Według jednego z ostatnich sondaży poparcia dla partii politycznych do Sejmu wchodzi pięć ugrupowań, ale kluczowym graczem w powyborczych układankach może okazać się partia Grzegorza Brauna. W badaniu United Surveys dla Wirtualnej Polski Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna ma 6,4 proc. (wzrost o 0,2 p.p.), co przekłada się na 24 mandaty. Profesor Robert Alberski z Uniwersytetu Wrocławskiego ocenia, że Braun i jego partia stają się języczkiem u wagi polskiej sceny politycznej. – Bez niej ta koalicja się nie dopina. To pozostawia nas w kryzysie politycznym – wskazuje. Jego zdaniem najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest powołanie rządu mniejszościowego przez prezydenta.

Dobry wynik formacji prawicowego europosła odnotowała „Rzeczpospolita". „Konfederacja Korony Polskiej powiększa się o nowych członków, tworzy struktury, zawiera pakt senacki i zapowiada gotowość do przeprowadzenia poważnych zmian ustrojowych. Trend sondażowy pokazuje, że partia Grzegorza Brauna może liczyć na liczną reprezentację w Sejmie […]. Kiedy uwaga opinii publicznej ogniskuje się na największych ugrupowaniach parlamentarnych, partia Grzegorza Brauna po cichu przygotowuje się do wyborów parlamentarnych i samorządowych. Formacja lokalnie zdobywa taką popularność, że nawet nie potrzebuje na spotkaniach Grzegorza Brauna, żeby pozyskiwać nowych członków" – komentował Jacek Nizinkiewicz.

ŚCIGANY

Wzrostom w sondażach towarzyszy gęstniejąca atmosfera rozliczeń. W maju Parlament Europejski zgodził się na uchylenie immunitetu europosłowi Grzegorzowi Braunowi. – Wyjęty spod prawa, poszukiwany żywy lub martwy. Taka atmosfera wokół mnie jest budowana intensywnie i gorączkowo, zwłaszcza w ostatnich dniach. Dzisiaj kropka nad i, czyli procedura uchylenia immunitetu parlamentu eurokołchozowego. Procedura dobiegła końca, w głosowaniu większość niepoliczona i niesprecyzowana, bo niektóre głosowania są tak na oko przez przewodniczącego szacowane […]. Szereg razy już tej procedurze podlegałem w ramach politycznej nagonki na polityczne zlecenie – komentował decyzję PE lider Korony, który wtedy był kandydatem na prezydenta. – Przed rokiem Sejm warszawski siedem razy podnosił rękę do góry po to, żeby podżyrować kolejne zarzuty, które prokuratura ministra Bodnara z poduszczenia marszałka Hołowni mi postawiła. Oni wtedy prześcigali się publicznie, ponaglali i pospieszali. Było to ewidentne wpływanie czynnika politycznego na jakże niezawisły wymiar sprawiedliwości, niezawisłą prokuraturę. Przegłosowali. I co? I nic, góra nawet myszy nie urodziła. Minęło parę miesięcy i żaden akt oskarżenia nie został nawet wysmażony. Tymczasem posłaliście mnie rodacy do Parlamentu Europejskiego, no i tam ta procedura została ponownie wszczęta – zauważył Grzegorz Braun.

Odnosząc się do zarzutów, polityk wskazał, że jest to „pakiet chanukowo-choinkowo-mikrofonowy". – We wszystkich tych sprawach działałem w trybie interwencji poselskiej. To nie była jakaś

eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

tam trywialna, prywatna jazda po pijaku, jak to się zdarza posłom niektórym. [To były] Działania w ramach wykonywania mandatu posła. To, że staję w polskim interesie i nie zgadzam się na propagowanie w miejscach publicznych rasistowskich, talmudycznych przesądów plemiennych, którym hołduje sekta Chabad Lubawicz. Sprzeciwiłem się temu, żeby w Sejmie RP, gdzie przecież stoimy na straży zasady równości wobec prawa, żeby to było celebrowane. Gdzie wady? W czym błąd? To, że opowiadają o mnie różne niestworzone rzeczy, to na szczęście państwo możecie zweryfikować, bo każda z moich akcji w trybie interwencji poselskiej była dokumentowana, rejestrowana, najczęściej transmitowana na żywo. Państwo możecie sprawdzić, kto kogo napadł i kto padł ofiarą bezprawia. Jeśli zarzuty należałoby komuś stawiać, to właśnie marszałkowi Sejmu, który nie staje w obronie posła napastowanego na terenie Sejmu przez osobę postronną, która nie wiadomo, w jakim trybie się tam znalazła. Ciąg dalszy nastąpi. Uspokajam, że nie jest to ostatni odcinek tego sezonu. Dopiero się rozkręcam – zapowiedział Grzegorz Braun, zachęcając do oddania na niego głosu.

Zarzuty eurodeputowany usłyszał już po wyborach, w lipcu. „Ekscesy europosła Grzegorza Brauna, wskazujące na podejrzenie popełnienia czynów przestępczych, nie pozostają bez reakcji prokuratury. Dziś europoseł Braun usłyszał zarzuty dotyczące siedmiu czynów. W dwóch przypadkach doszło do zmiany opisów i kwalifikacji prawnej" – chwalił się ówczesny minister sprawiedliwości, prokurator generalny Adam Bodnar. 14 października odbyło się posiedzenie wstępne, na którym ustalano kwestie organizacyjne i dowodowe. Na 8 grudnia Sąd Rejonowy dla Warszawy-Pragi Południe wyznaczył początek procesu.

Lista zarzutów wobec polityka jest długa. Najwcześniejsza sprawa dotyczy

eprasa.pl cd4abdcfc8

zajścia z marca 2022 r. w Narodowym Instytucie Kardiologii w Warszawie. Grzegorz Braun wszedł w konfrontację z dyrektorem instytutu, byłym ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim. Oskarżał go o „segregację sanitarną". Według śledczych Braun naruszył nietykalność osobistą Szumowskiego i użył wobec niego przemocy fizycznej poprzez szarpanie i blokowanie przejścia. Jednocześnie pomówił Szumowskiego o to, że znajduje się w pracy pod wpływem alkoholu, co nie było prawdą. Całość transmitowano w sieci. W styczniu 2023 r. w Krakowie poseł zniszczył bożonarodzeniową choinkę znajdującą się w budynku sądu okręgowego. Jako powód wskazał bombki mające symbolizować solidarność Polski z zaatakowaną przez Rosję Ukrainą. Braun wyrzucił ozdobione drzewko do kosza przed sądem. Straty wyceniono na niecałe 1,5 tys. zł. Kolejne zarzuty związane są z incydentem z maja 2023 r. w trakcie wykładu prof. Jana Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym w stolicy na temat Holokaustu. Poseł przerwał wykład, wtargnął na mównicę, a także uszkodził sprzęt nagłaśniający i ekran laptopa. Szkody zostały wycenione na 2,5 tys. zł, a Braunowi zarzuca się zniszczenie mienia oraz naruszenie miru domowego.

Najgłośniejsza sprawa, w której polityk usłyszał zarzuty, dotyczy zgaszenia świec chanukowych w Sejmie RP w grudniu 2023 r. Grzegorz Braun przerwał tę uroczystość, zdejmując ze ściany gaśnicę i gasząc świece. Gdy jedna z kobiet interweniowała, poseł skierował na nią strumień z gaśnicy. Chora na astmę trafiła do szpitala. Prokuratura zarzuca Braunowi, że jego zachowanie stanowiło publiczne znieważenie przedmiotu czci religijnej oraz było złośliwym przeszkadzaniem publicznemu wykonywaniu aktu religijnego. Grozi mu za to kara pozbawienia wolności do lat trzech, co jest najpoważniejszą sankcją, która może dotknąć polityka w ramach tej „puli" zarzutów. Za naruszenie nietykalności cielesnej kobiety i spowodowanie lekkiego uszczerbku na zdrowiu politykowi grozi grzywna, ograniczenie lub pozbawienie wolności do dwóch lat.

Z kolei w minionym tygodniu komisja prawna Parlamentu Europejskiego opowiedziała się za uchyleniem immunitetu Brauna w odpowiedzi na wniosek złożony jeszcze przez Adama Bodnara. Chodzi o podejrzenie popełnienia kolejnych sześciu przestępstw, w tym naruszenia nietykalności cielesnej lekarki w szpitalu w Oleśnicy, znanej aborterki Gizeli Jagielskiej. Dodatkowo prokuratura chce pociągnąć europosła do odpowiedzialności za publiczne nawoływanie w Internecie „do nienawiści na tle różnic wyznaniowych" oraz za występek obrazy uczuć religijnych „poprzez udzielenie udostępnionego na platformie YouTube wywiadu dotyczącego m.in. użycia 12 grudnia 2023 r. w Sejmie RP gaśnicy w celu ugaszenia wystawionej tam świecy chanukowej". Święto Chanuki nazwał „przejawem satanistycznej i rasistowskiej celebracji stanowiącej zagrożenie dla polskich katolików". Jeżeli immunitet zostanie uchylony, to lider Korony może odpowiedzieć też za zniszczenie 18 marca 2025 r. w Opolu 10 plakatów należących do Stowarzyszenia Tęczowe Opole „poprzez naniesienie czarną farbą zapisów literowych, które w całości tworzą napis o treści: »STOP PROPAGANDZIE ZBOCZEŃ«".

W liberalno-lewicowej narracji Grzegorz Braun jest ucieleśnieniem wszystkiego, co najgorsze. Złem, które trzeba powstrzymać

To nie koniec problemów europosła. Na początku września szef MS, prokurator generalny Waldemar Żurek, przekazał do PE kolejny wniosek o uchylenie Braunowi immunitetu. Tym razem chodzi o słowa z wywiadu dla Radia Wnet i „zaprzeczenie zbrodniom ludobójstwa popełnionym w latach 1941–1944 przez funkcjonariuszy Trzeciej Rzeszy Niemieckiej w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i obozie zagłady KL Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu" oraz wypowiedź w podcaście „Jan Pospieszalski rozmawia" o podobnym charakterze. W sumie, jak wylicza prokuratura, „zgromadzony materiał dowodowy uzasadnia dostatecznie popełnienie przez europosła łącznie 19 przestępstw".

NAJWIĘKSZY STRACH LEWICY

Służby zaciskają wokół lidera Korony pętlę, która może doprowadzić do storpedowania jego działań. Aby jeszcze mocniej uderzyć w wizerunek polityka, media skupiające się na atakowaniu go zaczęły zapraszać na wywiady siostrę Brauna, Monikę Braun (TVP Info, TVN24). Przed pierwszą turą wyborów prezydenckich opublikowała ona felieton na łamach „Tygodnika Powszechnego". „Jestem jego siostrą i wstydzę się tego, co robi Grzegorz. Ranią mnie osobiście bezlitosne gesty i słowa, które kieruje do tak wielu osób. Nie godzę się też na to, by wciąż odbywało się to przy powszechnym przyzwoleniu (bo okazywane przez wielu oburzenie nie ogranicza dalszych jego aktów przemocy). Nie potrafię przejść do porządku dziennego nad stosowanymi latami poniżaniem i wyśmiewaniem ludzi oraz ich poglądów, pomiataniem tymi, których uznał za wrogów i adwersarzy. Nie mogę milczeć, gdy obiektem jego ataków są ci, których szanuję, z którymi się przyjaźnię, których podziwiam, a których on uznał za szkodliwie »innych« – kobiety, imigranci, Żydzi, ludzie o poglądach lewicowych i liberalnych, feministki, przedstawiciele społeczności LGBTQ, ateiści" – wyliczała. Monika Braun ogłosiła, że nie utrzymuje kontaktów z bratem.

W liberalno-lewicowej narracji Grzegorz Braun jest ucieleśnieniem wszystkiego, co najgorsze. Złem, które trzeba powstrzymać. „Trzeba wreszcie przyjąć do wiadomości, że ten poseł ma duże grupy fanów w całej Polsce. Podoba im się ekstremizm Brauna, jego agresja i bezkarność. Widzą w nim człowieka silnego i sprawczego, a nie przemocowca. Grzegorz Braun jest politykiem, który perfekcyjnie wykorzystuje w politycznej aktywności ludzkie zmęczenie, niechęć do zmian i pragnienie bezpieczeństwa. Działa wielotorowo i oddolnie, odcinając się od polityki głównego nurtu, co pozwala go uznać za wiarygodnego przez osoby nastawione antysystemowo" – alarmował portal OKO.press po pierwszej turze wyborów prezydenckich, w których Braun zdobył solidne 6,34 proc. głosów.

Serwis narzekał w maju na opieszałość w sprawach przeciw europosłowi. „Jego bezkarność wzmacnia w nich [w jego sympatykach – przyp. red.] przekonanie, że można w ten sposób funkcjonować, w każdym razie Braun

eprasa.pl cd4abdcfc8

może. A skoro tak, to zapewne będzie w stanie zrobić też inne rzeczy, które zapowiada wprost lub sugeruje: wyrzucić muzułmanów, Ukraińców i Żydów, wyjść z Unii Europejskiej, dogadać się z Rosją i odbudować znajomy, bezpieczny świat. To oczywiście utopia, ale odpowiadająca na tęsknoty części polskiego społeczeństwa" – czytamy.

Rafał Pankowski, współzałożyciel Stowarzyszenia Nigdy Więcej, w postawie europosła upatruje rzekomo rosnącego w Polsce antysemityzmu. „Obawiam się, że w ostatnich latach czy miesiącach, m.in. za sprawą Grzegorza Brauna, publiczne i ostentacyjne deklarowanie poglądów antysemickich coraz rzadziej jest powodem do wstydu. Najbardziej spektakularnym aktem był atak na ceremonię Chanuki w Sejmie. Nie było to oczywiście jedyne tego typu działanie Brauna, ale jest na tyle emblematyczne, że sam Braun uczynił z niego swoją wizytówkę, a z gaśnicy symbol całej swojej kampanii. Jeżeli spojrzymy na nagrania czy fotografie z wieców wyborczych Brauna, to widać, że ta gaśnica na białym i czerwonym tle ma funkcję współczesnej swastyki. Stała się symbolem najbardziej radykalnego antysemityzmu, zresztą nie tylko w Polsce" – przekonuje.

„Drugą również szokującą i symboliczną sytuacją było zachowanie Brauna w Parlamencie Europejskim w styczniu. Minutę ciszy ku pamięci ofiar Holokaustu, przy okazji rocznicy wyzwolenia obozu w Oświęcimiu, Braun zakłócił antyżydowskimi okrzykami. To było szokujące zdarzenie w historii Parlamentu Europejskiego, który już parę lat wcześniej był wstrząśnięty hajlowaniem na sali obrad przez Janusza Korwin-Mikkego. Te dwie sytuacje to jest tylko czubek góry lodowej, bo wypowiedzi i haseł antysemickich głoszonych przez Grzegorza Brauna, zwłaszcza w przestrzeni Internetu, była cała masa przez kilka ostatnich lat" – twierdził w maju Pankowski, narzekając na opieszałość państwa. „Bezkarność Brauna i brak adekwatnej reakcji wymiaru sprawiedliwości [...] to pewien sygnał dla jego zwolenników, że antysemityzm, mowa nienawiści czy przemoc są w jakiś sposób tolerowane czy akceptowane w przypadku polityka. To z kolei przyczynia się ewidentnie do legitymizacji tych zachowań i ideologii, którą Braun propaguje. Dzięki temu rośnie też jego popularność" – ocenił badacz na portalu Radia Zet.

Rosnące notowania Korony Brauna są przedmiotem licznych analiz. – Wyborcy prawej strony, zawiedzeni Prawem i Sprawiedliwością, cały czas nie odnaleźli partii idealnej i szukają idealnych polityków, którzy będą odpowiedzią na ich oczekiwania. Prosty przekaz, łatwe rozwiązania na trudne czasy, podejście, którego w polskiej polityce dawno nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy. Mało tego, między oczy, niezgodne z prawdą, zaprzeczające czasami prawdzie historycznej, ale na fali populizmu to jest coś, co proponuje Grzegorz Braun i co znajduje poparcie dość znacznej grupy obywateli – komentował Patryk Michalski z WP.

Cały ten spektakl „straszenia Braunem" może odnieść skutki odwrotne do deklarowanych. Może sprawić, że Kaczyńskiemu trudno będzie bez Brauna rządzić

Dziennikarz alarmował w TOK FM, że w parlamencie coraz głośniej mówi się o scenariuszu paktu senackiego „w wykonaniu Prawa i Sprawiedliwości i Konfederacji". – Choć na razie te relacje są chłodne. Przy czym te kalkulacje obejmują również Grzegorza Brauna. To, co jest nieco zadziwiające, to to, że te scenariusze raczej obejmują wciągnięcie partii Grzegorza Brauna do układu prawicowego, a nie zastanawianie się, jak powstrzymać tę falę, która jest nie tylko już falą prawicową. Ona jest falą brunatną – oburzał się Michalski.

TUSK WZMACNIA BRAUNA

W czasie, gdy liberałowie i lewica straszą Braunem, konserwatyści dostrzegają w tym taktykę Donalda Tuska – wymianę wypalającej się polaryzacji KO-PiS na bardziej aktualną polaryzację KO-Braun. Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego ocenił w podcaście „Trudno powiedzieć", że „może to być metoda, która przyniesie Donaldowi Tuskowi sukces".

– Jeżeli będzie wyprowadzał ludzi na marsze, mobilizował sympatyków, zachęcał do budowania wspólnej listy, jeżeli będzie walczył o wysoką frekwencję, mówiąc o tym, że Jarosław Kaczyński na 100 proc. będzie skazany na rządzenie razem z Grzegorzem Braunem, że Braun zostanie ministrem [...]. Będzie straszył tym, że najbliższa perspektywa to rządy PiS z Braunem, a to już ostatecznie będzie oznaczało wyjście z UE, batożenie homoseksualistów, zerwanie sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, wpadnięcie Polski w łapy Putina – zauważył.

Jednocześnie przywołał drugi scenariusz. – Z całą tą historią jest jeden, fundamentalny problem. Jak wiemy dobrze z najnowszej politycznej historii Polski, zwykle taka mobilizacja przeciw jednemu politykowi zwiększała mu, a nie zmniejszała poparcie. Przypomnijcie sobie, jak w 2015 r. przed rządami PiS straszono Macierewiczem, PiS wygrał. Jak było w ostatniej kampanii prezydenckiej z Karolem Nawrockim, chyba żaden polityk w historii III RP nie był tak atakowany. Co się okazało? Wygrał wybory, chociaż na początku kampanii to się wydawało całkowicie niemożliwe. Przypomnijcie sobie, jak liberałowie straszyli Mentzenem i „piątką Mentzena". Mentzenowi cały czas rośnie, rośnie mu zaufanie. Przypomnijcie sobie, jak PiS próbował zwalczać Konfederację, bojkotował ją w mediach publicznych, i co? Co do zasady dodawało to Konfederacji wiarygodności i poparcia. Obawiam się, że cały ten spektakl „straszenia Braunem", on się faktycznie odbędzie, tylko odniesie skutki odwrotne do deklarowanych. Może sprawi, że Kaczyńskiemu trudno będzie bez Brauna rządzić, że jakaś duża reprezentacja polityków związanych z Braunem znajdzie się w przyszłym parlamencie [...]. Ten scenariusz może doprowadzić do wzrostu popularności Grzegorza Brauna i uczyni to własnymi rękoma Donald Tusk – powiedział Trudnowski.

Dalej komentator wskazał na otoczenie premiera. – Ludzie tacy jak Roman Giertych, blisko współpracujący z nim Jan Piński, który przecież wydawał książki z Grzegorzem Braunem, będą wręcz zachęcać Tuska do tego, że to najlepsza metoda, aby uchronić Polskę przed powrotem do władzy Kaczyńskiego – podsumował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8

Miało nas nie





Rafał A. Ziemkiewicz

Niepodległość Polski jest znowu zagrożona. A policja i służby znów są w rękach ludzi, którzy przez wiele lat nie cofali się przed stosowaniem przeciwko świętującym patriotom najbardziej bandyckich chwytów. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie wątpię, że Marsz Niepodległości znowu przyciągnie tłumy

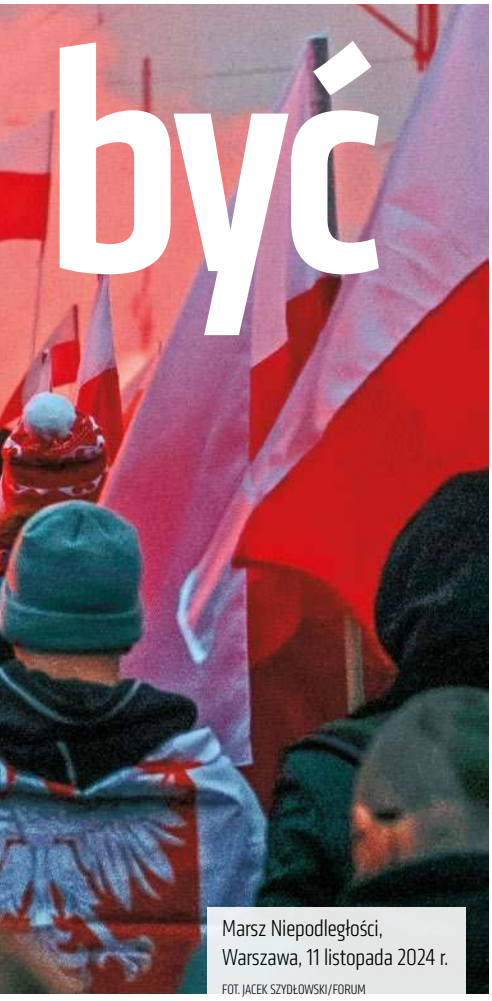
Czyj jest Marsz Niepodległości? Pytanie wraca co roku. Bo jest „czyjś" przynajmniej zdaniem tych, którzy się na niego nie wybierają, względnie czynią to po to, by psuć jego uczestnikom radość z wydarzenia. Rafał Trzaskowski użył ostatnio tego argumentu w filmiku internetowym, by wyłgać się z obietnicy udziału w Marszu, którą złożył w prezydenckiej kampanii wyborczej, podczas wizyty u Sławomira Mentzena. Trzaskowski teraz zwraca uwagę, że powiedział, iż chciałby przyjść na Marsz „razem ze wszystkimi", ale niestety „wszystkich" nie będzie, ponieważ jest to impreza „jednego środowiska politycznego".

W jaki sposób Marsz może przestać być imprezą jednego środowiska, skoro inne środowiska odmawiają wzięcia w nim udziału dopóty, dopóki jest imprezą jednego? Logika prezydenta Warszawy, który tyle razy na tyle różnych sposobów starał się Marszowi zaszkodzić i nie dopuścić do kolejnych jego edycji, przypomina mamuśkę ze starego kawału: „Nie wchodź do wody, zanim się nie nauczysz pływać".

ZNACZĄCA ROLA PREZYDENTA

A w dodatku w tym roku Marsz Niepodległości łączyć będzie co najmniej dwa środowiska. Oprócz dzisiejszej Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej, które były tam od zawsze, do udziału w Marszu wezwał swoich członków i sympatyków także PiS; mają się pojawić na nim Jarosław Kaczyński oraz inni czołowi działacze partii. Swój udział zapowiedział także prezydent Karol Nawrocki. To nie jest nowość, zdarzało się już maszerować z narodowcami i wolnościowcami jego poprzednikowi, a obecny

eprasa.pl cd4abdcfc8



Marsz Niepodległości, Warszawa, 11 listopada 2024 r.
FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

prezydent, w przeciwieństwie do kojarzonego wyłącznie z PiS Andrzeja Dudy, jest postrzegany bardziej jako łączący oba środowiska, zdaniem niektórych nawet bliższy Konfederacji niż PiS.

Sama obecność sympatyków PiS też nie jest żadną nowością. Owszem, kierownictwo partii, z różnych powodów, nie zawsze chciało być z Marszem kojarzone, ale o znaczeniu corocznego wydarzenia, szczególnie w pierwszych latach, gdy Ruch Narodowy i środowisko skupione wtedy wokół Janusza Korwin-Mikkego były jeszcze relatywnie słabe, w dużym stopniu zadecydowały Kluby „Gazety Polskiej". Pojawiły się tam w odruchu sprzeciwu wobec próby wyrugowania Marszu ze stolicy, zainspirowanej przez organizacje lewackie, którym patronowała „Gazeta Wyborcza" – a formalnie jej stołeczny dodatek, kierowany wtedy przez Seweryna Blumsztajna. Żartowałem potem, że Blumsztajn powinien dostać za to od organizatorów jakiś dyplom i najlepiej złotą honorową odznakę ONR.

Ponieważ od tamtego czasu minęło już 15 lat – co znaczy, że wielu dzisiejszych uczestników było wtedy, w tym pionierskim dla manifestacji czasie, w powijakach – warto przypomnieć. Do roku 2009 różne mniej lub bardziej skrajne grupki, odwołujące się do tradycji narodowej (raczej tradycji ruchów narodowo-radykalnych końca lat 30. niż endecji Romana Dmowskiego, Romana Rybarskiego czy Mariana Seydy), usiłowały zaznaczyć 11 listopada swoje istnienie i odrębność, urządzając demonstracje a to pod Grobem Nieznanego Żołnierza, a to pod kolumną Zygmunta. Ich pojawienie się ściągało bojówkarzy lewicy, usiłujących „nacjonalistów" rozpędzać, więc z reguły kończyło się to bijatyką, interwencjami policji, czasem też „beką" z policyjnych komunikatów, jak np. z tego o zatrzymaniu zakłócającego zgromadzenie Roberta Biedronia za „stawianie oporu i łapanie policjantów za pałki". Generalnie mało kto się tam pojawiał i mało kto zwracał na to uwagę, impreza uchodziła za uliczny folklor.

Wszystko zmieniło się, kiedy dojrzewający do poważniejszej polityki działacze narodowi i wolnościowi postanowili oczyścić swe obchody ze „skinów". Młodzież Wszechpolska i Obóz Narodowo-Radykalny sformułowały wspólne zasady pokojowego przemarszu, wykluczające m.in. hasła rasistowskie i antydemokratyczne (spowodowało to w tej drugiej organizacji odejście części działaczy, którzy założyli efemeryczną Falangę), do porozumienia przystąpili korwiniści (proszę wybaczyć, ale nie potrafię sobie przypomnieć, czy nazywali się wtedy jeszcze Unią Polityki Realnej, Unią Prawicy Rzeczypospolitej czy może już Kongresem Nowej Prawicy). Zaproszono też kilka kojarzonych z prawicą osób publicznych do komitetu honorowego imprezy. Miałem zaszczyt znaleźć się w tym gronie, choć – przyznawałem potem otwarcie – uważałem to za ryzykowne i w pierwszym Marszu brałem udział trochę z duszą na ramieniu. Nie żebym bał się zwołanych przez „Wyborczą" bojówkarzy, ryku, który z siebie wydawali, tłukąc w bębny, gwiżdżąc i wykrzykując obelgi. Nic podobnego. Obawiałem się, czy zza pleców nie wyskoczy mi jakiś prowokator z wrzaskami o Żydach i gazie. Ale organizacja nie zawiodła, nowo powstałe porozumienie zdało egzamin i ostatecznie Marsz pokazał, że prawica „na prawo od PiS" ma już dość liczną, poważną i świadomą zasad polityki kadrę, daleką od przypisywanego jej chuligaństwa i ekstremizmów.

CO KNUŁA „WYBORCZA"

To właśnie rozwścieczyło środowiska lewicowo-liberalne. Jej media jasno wyznaczyły nam rolę łysych troglodytów, wykrzykujących z nienawiścią antysemickie brednie. Takich narodowców potrzebowali i takich zawsze starali się kreować, nawet wbrew najoczywistszym faktom. Tysiące młodych ludzi w garniturach i normalnych ubraniach, z rodzinami, w radosnym nastroju, często studiujących na prestiżowych uczelniach lub wykonujących dobre zawody, mówiących o swym patriotyzmie w sposób mądry i wyważony – to był dla michnikowszczyzny niewyobrażalny koszmar. Przystąpiła do wściekłego ataku we wszystkich mediach, żądając, by „wykopać faszystów ze stolicy". Wspomniany redaktor Blumsztajn ogłosił wtedy, że „Wyborcza" zakupiła 100 tys. gwizdków, którymi mieszkańcy Warszawy „wygwiżdżą" masowo maszerujących, pokazując im w ten sposób, jak bardzo sobie „nie życzą". Blumsztajn tłumaczył potem, że chciał tym gwizdaniem „ucywilizować" spontaniczny protest ruchów lewicowych i zapobiec przemocy. Moim skromnym zdaniem on i jego gazeta raczej do niej zachęcali. Dawid Wildstein, wykorzystując swą niekojarzącą się z prawicą powierzchowność, poszedł wtedy na zebranie lewaków i redaktorów „Gazety", naradzających się, jak zniszczyć Marsz – wszyscy uważali go za „swojego" i nie krępowali się, dzięki czemu powstała relacja, jak sądzę, dostępna gdzieś w Internecie do dziś, bezlitośnie obnażająca bezmiar nienawiści i hipokryzji tych środowisk.

Koniec końców, przyniosły one efekt odwrotny do zamierzonego. Zaangażowanie przeciwko Marszowi gazety Michnika, dla wszystkich środowisk patriotycznych będącej symbolem narodowej zdrady (pamiętajmy, że było to już po wszystkich jej oszczerczych

eprasa.pl cd4abdcfc8

antypolskich kampaniach), zaowocowało spontanicznym wybuchem sympatii dla Marszu. W roku 2011, na moje oko, ok. połowy uczestników stanowili członkowie Klubów „Gazety Polskiej" i różnych centroprawicowych stowarzyszeń (sam maszerowałem wtedy w kolumnie Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy). Widać to było po transparentach. Zapamiętałem zwłaszcza jeden, idealnie moim zdaniem oddający emocje, które zbudowały popularność Marszu: „Nie będą komunisty robić ze mnie faszysty!". Rok później z kolei szedłem z jedną z brygad ONR (tak się ta organizacja dzieliła, nie na „okręgi" czy „oddziały", a na „brygady") i razem z nią oraz maszerującym obok Klubem „Gazety Polskiej" śpiewaliśmy na przemian „Pierwszą Brygadę" oraz „Ojczyzno ma, tyle razy we krwi skąpana". Po takim ekumenicznym doświadczeniu trudno poważnie traktować tezę, że jest to impreza „tylko jednego środowiska".

IDIOTYCZNY SPÓR

Świadczę z całą mocą, że „pisowcy" od samego początku, od pierwszych furiackich ataków lewicowo-liberalnego establishmentu i pierwszych prowokacji rządzących, stanowili nie mniej istotną część uczestników marszu co narodowcy i wolnościowcy. Przykro mi, że trzeba takich zapewnień, ale w przestrzeni publicznej pojawiły się głosy – na szczęście żaden z nich nie pochodził od osób w dyskursie publicznym ważnych – z jednej strony odmawiające zwolennikom PiS prawa do uważania Marszu za „swój", z drugiej sugerujące, że „gdyby nie my", to Marsz dawno zostałby zaorany przez Tuskową policję i służby oraz Michnikowe media.

To idiotyczny spór. Marsz od początku był spontanicznym wyrazem uczuć polskich patriotów, radości z niepodległej Polski, a także wyrazem gniewu na „pedagogikę wstydu", na kłamstwa o „polskich obozach koncentracyjnych" czy „strefach wolnych od LGBT", na butę michnikowszczyzny i jej uporczywe oczernianie Polski przed zachodnimi protektorami, czego wyrazem były obrzydliwe słowa Guya Verhofstadta z trybuny europarlamentu o „dziesiątkach tysięcy faszystów maszerujących w Warszawie, zaledwie sto kilometrów od Auschwitz". Sam przecież tego nie wymyślił.

Rozumiem, że wielu zwolenników PiS boli, iż emocje te zagospodarowali narodowcy, a nie ich partia oraz jej lider. Ale rozumiem też, dlaczego przez wiele lat sam Jarosław Kaczyński dystansował się od Marszu i choć jego zwolennicy brali w nim udział, uciekał na Dzień Niepodległości np. do Krakowa. Jakiś udział miała w tym zapewne kulturowa niechęć żoliborskiego inteligenta i wychowanka Jana Józefa Lipskiego do tradycji endeckiej – ale tak samo, jak o wzięciu udziału w Marszu tegorocznym, tak o dystansowaniu się w latach poprzednich decydowała sytuacja polityczna.

To, że emocje wokół Marszu zagospodarowali narodowcy, a nie PiS, spowodowała zapewne kulturowa niechęć Jarosława Kaczyńskiego do tradycji endeckiej

Obóz rządzący do roku 2015 i niestety od roku 2023 znowu sprawujący władzę, nie przebierając w środkach, starał się osiągnąć wobec Marszu dwa cele. Po pierwsze, upowszechnić tę jego wizję, którą głosił wspomniany Verhofstadt. Sam byłem świadkiem, pisałem o tym wielokrotnie, podpalenia jednego z wozów transmisyjnych TVN podczas Marszu w roku 2011 i na własne oczy widziałem, że dokonała tego grupa „tituszków" celowo wpuszczonych z zewnątrz przez policyjny kordon i zaraz po podpaleniu wypuszczona. Widziałem filmy pokazujące „z góry", z okna jednej z kamienic, przebieg wydarzeń na placu Konstytucji, gdzie policja po prostu „hodowała" zamieszki, wpuszczając celowo kolejnych zadymiarzy i pałując spokojnych, przypadkowych ludzi, a peowskie media, choć sam Marsz był już w tym czasie daleko, uporczywie transmitowały to, by przekonać Polskę i cały świat, że Marsz Niepodległości to chuliganeria, patologia, faszyzm i skinheadzi. Pamiętam różnych „pożytecznych idiotów", lezących ochoczo w narrację o „faszystach" – artystę Althamera, który poprzebierał kilkadziesiąt osób w repliki oświęcimskich pasiaków i kazał im się układać na trasie Marszu, czy kucharza Makłowicza, który pokazywał obchody Dnia Niepodległości w Norwegii, powtarzając, że skandynawscy patrioci to potrafią się w takim dniu cieszyć i smacznie zajadać, a w Polsce nienawiść, faszyzm i w ogóle uuu... I mam szczerą nadzieję, że zobaczę jeszcze kiedyś komendanta policji Marka Działoszyńskiego zmuszonego zeznawać przed jakąś specjalną komisją, a najlepiej przed sądem, o szczegółach tych wszystkich prowokacji, o bitwie o squat, puszczeniu z dymem „Tęczy" (jedno i drugie w ogóle poza trasą Marszu), a zwłaszcza o podpaleniu budki i śmietnika pod ambasadą Rosji oraz o tym, kto, łamiąc jasne w tym punkcie prawo, zwinął w tym momencie policyjną ochronę spod ambasady, by minister Radosław Sikorski mógł tokować o pisowskim faszyzmie, zagrażającym Polsce i całej Europie.

Kaczyński był w tym czasie pod wystarczająco silnym ostrzałem propagandowym i politycznym, by nie ryzykować jeszcze kojarzenia się z tak atakowanym Marszem Niepodległości, zwłaszcza nie mając wielkiego zaufania do środowisk, które go wykreowały. Ale nie trzeba razem maszerować, by razem realizować strategiczne cele.

Ten cel jest oczywisty. Piętnaście – właściwie, mówiąc ściśle, już szesnaście – lat temu walczyliśmy o prawo do świętowania polskiej niepodległości, którego odmawiały nam środowiska głoszące otwarcie, że „patriotyzm to patridiotyzm" i „nie różni się od rasizmu", w najlepszym wypadku polegać powinien na „zbieraniu kup po psie" i że „myślenie w kategoriach państw narodowych to anachronizm". A świętowanie „niepodległości" powinno polegać na świętowaniu „niepodlegania nienawiści", czyli na afirmowaniu gejów, lesbijek i transów.

Dziś jesteśmy w innym miejscu. Niepodległość Polski, która wtedy wydawała się ugruntowana, jest znowu zagrożona. A policja i służby znów są w rękach ludzi, którzy przez wiele lat nie cofali się przed stosowaniem przeciwko świętującym patriotom najbardziej bandyckich chwytów. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie wątpię, że Marsz znowu przyciągnie tłumy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



Jarosław Kaczyński
FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP



Sławomir Mentzen
FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP



Grzegorz Braun
FOT. PIOTR POLAK/PAP



Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kaczyński jest więźniem przeszłości

RYSZARD GROMADZKI: Czy w najbliższych tygodniach możliwe są w Polsce turbulencje, które wstrząsnęłyby sceną polityczną? Mam na myśli „bunt przystawek" w postaci wyjścia z koalicji rządzącej grupy posłów byłej Trzeciej Drogi albo zwrot przez rufę ze strony PSL w trakcie zbliżającego się kongresu tej partii.

MARCIN PALADE: Pół żartem, pół serio, gdyby taka wolta w łonie koalicji rządzącej miała się dokonać w nieodległej perspektywie, to byłoby to dowodem na niezwykłą skuteczność nowego ambasadora amerykańskiego, który rozpoczyna właśnie swoją misję w Polsce. A mówiąc zupełnie poważnie, w polskiej polityce nie można absolutnie odrzucić żadnego scenariusza, w tym takiego, który uznalibyśmy dziś za bardzo mało prawdopodobny i który wiązałby się nie tyle ze zmianą większości, ile z przedterminowymi wyborami. Rządząca od wyborów roku 2023 centrolewicowa koalicja jest bardzo niespójna. Turbulencje związane z jej funkcjonowaniem, w tym wewnętrzne spory, to chleb powszedni. Będą kolejne, zwłaszcza w obliczu nadciągającego scenariusza greckiego dla Polski. Mała dygresja. Skoro o tym scenariuszu mowa, to paradoksem jest to, że tzw. demokraci ostrzegali kilka lat temu, że tzw. patrioci zafundują Polsce drugą Grecję, a teraz sami mogą okazać się jej fundatorami. Ale czym jest wspomniana niespójność centrolewu wobec perspektywy jeszcze dwóch lat bycia u władzy? Odkleić się nie jest łatwo.

Frukta związane ze sprawowaniem władzy są niezawodnym spoiwem...

Wystarczy spojrzeć na sondaże. Z czterech partii, które wspierają rząd Donalda Tuska, tylko Koalicja Obywatelska jest silniejsza niż dwa lata temu. Lewica plasuje się minimalnie ponad progiem wyborczym i nie może być pewna, czy po następnych wyborach będzie reprezentowana w Sejmie. Polska 2050 i PSL są pod progiem wyborczym. Prawdopodobieństwo odtworzenia centrolewicowej koalicji po przedterminowych wyborach jest na dziś bardzo niewielkie. Przeliczając dzisiejsze sondaże na mandaty, zaplecze Donalda Tuska nie miałoby ich nawet 200, a w roku 2023 było ich 248. Tym samym przedterminowe wybory oznaczałyby koniec z fruktami i perspektywę kilku lat w opozycji, a dla niektórych być może nawet scenariusz bycia opozycją pozaparlamentarną.

Maksymalistyczny cel stawiany przez kierownictwo PiS, czyli uzyskanie 40 proc. poparcia w kolejnych wyborach i odzyskanie samodzielnej władzy, jest celem realnym wobec generalnej rekonstrukcji, która się dokonała po prawej stronie sceny politycznej Polsce po wyborach parlamentarnych w 2023 r. i tegorocznych wyborach prezydenckich?

Mówienie o 40 proc. dla PiS i samodzielnych rządach przez prezesa Kaczyńskiego zbiegło się w czasie z wygraną Karola Nawrockiego. Ale jego sukces

eprasa.pl cd4abdcfc8

to sukces całej prawicy, z malejącym udziałem PiS. Wygrana Nawrockiego nie dość, że nie dała żadnej premii sondażowej PiS, to jeszcze w ostatnim czasie obserwujemy spadek notowań tej partii. Przypomnę, że na półmetku traci ona prawie co piątego wyborcę i w średniej sondażowej schodzi poniżej 30 proc., co nie miało miejsca w żadnym miesiącu na przestrzeni ostatnich 10 lat. Obecna reprezentacja w Sejmie PiS skurczyłaby się o 20–30 mandatów, co oznacza jeszcze większe oddalenie od – będących przedmiotem westchnień na Nowogrodzkiej – 231 mandatów. Na miejscu prezesa Kaczyńskiego wróciłbym do października roku 2023 i zastanowił się, dlaczego mimo wygranej w wyborach nie rządzi. W kampanii też słyszeliśmy bajdurzenie o samodzielnej większości i o sondażach wewnętrznych z „4" z przodu. A jak się skończyło? I wtedy, i teraz problemem PiS jest przekonanie o potędze i niebranie pod uwagę wariantu, że władzą trzeba się będzie z kimś podzielić. I tak jak w roku 2023, tak teraz w 2025 r. PiS atakuje tych, którzy teoretycznie mogliby w tym budowaniu większości po 2027 r. pomóc. Są trzy zasadnicze powody, by tę obłędną strategię w końcu porzucić. Pierwszy, niezależny od tego, co powie czy zrobi Kaczyński. To struktura wyborców PiS, partii – jak byśmy to określili czytelnie – 60+. Odchodzą ku wieczności wyborcy tej formacji, a do wyborów w roku 2027 to będzie ubytek przekładający się na 2–3 p.p. mniej w wyborach. Najmłodsi zaś – ci, którzy będą już mogli głosować, i nieco starsi z przedziału 18–25 lat, są skłonni głosować na PiS cztery razy rzadziej niż ich babcie i dziadkowie. Baza wyborcza zatem ewidentnie się kurczy i to jest dopiero początek tego, negatywnego dla PiS, scenariusza. Drugi powód, z pośrednim wpływem Kaczyńskiego, to przesunięcie się, uważanej do niedawna za ekstremę, Konfederacji na pozycje centroprawicowe i obejście PiS od strony centrum. Tu, gdzie PiS nie ma już czego szukać. A do tego mocne wejście do polityki, samodzielnie, Grzegorza Brauna i jego Korony. To formacja, która jest na prawo od PiS i zabiera wyborców tożsamościowych Kaczyńskiemu. Wielu czekało na widoczną – w rozumieniu liczącą się – alternatywę i nie wróci do PiS. W takim właśnie zakleszczeniu

Jestem sobie w stanie wyobrazić koalicję szerokiego centrum, bez lewicy, z dużą częścią Konfederacji. Co może być pokłosiem scenariusza, w którym po wyborach PiS nie będzie chciał po partnersku ułożyć się z Konfederacją

PiS nie był od dwóch dekad. No i trzeci czynnik, już bezpośrednio związany z liderami PiS. Zachowanie sprowadzające się do atakowania konkurencji po prawej stronie, skuteczne przez lata, ale to było przed zużyciem się PiS sprawującego przed dwie kadencje władzę. Fakt niepogodzenia się z tym, że nie ma się już monopolu na – nazwijmy to obrazowo – przekaz patriotyczny. Jak rozdaje się karty, wygrywa i nagle przy stoliku pojawia się jeden, drugi gracz i zaczyna zabierać z kupki zwycięzcy, to...? Można przyjąć do wiadomości i ułożyć się, mając świadomość, że dalsza eskalacja grozi ryzykiem z konsekwencjami dla faulującego. Można też, co wybrał Kaczyński, tupać nogami i krzyczeć, że nie oddamy nawet guzika, kiedy publiczność widzi, że krzyczący ma znacznie więcej ubytków w swoim odzieniu.

Czy w tej sytuacji agresywny kurs obrany przez Kaczyńskiego wobec obydwu Konfederacji jest właściwą strategią?

Zdaniem PiS tak, bo do tego się przyzwyczaili przez dwie dekady eldorado na prawo od centrum. Wystarczyło wyjść i na tle biało-czerwonej flagi powiedzieć, że wszyscy patrioci muszą zgromadzić się pod jednym sztandarem z napisem „PiS". A kto nie chce, ten nie jest patriotą. Ale taka forma, nazwijmy to, szantażu „na patriotyzm" już się nie uda. Czasy się zmieniły, ludzie się zmieniają. Albo się to zrozumie, albo będziemy świadkami dalszego osłabiania się PiS. Każda zaczepka pod adresem Konfederacji czy Korony może tylko umocnić w przekonaniu tych, którzy już odeszli, a mają świadomość, że zmiana rządzących po roku 2027 jest możliwa tylko przy współdziałaniu wielu podmiotów na prawicy. Tak więc PiS nie tylko może nie odzyskać już utraconych wyborców, a może nawet stracić kolejnych, którzy w końcu zapytają: jak to jest, że największym wrogiem dla Kaczyńskiego są Konfederacja czy Korona, a nie Donald Tusk, i to, czego Nowogrodzka się najbardziej boi: czy PiS to rzeczywiście, przynajmniej na osi wartości, prawica?

To oznaka utraty kontaktu z rzeczywistością.

Jarosław Kaczyński i jego otoczenie są więźniami przeszłości. Więźniami potęgi, związanej z absolutną dominacją o głosy na prawo od centrum. Zatrzymali się na 2015, może 2019 r. Nie uwzględniają procesów, które dokonały się w ostatnich latach czy miesiącach. Żeby daleko nie sięgać, spójrzmy na niedawne wybory prezydenckie, które tym bardziej powinny otworzyć oczy Nowogrodzkiej. Nie byłoby przecież sukcesu Karola Nawrockiego, gdyby nie głosy twardej prawicy. Ich udział w całej puli głosów prawicowych był o wiele wyższy niż w wyborach w 2020 r., a z racji procesów, o których mówiłem wcześniej, będzie jeszcze wyższy podczas następnej elekcji prezydenckiej w 2030 r. Można śnić o potędze, ale wybudzenie się może, a już to widzą wszyscy, którzy nie utracili kontaktu z rzeczywistością, być bardzo nieprzyjemne.

Czy relatywnie wysokie notowania Konfederacji i Korony Brauna to efekt oferty politycznej obu tych ugrupowań, która trafia w zapotrzebowanie społeczne czy bardziej słabości PiS?

Konfederacja tylko częściowo wzmocniła się kosztem PiS. Więcej zaczyna zabierać tej partii Korona Brauna. I Konfederacja, i Korona są świeższe, mniej zgrane, co nie jest w postpolityce, w której funkcjonujemy, bez znaczenia. Rebranding to podstawa przeżycia. Kto się nie koryguje, rewitalizuje, wypada z gry. Partie Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna rosną też w dużej mierze za sprawą słabości PiS. A składa się na to wiele czynników. Choćby kurs obrany przez lidera PiS po wyborach roku 2023, co jest kontynuowane, a co widzieliśmy na niedawnej konwencji programowej w Katowicach, sprowadzający się z grubsza do zawołania „ani kroku w tył, za nic się nie kajamy, wszystko robiliśmy dobrze". Każdy przytomny, słuchając tego, od razu zadałby pytanie: Skoro wszystko

eprasa.pl cd4abdcfc8

było tak perfekcyjne, to czemu nie macie trzeciej kadencji? Skoro nie ma w szefostwie PiS chęci na dogłębną analizę ośmiu lat rządów, w tym w obszarze suwerenności, polityki klimatycznej, relacji z Ukrainą, Izraelem czy USA, Polskiego Ładu czy polityki covidowej, to nie ma się co dziwić, że notowania PiS spadają. Na koniec października notowania PiS są o ponad 7 p.p. wyższe niż suma poparcia dla, podgryzających tę partię, Konfederacji i Korony Brauna. Otwarte pozostaje pytanie, czy w nieodległej perspektywie to nie będzie szło w kierunku remisu. A jeśli to, co jest na prawicy, z defensywą PiS, tak mocno frustruje Nowogrodzką, to wyobraźmy sobie, co byłoby, gdyby poszło właśnie na ten remis.

Jeśli PiS nie zdobędzie 40 proc. głosów i nie zdoła utworzyć większości parlamentarnej po wyborach 2027 r., to będzie to oznaczało ostateczne bankructwo strategii politycznej Jarosława Kaczyńskiego?

Do tego czasu będziemy jeszcze pewnie oglądać konsolidację na centrolewicy. Być może do wyborów KO pójdzie razem z dawną Trzecią Drogą. Może będzie jakaś forma wskrzeszenia tejże Trzeciej Drogi. A to zmieni obraz widoczny teraz. Zmieni na plus dla obecnie rządzących, bo to ich polityczne zaplecze ma dziś ok. 6 proc. straconych głosów podprogowych. Przyjmując założenie, że obóz Donalda Tuska, ten z dawną Trzecią Drogą, nie będzie dysponował większością i do niej nie dorzuci się też Lewica, to realnym scenariuszem na stole jest Konfederacja, będąca języczkiem u wagi. Jestem sobie w stanie wyobrazić koalicję szerokiego centrum, bez lewicy, z dużą częścią Konfederacji. Co może być pokłosiem scenariusza, w którym po wyborach PiS nie będzie chciał po partnersku ułożyć się z Konfederacją. Czyli kolejne cztery lata PiS w opozycji? To z pewnością byłoby dobre dla polityków emerytów w otoczeniu Kaczyńskiego, ale nie będzie do zaakceptowania przez polityków młodszego pokolenia. Dziś jeszcze siedzą cicho, ale wszystko ma swój początek i koniec. To prawdziwe „sprawdzam" dla Kaczyńskiego to nie będzie czas do wyborów roku 2027, a to, co będzie po ich zakończeniu. Albo zejdzie na ziemię, albo straci to, co mu jeszcze zostało – partię. Liczącą się partię.

To otwiera przestrzeń do działania dla prezydenta Nawrockiego. Na wariant w postaci partii prezydenckiej pewnie jest za wcześnie.

Nie wydaje mi się, żeby do wyborów parlamentarnych w 2027 r. prezydent zaangażował się wprost, by przekształcić swoją kancelarię de facto w siedzibę partii prezydenckiej. Raczej spodziewam się ewentualnej zwiększonej aktywności prezydenta Nawrockiego w patronowanie paktowi senackiemu, czyli porozumieniu PiS, Konfederacji i Korony, by wystawić wspólnych kandydatów i odbić od centrolewu Senat. Rzecz naturalna, bo to odwołanie się do swojego zaplecza z II tury wyborów i myślenie na okoliczność reelekcji w roku 2030. Ale to byłby kurs kolizyjny z Nowogrodzką, która już ustami niektórych polityków odrzuciła jakiekolwiek paktowanie z Koroną Brauna. Od razu dopowiem, że niewzięcie pod uwagę Korony przy układaniu Senatu to proszenie się o to, by prawica pozostała w nim po roku 2027 dalej w opozycji. Liczę te rzeczy na bieżąco i biorę za nie odpowiedzialność. Tak więc najbliższe miesiące to test dla prezydenta Nawrockiego, czy będzie aktywniejszy w kontrze do Nowogrodzkiej, w zakopywaniu dołków na prawo od centrum. A ma w tym, o czym już mówiłem, głowa państwa długoterminowy interes.

Gest w postaci udziału prezydenta w Marszu Niepodległości wpisuje się w rolę mediatora prawicy, którą mógłby przyjąć Karol Nawrocki?

To na pewno jest sygnał wysłany nie tylko do Prawa i Sprawiedliwości, lecz także do Konfederacji i Korony Brauna, że ma w pamięci to, co wydarzyło się 1 czerwca 2025 r. Z punktu widzenia walki o reelekcję, a jest to cel zupełnie naturalny dla urzędującego prezydenta, jest czymś oczywistym, że prezydent wychodzi poza podziały, które są w tej chwili. Dlatego że tylko zbliżenie elektoratu po prawej stronie, od PiS, przez Konfederację, po partię Brauna, zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu w wyborach do Sejmu i Senatu w roku 2027. Co pozwoliłoby Karolowi Nawrockiemu spokojniej myśleć o tym, co po 2030 r.

Śmierć publiczna Grzegorza Brauna, do której próbuje doprowadzić ekipa Tuska wespół z patronami z zagranicy, może doprowadzić do rozbicia jego partii czy wręcz przeciwnie, przysporzy jej zwolenników? Ruch społeczny, który stoi za Braunem, ma charakter spontaniczny. Czy zdoła przetrwać zmasowane uderzenie w lidera?

Biorąc pod uwagę bazę wyborczą, tę obecną czy potencjalne jej rozszerzenie, w przypadku Grzegorza Brauna nie obawiałbym się aż tak bardzo planowanych wobec niego represji. Paradoksalnie w polskich warunkach może to tylko przysporzyć Koronie zwolenników, a nie odwrotnie. Choć temu procesowi musiałoby towarzyszyć już teraz przemodelowanie partii w kierunku pokazania twarzy innych liderów, budowania struktur, co w Godzinie „W" mogłoby okazać się, dla utrzymania trwałości i znaczenia środowiska, istotne.

Rozpoczęliśmy rozmowę od dygresji na temat nowego ambasadora USA w Polsce. Tom Rose będzie kolejnym namiestnikiem imperium amerykańskiego w Warszawie ostentacyjnie ignorującym polską suwerenność?

Jeśli popatrzymy na historię ostatnich 35 lat, na tych rezydujących w Warszawie gubernatorów 51 stanu USA, jak się często określa Polskę, to mamy raczej złe doświadczenia. Mam na myśli, żeby ująć to dosadnie, traktowanie kolonii przez metropolię. Oczywiście to jest w dużej mierze wina kolejnych ekip w III RP, które pozwoliły na to, by taka Georgette Mosbacher czy ostatnio Mark Brzezinski znacznie wychodzili poza przypisaną im sprawowaną funkcją rolę. A jeszcze bardziej dosadnie, bezczelnie wchodzili nam na głowę. No, ale taką mamy klasę polityczną. Mowa o tych, którzy już rządzili bądź rządzą. Jedni wiszą u klamki w Berlinie, drudzy w Waszyngtonie. Jak będzie z nowym ambasadorem? W przypadku ambasadora Toma Rose'a spodziewałbym się, z racji jego spokojnego usposobienia, mniej „fajerwerków", które za jego poprzedników miliony Polaków godnościowców bardzo poparzyły.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade *– socjolog polityki, autor opracowań i analiz z zakresu preferencji społeczno-politycznych i geografii wyborczej w Polsce. Od roku 1997 prowadził Ośrodek Badań Wyborczych, a w 2003 r. współtworzył Polską Grupę Badawczą.*

eprasa.pl cd4abdcfc8



Sądownicza wojna totalna



Łukasz Warzecha

Jak dzisiaj wygląda sytuacja z polskim sądownictwem? Najpierw jego odzyskiwanie za czasów PiS, a teraz „przywracanie praworządności" mają taki tylko efekt, że postępowanie sądowe trwa kompromitująco długo, a pewność prawa jest już tylko nic nieznaczącym frazesem. Co dalej?

Chciałoby się powtórzyć za Eklezjastą: nihil novi sub sole.

W połowie XVI w. Mikołaj Rej pisał w „Krótkiej rozprawie między trzema osobami, Panem, Wójtem, a Plebanem":

Ksiądz pana wini, pan księdza,
A nam prostym zewsząd nędza [...]
Ale nam chudym prostakom
Zewsząd cirpieć nieborakom.
Zły dzwonek, a gorsza kłoda,
Z obu stron niedobra zgoda.

Tak dzisiaj wygląda sytuacja z polskim sądownictwem. Najpierw jego odzyskiwanie za czasów PiS, a teraz „przywracanie praworządności" mają taki tylko efekt, że postępowanie sądowe trwa kompromitująco długo, a pewność prawa jest już tylko nic nieznaczącym frazesem. Jak do tego doszło? I co dalej?

Średni czas trwania postępowania sądowego jest bardzo ważnym wskaźnikiem kondycji wymiaru sprawiedliwości. Po pierwsze, mówi wiele o tym, na ile nowoczesne i przyspieszające rozwiązania są stosowane w sądownictwie danego kraju oraz jak kompetentni są tamtejsi sędziowie. Wszak dobrze poprowadzone postępowania sądowe nie wymagają rewizji w II instancji i rozstrzygania od nowa, co radykalnie wydłuża czas trwania sprawy. Po drugie, długość oczekiwania na prawomocne rozstrzygnięcie jest wskazówką przede wszystkim dla przedsiębiorców, w tym inwestorów, którzy nie mogą sobie pozwolić na czekanie latami na wyrok, bo oznacza to dla nich wymierne straty finansowe. Jak zatem wygląda to w Polsce w następstwie trwającego

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl cd4abdcfc8

od 2017 r. „naprawiania" sądownictwa powszechnego?

Najwyższa Izba Kontroli przedstawiła w ubiegłym roku raport „Zapewnienie sprawnego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości", a w nim – czas oczekiwania na prawomocne zakończenie sprawy na poziomie sądów rejonowych, czyli na najniższym szczeblu (bez apelacji). Na tym poziomie nie są rozstrzygane skomplikowane sprawy karne, w tym te o przestępstwa zaliczane w Kodeksie karnym do kategorii zbrodni (np. zabójstwo). NIK przedstawiła czas trwania postępowań w miesiącach w latach 2013, 2018 i 2023. We wszystkich analizowanych kategoriach czas się wydłużył!

Na przykład w przypadku cywilnych postępowań procesowych było to odpowiednio 9,2, 11,6, a w 2023 r. aż 16,5 miesiąca. W sprawach karnych procesowych: 5, 4,8, 5,7 miesiąca. Najgorzej rzecz wygląda w przypadku spraw gospodarczych procesowych: 11, 14,9 i 17,7 miesiąca. Przypominam: to tylko te postępowania, które zakończyły się prawomocnym orzeczeniem na poziomie I instancji.

NOWY POZIOM DESTRUKCJI

Opowieść, którą zaserwowano nam w czasie poprzednich rządów, mówiła, że warunkiem uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości jest doprowadzenie do głębokich personalnych zmian. Postawiono na najbardziej radykalny wariant tychże poprzez zmianę sposobu obsadzania Krajowej Rady Sądownictwa. Wcześniej zasiadających w niej sędziów wyłaniało samo środowisko sędziowskie, jednak poszczególni sędziowie nie dysponowali w tych wyborach identyczną siłą głosu. Najmniejszą mieli sędziowie z pierwszej linii, wykonujący najwięcej pracy. Największą – ci z najwyższych organów sądowniczych, a więc z Sądu Najwyższego czy Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ówczesna ekipa Zbigniewa Ziobry nie skorzystała z pomysłu, aby te wybory zdemokratyzować i każdemu dać identyczny głos, pozostawiając jednak wyłanianie 15 członków KRS w rękach samych sędziów.

Tę decyzję można krytykować – ja uważam ją za mocno nieszczęśliwą – ale forsowana od 2018 r. teza, że tak wyłaniana KRS jest „bezprawna" czy „niekonstytucyjna", jest w oczywisty sposób fałszywa. Konstytucja w art. 187 mówi, że KRS składa się m.in. z „piętnastu członków wybranych spośród sędziów Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów administracyjnych i sądów wojskowych". Nie mówi natomiast, kto tych członków ma wyłaniać. Obrońcy „wolnych sądów" argumentują, że skoro w kolejnym punkcie mowa jest o czterech członkach „wybranych przez Sejm spośród posłów oraz dwóch członków wybranych przez Senat spośród senatorów", to należy uznać, że brak wskazania na Sejm jako organu wybierającego w punkcie poprzednim trzeba interpretować jako nakaz wybierania sędziów przez sędziów. Ale niby dlaczego? Owszem, faktem jest, że konstytucja jest w tym aspekcie niejasna, ale też oznacza to, że metoda wybrana przez PiS nie jest z nią sprzeczna. Jest jedynie sprzeczna z jedną z możliwych interpretacji – a to całkiem co innego. Interpretacji może być bowiem tyle co interpretatorów. Pretensje należy kierować do twórców ustawy zasadniczej z 1997 r., którzy najpewniej nie wyobrażali sobie, jaką intensywność może osiągnąć polityczna wojna w Polsce.

Od czasu, gdy władzę przejęła obecna koalicja, weszliśmy na nowy poziom destrukcji sądownictwa. PiS zwalczał faktycznie tych sędziów, którzy przeciwstawiali mu się politycznie – a ci z kolei sędziowie wielokrotnie przekraczali granicę tego, co powinno być dla sędziego dopuszczalne w jego ewentualnej aktywności publicznej. Jeśli taka w ogóle ma być możliwa, co wcale nie jest oczywiste. Są bowiem kraje, gdzie sędziowie w ogóle nie mają prawa publicznie komentować polityki i wydaje się to całkiem uzasadnione. PiS nie próbował jednak zbiorowo odsuwać od orzekania jakiejkolwiek grupy. Nawet jeśli można mieć zastrzeżenia do działalności Izby Dyscyplinarnej SN, powołanej w 2018 r. i istniejącej do 2022 r.

Obecna koalicja tymczasem postanowiła rozprawić się zbiorowo z sędziami powołanymi na wniosek KRS po 2017 r. Najbardziej zaangażowani po stronie „wolnych sądów" sędziowie oraz politycy obozu władzy konsekwentnie stosują pogardliwe i obraźliwe określenie „neosędziowie". Ich twierdzenie, że te osoby sędziami nie są, jest kolejnym wymysłem jawnie sprzecznym z konstytucją. Ta mówi bowiem w art. 179: „Sędziowie są powoływani przez Prezydenta Rzeczypospolitej, na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, na czas nieoznaczony". Jasno i jednoznacznie wynika z tego, że dana osoba staje się sędzią wskutek powołania przez prezydenta, dla którego wniosek KRS jest tylko czynnikiem inicjującym. A przecież nawet teza o rzekomej niekonstytucyjności KRS jest naciągana. Mamy tu więc piętrowo nawarstwioną manipulację. Wbrew twierdzeniom „wolnosądowców" tezy o tym, że ta grupa osób to nie sędziowie, nie potwierdził

REKLAMA



eprasa.pl cd4abdcfc8

żaden wyrok TSUE. Nie żeby miało to w ogóle jakiekolwiek znaczenie. TSUE poszerza swoje kompetencje na tego typu sprawy prawem kaduka.

OBŁUDA STRONNIKÓW ŻURKA I BODNARA

Stronnicy Żurka i Bodnara obłudnie powtarzają dwa stwierdzenia. Pierwsze: że oferują jakąś formę kompromisu. To nieprawda – każdy projekt czy postulat, zakładający zbiorowe potraktowanie grup sędziów zamiast indywidualnej oceny ich niezawisłości i jakości orzekania, jest oparty na logice konfrontacji. Nie może być kompromisu w dwóch zasadniczych sprawach: że sędziów powołuje prezydent i osoba powołana przez głowę państwa na to stanowisko nie może go stracić na mocy jakiejkolwiek ustawy oraz że ocena sędziów musi mieć wymiar indywidualny. Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej jest niedopuszczalne.

Taka indywidualna ocena została zresztą już umożliwiona w ramach testu niezawisłości, wprowadzonego w 2022 r. w ustawach o Sądzie Najwyższym i ustroju sądów powszechnych. Jego zamysłem było umożliwienie wyłączenia ze składu sędziego – co ważne: przed rozpoczęciem postępowania i tylko w konkretnej sprawie. To rozwiązanie było krytykowane, i to przez obie strony konfliktu o sądownictwo. Zwolennicy radykalnych działań w PiS twierdzili, że to wycofanie się z twardej linii i nadmierne ustępstwo wobec Komisji Europejskiej oraz frakcji „wolnych sądów". Druga strona twierdziła, że to wybieg nierozwiązujący problemu. Pojawiały się także analizy wskazujące, że test właściwie dubluje dostępną od dawna możliwość wnioskowania o wyłączenie sędziego ze składu ze względu na domniemanie braku jego bezstronności.

Drugie obłudne stwierdzenie brzmi, że zbiorowe wykluczenie rzekomo wadliwie powołanych sędziów jest „przywracaniem praworządności". Jest dokładnie odwrotnie. Tak jak sprawiedliwość ma zawsze wymiar indywidualny i indywidualna jest odpowiedzialność – to jedna z podstawowych zasad zachodniego systemu prawnego: tylko sam sprawca odpowiada za swój czyn – tak samo niedopuszczalne jest kategoryzowanie sędziów bez względu na ich indywidualne kompetencje czy sposób orzekania. To zaś właśnie chce zrobić teraz minister Waldemar Żurek, przedstawiając „ustawę praworządnościową". Mimo różnego potraktowania sędziów w kilku kategoriach nadal przyjmuje ona logikę odpowiedzialności zbiorowej, w dodatku różnicując konsekwencje dla kilku kategorii „neosędziów", choć przecież wszyscy oni zostali powołani przy udziale tej samej, rzekomo niekonstytucyjnej KRS. I tak osoby powołane na pierwsze stanowisko sędziowskie zachowują swój status; osoby, które uzyskały awans przy udziale KRS po 2017 r., po dwóch latach muszą wrócić do „macierzystych sądów"; wszystkie konkursy na stanowiska mają zostać powtórzone przed „legalną KRS"; osoby z innych zawodów prawniczych mogą zostać referendarzami (oznacza to radykalną degradację) lub wrócić do pierwotnego zajęcia.

Według autorów projektu ustawa ma zakończyć podziały w sądownictwie i przywrócić wiarę w praworządność. Skromnie zatytułowano ją: „Ustawa o przywróceniu prawa do niezależnego i bezstronnego sądu ustanowionego na podstawie prawa przez uregulowanie skutków uchwał Krajowej Rady Sądownictwa podjętych w latach 2018–2025". Ten opis nie ma nic wspólnego z prawdą. Ustawa nie jest pomysłem na jakiekolwiek wygaszenie konfliktu, ale przeciwnie: wyniesie go na kolejny poziom. Wśród sędziów, którzy zostali awansowani przez KRS po 2017 r., jest mnóstwo takich, którzy na ten awans zwyczajnie zasłużyli i długo na niego czekali. Mieli tego pecha, że otrzymali go akurat w tym, a nie innym momencie. Ponieważ nie byli zaangażowani w partyjne wojenki, nie przyszło im nawet do głowy, aby nie przyjmować nominacji. Teraz oni wszyscy, niezależnie od tego, jak radzą sobie na nowym stanowisku, mieliby zostać odesłani z powrotem na niższy szczebel – z powodu wojenki pomiędzy dwoma obozami politycznymi.

WYJŚCIE Z KLINCZU?

Żurek wydaje się szantażować w tej sprawie prezydenta. We wpisie na X przywołał bowiem głośny wyrok sądu apelacyjnego z Poznania i oznajmił, że takim zdarzeniom zapobiegnie wdrożenie ustawy praworządnościowej. „Podpisze pan?" – skierował pytanie do Karola Nawrockiego. Przypomnę: sąd apelacyjny w Poznaniu uchylił wyrok dla potrójnego zabójcy tylko dlatego, że w składzie orzekającym był sędzia awansowany przez KRS po 2017 r. To nie tylko przykład orzeczenia jawnie bezprawnego – żaden sędzia nie ma prawa podważać legitymacji innego sędziego do orzekania – lecz także ordynarnie lekceważącego dobro pokrzywdzonych, którzy narażeni będą na ponowny proces z przyczyn najczyściej politycznych.

To nie jest pierwsze tego typu orzeczenie, ale każde kolejne przyczynia się do ugruntowania przeświadczenia o braku pewności prawa. Jak się okazuje, walory merytoryczne orzeczenia mogą nie mieć znaczenia – kluczowy może być sam sposób powołania sędziego. A trudno mieć pretensję do uczestników postępowania, że starają się korzystać z każdej dostępnej metody, by uchylić niekorzystny dla siebie wyrok. Co ciekawe, sami stronnicy ministra Żurka, jeśli w ich własnej prywatnej sprawie orzekał „neosędzia", a orzeczenie było korzystne, jakoś wyroku nie podważali. Tak postąpił sam Waldemar Żurek, otrzymując korzystny dla siebie wyrok w sprawie frankowej od sądu, w którego składzie zasiadała sędzia powołana na stanowisko w 2021 r.

Ustawa nie jest pomysłem na jakiekolwiek wygaszenie konfliktu, ale przeciwnie: wyniesie go na kolejny poziom

Sytuacja w sądownictwie to coraz bardziej klincz bez wyjścia. Nie wygląda, aby PiS miał pomysł na sensowne wyjście z tej sytuacji. W ostatnim czasie politycy tej partii zaczęli powtarzać, że po przejęciu władzy ze stanu sędziowskiego muszą zostać wydaleni wszyscy ci sędziowie, którzy podważali status innych sędziów – a więc np. uchylali wyroki niższej instancji tylko w oparciu o tę przesłankę. Czy to zmieni cokolwiek z punktu widzenia obywateli? Być może minimalnie zwiększyłaby się pewność prawa. Ale niemal na pewno otworzyłoby to nowy rozdział wojny totalnej, w której ofiarami są i klienci wymiaru sprawiedliwości, i ci sędziowie, którzy nie chcą robić polityki, ale po prostu uczciwie pracować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8

Kochaj i rób, co chcesz?



Piotr Semka

Przez polskie media społecznościowe przetoczyła się burzliwa debata na temat katolickich rekolekcji dla rodziców dzieci homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych. Szczególne emocje wywołał wywiad z o. Mateuszem Filipowskim, karmelitą bosym, w którym wyjaśnił on intencje swojego działania. Cała sprawa doskonale pokazuje, jak zdezorientowani są dziś polscy katolicy w kwestii zmian w nauczaniu Stolicy Apostolskiej, a także to, jak nowe nurty podchwytywane są przez niektórych duchownych w Polsce

Wszystko zaczęło się od niewielkiego plakaciku, który pojawił się w sieci. „Moje dziecko jest LGBT+. Po pierwsze i najważniejsze kocham Cię… Rekolekcje dla rodziców dzieci homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych". Ogłoszenie zawiera informacje, że rekolekcje w marcu przyszłego roku w Gorzędzieju koło Tczewa prowadzić będą o. Mateusz Filipowski z zakonu braci karmelitów bosych i s. Scholastyka Iwańska ze Zgromadzenia Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim. Ogłoszenie o rekolekcjach nie wzbudziłoby może tyle uwagi, gdyby nie ilustracja plakatu: tęczowy sztandar powiewający na błękitnym niebie.

26 października na łamach „Gościa Niedzielnego" ukazał się wywiad z o. Mateuszem Filipowskim, który wyjaśniał, skąd wziął się pomysł rekolekcji i jakie są jego założenia.

Zakonnik mówił: „Opowiem tu o moim pierwszym doświadczeniu, z czasów, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem. Jedna z moich przyjaciółek dokonała coming outu – ogłosiła, że jest lesbijką. Ja byłem w dużym szoku i próbowałem zorganizować wobec niej jakąś akcję ratunkową. A ona napisała krótki list, który zmienił moje spojrzenie na zawsze:

»Mateusz, Ty mnie nie zmieniaj, Ty po prostu przy mnie bądź«. Ona wtedy była związana z Kościołem, wszyscy z tego środowiska się od niej odwrócili. Byłem chyba jedynym, który przy niej został. Dziś różnimy się we wszystkim, ale to nie przeszkadza naszej relacji. I jeśli ona kiedyś będzie chciała, żebym jej opowiedział Dobrą Nowinę, to przyjdzie do mnie nie dlatego, że bombardowałem ją katolicką prawdą, tylko dlatego, że w relacji miłości cały czas przy niej byłem. Bezwarunkowo i niezależnie od wszystkiego".

Kolejny fragment pozwalał na przypuszczenie, jaki typ relacji może być proponowany na zapowiadanych rekolekcjach.

„Czasami słyszymy, że trzeba »walić prawdą po głowie«, tylko że te osoby najczęściej znają naszą prawdę. Wiedzą, co o ich sytuacji mówi Kościół, są przecież inteligentne. Kim jestem, by je zmieniać? – chcę z nimi po prostu być, bo wierzę, że ta prosta relacja miłości doprowadzi tę osobę do zbawienia. Jeśli Bóg jest miłością, to wykorzysta również tę naszą relację miłości bycia, towarzyszenia pomimo wszystko dla jej dobra, dla jej zbawienia".

Prowadząca wywiad z ramienia „Gościa Niedzielnego" Agnieszka Huf zadaje w tym momencie zakonnikowi pytanie: „Jak być wsparciem dla rodziców, którzy drżą o zbawienie dla swojego dziecka? Starali się wychowywać je po katolicku, przekazali mu wszystko, co mieli, ale teraz to dziecko żyje w grzechu. A jeśli jeszcze stwierdza, że Kościół się od niego odwraca, i ono odwraca się całkowicie od Kościoła, zrywa jakąkolwiek jedność, to rodzice żyją w strachu, że śmierć oznaczać może rozłąkę na wieczność...".

Ojciec Filipowski odpowiada: „A ja wbiję kij w mrowisko: dlaczego nie mamy takiej samej »troski o zbawienie« w kontekście innych grzechów? Mam wrażenie, że w Kościele, zwłaszcza w Polsce, seksualność bywa nadmiernie akcentowana. Czasami mam wrażenie, że najlepiej, żebyśmy otworzyli czeluści piekielne i wrzucili tam te wszystkie osoby, bo one nie mają w żaden sposób szans na zbawienie... A przecież Dekalog to nie jest tylko szóste przykazanie. Głęboko wierzę, że Bóg jest miłością, ma plan zbawienia dla każdego człowieka. I myślę, że najpewniejszą drogą dotarcia do osoby jest po prostu miłość [...]. Nie możemy przy tym zapominać, że my również jesteśmy grzesznikami. Tyle że może akurat nie grzeszymy w przestrzeni szóstego przykazania".

Na kolejne pytanie dziennikarki o użycie skrótu LGBT+ i symbolu tęczowej flagi na plakacie zakonnik odpowiedział: „Dziś jest to powszechnie używany skrót oraz symbol. Złoszczenie się na ten symbol to, moim zdaniem, strzał w kolano. Jak ktoś świadomie używa Internetu, to wie, że algorytmy promują to, co nośne, a ja chcę dotrzeć do rodziców, którzy również w Internecie szukają wiedzy, wsparcia i zrozumienia. Więc mogę wejść na ich tory, by dotrzeć do ludzi, albo się obrazić i wyjść z piaskownicy. Pytanie, co przyniesie lepsze owoce. A myślę, że w wielu wypadkach traktowanie skrótu

eprasa.pl cd4abdcfc8

LGBT+ czy tęczy jako zła jest przesadne i lękowe".

KOCHAĆ I PRZEMILCZAĆ?

Podstawowe pytanie, które osobie wierzącej nasuwało się po lekturze wywiadu z o. Filipowskim, brzmiało: Dlaczego w wywiadzie nie było ani słowa o tym, że rodzice osób o skłonnościach homoseksualnych powinni przy zachowaniu miłości przypomnieć, że nauczanie Kościoła, nie uważając skłonności za grzech, stawia jednak wymóg powstrzymywania się od seksualnej aktywności fizycznej?

Ta podstawowa kwestia stała się punktem wyjścia do dwóch krytyk ze strony istotnych postaci sytuujących się po konserwatywnej stronie dialogu wewnątrzkatolickiego. Pierwsza polemika pochodziła spod pióra Pawła Chmielewskiego, publicysty portalu PCh24 i tygodnika „Do Rzeczy", którego polemika została zatytułowana: „Czy homoseksualistów nie warto uczyć o porządku moralnym? Dziwna postawa polskiego karmelity". Chmielewski napisał na portalu PCh24: „Opieka duszpasterska to rzecz wskazana – dla każdego, również dla rodziców dzieci, które borykają się z poważnymi trudnościami, a może przede wszystkim dla nich. Problem tylko w tym, jaką przyjmuje się perspektywę: traktuje się grzech poważnie czy nie [...]. Bycie, towarzyszenie, miłość – z założeniem, że nie ma sensu głosić nauki moralnej Kościoła, bo homoseksualiści i tak już ją znają. Dziwna to wrażliwość duszpasterska, która tak bardzo troszczy się o grzesznika, że świadomie rezygnuje z próby racjonalnego wyjaśnienia mu, w jaki sposób i dlaczego błądzi – i wezwania go do nawrócenia".

Jeszcze jeden fragment polemiki Chmielewskiego był niezwykle istotny. „Homoseksualiści i rodzice homoseksualistów, o których troszczyć się chce o. Mateusz Filipowski, słyszą od świata nieustanny komunikat: gejostwo i lesbijstwo jest normalne i dobre, bądźcie tacy dalej, to w porządku. Kościół nie może wobec tego poprzestać na towarzyszeniu – musi przypominać, że narracja świata jest fałszywa. Jeżeli tego nie robi, to łatwo sam popadnie w błąd – tak dzieje się w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Belgii, Luksemburgu, w wielu diecezjach



Ojciec Mateusz Filipowski

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Włoch czy Stanów Zjednoczonych. Księża błogosławią pary tej samej płci, akceptują zachowania homoseksualne, zaczynają współbrzmieć ze światem – po co ryzykować brakiem wrażliwości wobec ludzi ukształtowanych przez rewolucję?".

Drugi ważny głos polemiczny wobec wywiadu z o. Filipowskim wyszedł od Kai Godek, znanej działaczki pro-liferskiej. Kluczowy fragment jej wypowiedzi brzmiał: „Ja, świecka kobieta, podpowiem ojcu: żeby dziecko zostało zbawione, to musi poznać, jaka jest różnica między dobrem a złem, rozwijać w sobie dobro i zwalczać zło. Nie wolno mu przedstawiać zła w miłych, sympatycznych słowach, jakby to zło było przynajmniej częściowo dobrem i obiektem do akceptacji czy wręcz do afirmacji. Jeśli na sytuację życia w grzechu wołającym o pomstę do nieba albo na sytuację sympatyzowania z grupą, która ten grzech afirmuje i przez niego się określa, rodzice zareagują stwierdzeniem »kocham Cię«, to dzieciak dostaje informację, że jest OK. Rolą rodzica jest powiedzieć: »kocham Cię i dlatego użyję wszystkich moich możliwości, żebyś w tym nie tkwił«. A nie samo »kocham«, bo może zostać to opacznie zrozumiane".

POLEMIKA, A RACZEJ BRAK POLEMIKI

Kaja Godek w swoim dość rozsądnym tekście polemicznym nie ustrzegła się od chybionego wątku reakcji na zapowiedź seminarium. Jak napisała: „Pierwsza poważna wątpliwość, która się nasuwa, dotyczy terminologii. Zasadniczo nie ma czegoś takiego jak dzieci homo-, bi- ani transseksualne. Dzieci są istotami płciowymi, a nie seksualnymi – aż do wieku dojrzewania [...]. Tylko ktoś o skłonnościach pedofilskich widzi dziecko jako istotę seksualną. Czy tak postrzegają dzieci rekolekcjoniści z Gorzędzieja?".

Ten zarzut Kai Godek był zupełnie nietrafny. Jeśli o. Filipowski i s. Iwańska pisali o rekolekcjach dla rodziców dzieci homoseksualnych, biseksualnych i transpłcio-

eprasa.pl cd4abdcfc8

wych, to używali słowa „dziecko" w sensie relacji rodzice i ich potomstwo, a nie w znaczeniu nieletni. I ten jeden fałszywy krok w argumentowaniu Kai Godek został natychmiast wykorzystany w wystąpieniach obrońców o. Filipowskiego.

Ale dyskusja była szersza. I reprezentatywnym przedstawicielem obrońców o. Filipowskiego był publicysta Tomasz Terlikowski. Poszedł on najdalej w dyskredytowaniu wątpliwości polemistów zakonnika ze Zgromadzenia Karmelitów Bosych. Jak napisał na Facebooku, tekst Pawła Chmielewskiego uzmysłowił mu, że choć obaj są w tym samym Kościele, to wyznają różne religie. Po czym Terlikowski dodał: „Z jednej strony mamy religijność lęku, przymusu religijnego, posłuszeństwa podniesionego do granic absurdu, nieustannego straszenia piekłem: »muszę być w Kościele, jeżeli nie chcę być potępiony«". Jak wskazuje publicysta RMF i TVN24: „I ten duch nieustannego przymusu, normy, zasady, prostej jak konstrukcja cepa religijności, w której Bóg formułuje zasady, Kościół je podaje do wierzenia, a ja mam je zachować, bo inaczej pójdę do piekła, unosi się nad tym tekstem. Sumienie, rozeznanie, miłość, autonomia moralna są w nim nieobecne. Jest proste i do głębi przemocowe, antyintelektualne wezwanie do ślepego poddania".

Inny typ polemiki z krytykami o. Filipowskiego przedstawił Błażej Kmieciak, niegdysiejszy przewodniczący państwowej komisji do spraw wyjaśniania przypadków molestowania osób małoletnich: „Cieszę się niezmiernie, widząc zakonnika, który szczerze wierzy w Boga i człowieka. Mam w sobie 1000 pytań dotyczących każdej z liter LGBT+. Mam jednak w sobie też zgodę na to, by nie



Grafika reklamująca rekolekcje

wszystkie odpowiedzi znać, skupiając się na człowieku i tyle".

Wreszcie głos zabrał sam o. Filipowski, który nie ustosunkował się do ważnych pytań i niemal całą swoją wypowiedź poświęcił swej goryczy wobec „hejtu i przemocy", których zaznał. „Choć przemoc słowna jest krzykliwa i próbuje człowieka ściągnąć ku różnym przepaściom, to jednak te setki prywatnych i cichych wiadomości – na które, wybaczcie, ale nie jestem w stanie dziś odpowiedzieć – są pełne światła i nadziei, które podnoszą człowieka w chwili zwątpienia.

Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna, niezależnie od tego, czy wspierał mnie publicznie czy prywatnie, słowem czy modlitwą. Dziękuję".

JEDNOSTKOWA DYSKUSJA W KATOLICKIM KRAJU

Teoretycznie zarówno stanowisko o. Filipowskiego, jak i racje przedstawiane przez Pawła Chmielewskiego i Kaję Godek powinny być punktem wyjścia do szerokiej dyskusji na temat różnych spojrzeń na powinność kapłana wobec grzechu. W wypadku podejścia do osób homoseksualnych temat ten powinien być tym bardziej skłaniający do poważnej debaty, że w całym Kościele toczy się obecnie dyskusja, w jakim stopniu należy skorygować dotychczasowe tradycyjne stanowisko wobec aktywnych praktyk homoseksualnych.

Nie jest przypadkiem, że o. Filipowski w swoim wywiadzie dla „Gościa" użył słów „kim jestem, by je (osoby homoseksualne) zmieniać?". Trudno nie zauważyć w tym nawiązania do słynnej wypowiedzi papieża Franciszka z sierpnia 2013 r., który pytany o fakt zatrudnienia w Watykanie jawnego księdza homoseksualisty Battista Ricca, prałata watykańskiego banku – Instytutu Dzieł Religijnych, odpowiedział: „Jeśli ktoś jest homoseksualistą i poszukuje Boga oraz ma dobrą wolę, to kim ja jestem, by go osądzać?". Ta słynna już dziś wypowiedź otworzyła drogę do późniejszych passusów w adhortacji „Amoris laetitia", w których pojawia się zachęta do „pełnego szacunku towarzyszenia" osobom homoseksualnym, tak „aby osoby o skłonności homoseksualnej miały konieczną pomoc w zrozumieniu i pełnej realizacji woli Bożej w ich życiu" („Amoris laetitia", 250).

Ponieważ wszystkie te określenia są bardzo niejasne, w Kościele katolickim powstaje coraz szersza przestrzeń dla indywidualnej interpretacji takich zaleceń i przekuwania ich na praktykę duszpasterską. A to z kolei pcha osoby duchowne z kręgu Kościoła otwartego do coraz większego otwarcia na osoby homoseksualne i spychania na dalszy plan jakiegokolwiek potępienia dla aktywnych praktyk homoseksualnych takich osób. Co więcej, jak widać to na przykładzie planowanych rekolekcji o. Filipowskiego i s. Iwańskiej, nastawienie to poszerza się także na środowisko rodziców osób z kręgu skłonności homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych. Tyle że musi to wywoływać reakcje osób, które widzą w tym uleganie przez osoby Kościoła polityce środowisk LGBT+.

A środowiska te zawsze używały w swojej socjotechnice naturalnej u wielu rodziców skłonności, by z miłości do własnego dziecka akceptować także te ich zachowania, które z punktu widzenia katechizmu Kościoła nie powinny być akceptowane. Z tego powodu do udziału w homoparadach lobby LGBT zachęca „dumnych z wyboru swych dzieci" rodziców.

Ale to, co najbardziej porażające, to to, że polemika ta jest udziałem tak małego grona osób. W Polsce są dziesiątki biskupów, duchownych teologów czy praktyków duszpasterskich, którzy mogliby w tej sprawie zabrać głos. Z jakiegoś powodu tego nie robią. Jedynie Klub Jagielloński zaproponował Pawłowi Chmielewskiemu i Tomaszowi Terlikowskiemu publiczną debatę na ten temat. Czy do niej jednak dojdzie – wciąż nie wiadomo.

Wobec braku jasności, jaka jest ostateczna doktryna Kościoła w takich sprawach, w praktyce okazuje się, że śmiałków do zabierania głosu jest zaskakująco niewielu. Jeśli rozważa się powody odchodzenia wielu osób od Kościoła, to warto brać pod uwagę i to rozchwianie norm. Bo dla każdej grupy zbudowanej na jakiejś doktrynie takie rozchwianie jest zabójcze i wyniszczające. Dyskusja wokół rekolekcji o. Filipowskiego i s. Iwańskiej jest na to kolejnym i niezwykle wyrazistym dowodem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O UTĘCZOWIENIU NAUCZANIA KOŚCIOŁA PISZE PAWEŁ CHMIELEWSKI NA STR. 46

eprasa.pl cd4abdcfc8

Drogowa paranoja rządu



Łukasz Zboralski

Dzieci do 16. roku życia będą obowiązkowo jeździć w kasku na rowerze i hulajnodze elektrycznej, chyba że pojedzie obok rodzic, wówczas obowiązku nie będzie. Młodzi kierowcy nadal nie będą dobrze szkoleni, za to będą za karę wysyłani na odpłatną edukację po przekroczeniu 12 punktów karnych. Najnowsza nowelizacja prawa drogowego to samoośmieszenie władzy

W Olszynach (Małopolskie) 8 sierpnia 11-letni chłopiec na hulajnodze elektrycznej wjechał przed ciężarówkę. Nie przeżył. To piąte dziecko, które zginęło, jeżdżąc takim pojazdem, tylko w tym roku.

14 lipca w szpitalu zmarł 15-latek, który kilka dni wcześniej jechał z kolegą hulajnogą elektryczną w Świeciu. Nie utrzymali równowagi, przewrócili się, jechali bez kasków.

12 lipca w miejscowości Szare 12-latek został znaleziony martwy koło hulajnogi elektrycznej, którą jechał. Nie miał kasku.

17 czerwca zmarł 13-letni chłopiec, który jechał bez kasku i przewrócił się na hulajnodze elektrycznej w Sierakowicach. Lekarze kilka dni walczyli o jego życie.

17 kwietnia 17-latka wsiadła na hulajnogę elektryczną z 15-letnim kolegą. Rozpędzili się do ok. 70 km/h i tak próbowali pokonać zakręt w Przydworzu. Nie udało im się. Dziewczyna zmarła w szpitalu. Jechali bez kasków.

To tylko najstraszniejsze przykłady. Tych, którzy zostali ranni, nawet ciężko – wliczając w to dorosłych – nikt nie jest w stanie w Polsce policzyć, bo samodzielne upadki na hulajnogach elektrycznych czy rowerach nie są ujmowane w statystyce wypadków, gdy nie jest wzywana policja. Szpitale nie prowadzą żadnych statystyk pacjentów, których przyjmują po urazach w wypadkach drogowych.

Liczby odnotowanych wypadków na hulajnogach elektrycznych nie są duże na tle wypadków np. powodowanych przez kierowców samochodów, ale problem stał się zauważalny. Jak relacjonował minister infrastruktury, tylko do czerwca zarejestrowano 130 wypadków z udziałem osób poruszających się na hulajnogach elektrycznych. „Prawie 60 proc. tych osób to są dzieci w wieku do 17. roku życia, a 30 proc. tych poszkodowanych w wypadkach miało obrażenia bardzo poważne" – mówił Dariusz Klimczak na początku czerwca.

Problem z hulajnogami elektrycznymi, który teraz stał się bardzo jaskrawy w Polsce, polega na tym, że w odróżnieniu od rowerów to pojazdy z małymi kołami. Najechanie na nierówność, kępę trawy szybciej kończy się wywrotką niż na rowerze. Zwykle też wówczas upada się prosto przez kierownicę, stąd obrażenia bardzo często dotyczą twarzy i czaszki.

W dodatku w Polsce do tej pory nikt nie kontrolował, czym tak naprawdę jeżdżą ludzie, w tym dzieci. Po pierwsze, wszystkie duże wypożyczalnie zagranicznych koncernów w regulaminach zaznaczają, że z hulajnóg elektrycznych korzystać mogą tylko ci, którzy mają co najmniej 18 lat. Tymczasem na ulicach polskich miast na tych sprzętach najczęściej widywani są nastolatkowie dużo młodsi. Jakim cudem udaje im się logować do systemu i opłacać wynajem? Czy robią to za pośrednictwem kont swoich rodziców?

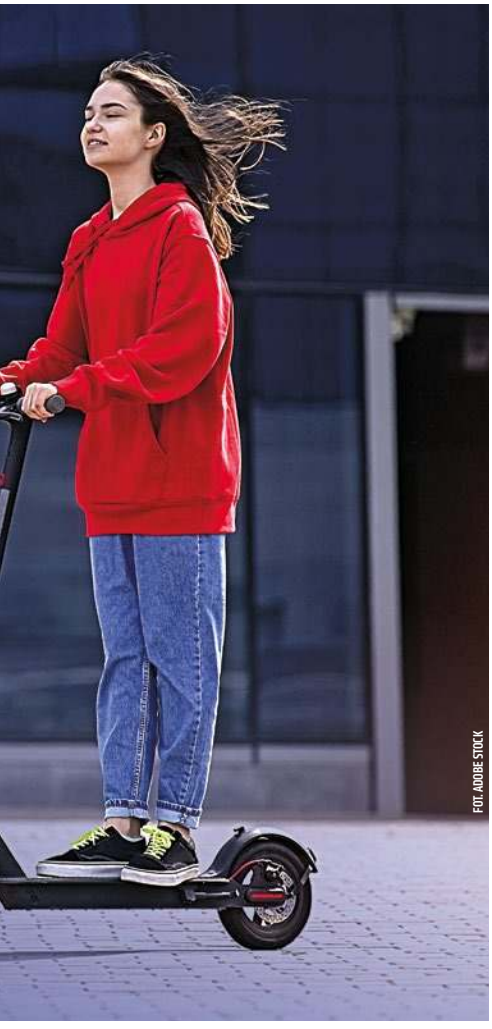
KASKI OBOWIĄZKOWE, ALE NIEOBOWIĄZKOWE

Po licznych wypadkach dzieci lekarze zaczęli publicznie mówić o tym narastającym problemie.

„Od kilku lat widzę wyraźną zmianę w profilu pacjentów. Coraz częściej trafiają do nas dzieci i młodzież po wypadkach na hulajnogach elektrycznych. To dzieci młodsze niż kiedyś – czasem mają 8, 9 czy 10 lat, a jeżdżą pojazdami, które osiągają prędkość nawet 25 km/h" – powiedział portalowi brd24.pl dr Łukasz Rákász, neurochirurg, ordynator dziecięcego szpitala w Warszawie. I dodał: „Efekt? Upadki z dużą siłą, często głową o asfalt. A to kończy się tomografią, obserwacją, a czasem operacją. Kiedyś takich urazów u dzieci widzieliśmy mniej. Dziś to już codzienność. Dlatego potrzeba tu rozsądku, edukacji i – być może – zmian w przepisach, które będą chronić najmłodszych przed zbyt szybkimi, niedostosowanymi do ich wieku pojazdami".

Rząd pod presją społeczną zapowiedział, że „coś" zrobi ze sprawą hulajnóg. Pierwszym pomysłem urzędników Mini-

eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. ADOBE STOCK

sterstwa Infrastruktury był nakaz jazdy w kaskach na hulajnogach elektrycznych do 18. roku życia. Kierownictwo resortu tego pomysłu samo się wstępnie wstydziło, bo gdy wyciekł do mediów, próbowało zaprzeczać albo zarzekało się, że to tylko wstępna dyskusja.

Ostatecznie resort Dariusza Klimczaka przygotował dopisek do nowelizacji prawa wprowadzającej prawo jazdy dla 17-latków. Nie zdecydowano się na obowiązek kasków do 18. roku życia, ale do 16. Jednocześnie objęto tym obowiązkiem dzieci jadące nie tylko hulajnogami, lecz także rowerami. To wzbudziło protesty organizacji rowerowych.

I kiedy już sprawa wydawała się przesądzona, to podczas przyjmowania tego projektu przez rząd ktoś nagle zmienił te zapisy. Nie wiadomo kto i nie wiadomo, dlaczego dopisał jeszcze jeden paragraf. A mówi on o tym, że obowiązek kasków dla dziecka znika, gdy jedzie ono na rowerze czy hulajnodze z opiekunem prawnym. Głowa dziecka nagle nie musi być chroniona, bo obok pedałuje mama? Takie zepsucie propozycji ochrony dzieci zbulwersowało tych, którzy brali udział w konsultacjach przepisu w ministerstwie.

„Nie wiem, skąd wzięła się ta wrzutka" – dziwiła się w rozmowie z Onetem prof. Beata Jurkiewicz, konsultantka krajowa w dziedzinie chirurgii dziecięcej, która jako ekspertka uczestniczyła w konsultacjach tej nowelizacji. „Ta propozycja jest niepoważna – stwierdziła. – Przecież rodzic jadący obok dziecka nie jest w stanie zareagować, gdy ono się zachwieje i wywróci. Ten przepis nie powinien zostać przyjęty w tej wersji, bo to się mija z celem, wypacza cel tej zmiany, jaką jest nakaz jeżdżenia w kasku".

Być może posłowie wykreślą zbędny dopisek z nowelizacji na etapie prac w Sejmie. Nie jest też jednak wykluczone, że przez tak dziwną propozycję prawa cały pomysł na obowiązkową jazdę dzieci w kaskach upadnie.

18-LATKOWIE DO KIEROWANIA AUTOBUSAMI

Przyjęta przez rząd nowelizacja zakłada też obniżenie wieku zdobywania prawa jazdy na samochód osobowy do 17. roku życia. Ministerstwo Klimczaka w uzasadnieniu projektu twierdzi, że w ten sposób chce „poprawić mobilność" młodych ludzi. To kłamstwo. Bo 17-latek będzie musiał przez sześć miesięcy (albo do ukończenia 18. roku życia) obowiązkowo jeździć z opiekunem, który ma co najmniej 25 lat. Czy zatem 17-latkowie będą naprawdę mobilni, skoro będą musieli jechać z kimś, kto równie dobrze mógłby ich wozić?

Obniżenie wieku zdobywania uprawnień związane jest z innym zapisem w tym projekcie. I chyba rząd bał się Polakom otwarcie to powiedzieć. Na tyle dramatycznie brakuje rąk do pracy, że Polska dopuści, by za kierownicą autobusów siadali ludzie w wieku 18 lat (obecnie trzeba mieć 24 lata albo przejść szeroki kurs tzw. kwalifikacji wstępnej w wieku 21 lat). To dlatego mają zdobywać pewne doświadczenie za kierownicą osobówki już rok wcześniej (oraz oczywiście stać się potencjalnymi wyborcami KO niejako w podzięce za możliwość uzyskiwania prawa jazdy).

Wpuszczając młodszych kierowców na ulice, rząd zaryzykuje życie ich i nasze

Nie wiadomo, dlaczego władze boją się opowiadać o tym temacie. Przecież sadzanie dobrze wyedukowanego 18-latka zamiast przybysza z odległych krajów za kierownicą miejskich autobusów mogłoby być wręcz rozwiązaniem korzystnym. Pod jednym warunkiem – że młody człowiek zostanie dobrze przygotowany do swojej funkcji.

Jednak i tu w nowelizacji nastąpił nieoczekiwany zwrot. Otóż wpuszczanie młodszych ludzi za kierownice samochodów miało wiązać się z odmrożeniem przepisów z 2013 r., które zakładały poprawę kształcenia młodych kierowców. Wzorem Skandynawów każdy świeży kierowca musiałby odbyć obowiązkowy kurs z bezpieczeństwa ruchu drogowego – teoretyczny i praktyczny. Miałby doświadczyć wpadnięcia w poślizg, żeby zrozumieć, że granica wypadku nie jest tak odległa, jak mu się wydaje, i że wpadnięcie w poślizg najczęściej będzie oznaczało fatalne zderzenie.

Taki zapis się w nowelizacji znalazł, ale podczas przyjmowania projektu przez rząd ktoś postanowił go skreślić. Zamiast tego zapisano coś innego – że każdy młody kierowca przekraczający w okresie próbnym (trzy lata dla 17-latków i dwa lata dla 18-latków) sumę 12 punktów karnych będzie skierowany na przymusową edukację na płytach poślizgowych za 300 zł.

Rząd zamiast uczyć młodych kierowców, jak się na drodze nie zabić i nie zrobić innym krzywdy, postanowił zatem ich narażać słabym kształceniem, a edukować dopiero tych, którym udało się przeżyć, ale otrzymali mandaty. Trudno w tym szukać logiki.

Wpuszczając młodszych kierowców na ulice, rząd zaryzykuje życie ich i nasze. Grupa kierowców w wieku 18–24 lata najczęściej powoduje wypadki drogowe. Teraz do tej grupy ryzyka dołączyć ma najmłodszy rocznik.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8

Polska jest jak „Heweliusz”



Piotr Gociek

Oto najlepszy polski serial nakręcony dotąd dla Netflixa. I jeden z najlepszych polskich seriali po roku 1989 w ogóle

Kapitana „Heweliusza”, Andrzeja Ułasiewicza, gra Borys Szyc

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Każda taka tragedia to dwa spektakle. Ten pierwszy jest przerażający: pozostają rozsypane po okolicy szczątki pasażerskiego samolotu albo dryfujące przedmioty zmyte przez fale z pokładu. Rozrzucone bagaże pośród płonących kolejowych wagonów. Albo gruz budynków zdmuchniętych eksplozją. I ciała, wszędzie ciała.

BEZLITOSNA GRA

Potem nadchodzi drugi spektakl. Ten nie jest przerażający, lecz odrażający; zwykle rozgrywa się za kulisami. Bo oficjalnie przecież wszyscy pracują dla dobra śledztwa i oficjalnie wszyscy oferują wszelką pomoc, i oficjalnie nie będą szczędzić wysiłków, bla, bla, bla. A tak naprawdę rozpoczyna się bezlitosna gra. Kto winien? Kto zawiódł? Kto powinien zapłacić? Stanowiskiem, odszkodowaniem, reputacją, może wyrokiem, jeśli udowodnione zostanie, że niedbałość czy zaniechanie przyczyniły się do tragedii. Prawda nie jest ważna, ważne są interesy (zwykłe oraz polityczne). Oglądaliśmy niedawno w SkyShowtime serial „Lockerbie: W poszukiwaniu prawdy” („Lockerbie”, 2025). Był to świetny przykład, jak dobra i zaskakująca może być opowieść o sprawach, które niby wszyscy znają, bo przecież w mediach opisywane były po wielokroć i na różne sposoby.

Lina ratunkowa dla tych wszystkich, którym nie na rękę nadmiernie intensywne poszukiwanie prawdy: błąd ludzki. Oczywiście najlepiej zrzucić wszystko na kapitana, pilota, maszynistę – on i tak nie żyje, a tylu innych ocali posady. Bo tu przecież czekają nowe interesy do ubicia, biznes musi się kręcić. Co z tego, że ktoś czegoś zaniechał, nie dopilnował, zawalił przegląd albo zlekceważył nadzór. Każdy winny ma przełożonych, ci przełożeni mają swoich przełożonych, a tamci swoich dyrektorów, prezesów itd. I co? Wszyscy niby teraz mają cierpieć? Dość cierpienia – wołają więc faryzeusze, którzy zawsze chcieliby, żeby nie tylko przyczyną był ludzki błąd, lecz także żeby dociekanie prawdziwych przyczyn tragedii w ogóle nie miało miejsca.

SIEĆ POWIĄZAŃ

Polski miniserial „Heweliusz” nakręcony przez Jana Holoubka do scenariusza Kacpra Bajona wpisuje się w schemat takiej opowieści idealnie. To perfekcyjne kino gatunkowe (tak, wiem, serial, ale doświadczanie emocji u widza jest tu niczym na katastroficznej superprodukcji w kinie). Scenarzysta miał zadanie bardzo trudne: jak w emocjonujący sposób opowiedzieć historię, o której wiadomo, jak się skończyła. Jak utrzymać nas w napięciu przez pięć długich odcinków – ostatni to właściwie niemal film, prawie 80 minut. Odpowiedź jest oczywista w swej hollywoodzkości, ale jednocześnie tak wielu polskich autorów o niej zapomina… To nie niespodziewane zakręty fabuły napędzają akcję, tylko bohaterowie. A dla działania bohaterów najważniejszy jest konflikt. Sieć powiązań między bohaterami serialu wydaje się bardzo skomplikowana, ale najłatwiej rozpatrywać ją w zestawach dwójkowych.

Oto dwóch kapitanów morskiej żeglugi, znajomych, a może nawet przyjaciół kpt. Ułasiewicza, który zatonął wraz z „Heweliuszem”. Pierwszy, kapitan promu „Karkonosze” Henryk Ubara (gra go Andrzej Konopka) okazuje się koniunkturalistą, który będzie mówił to, co mu przeło-

eprasa.pl cd4abdcfc8

żeni nakażą ze strachu o własną pozycję, apanaże, karierą (a i jakieś kompromaty pojawiają się w tle). Drugi, kpt. Piotr Binter (Michał Żurawski), pływał na zmianę z Ułasiewiczem na „Heweliuszu". To fachowiec, który z początku przekonany jest, że prawda obroni się sama, więc próbuje się nie angażować w proces wyjaśnienia przyczyn katastrofy. Jednak gdy okazuje się, że rozprawa trybunału morskiego w sprawie „Heweliusza" to bezczelna ustawka, bierze sprawy we własne ręce i próbuje rozwikłać zagadkę oraz popchnąć śledztwo na właściwe tory. Pamiętamy: aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili. Bitner wybiera działanie, bo ktoś musi. On i prawnik najęty do obrony Ułasiewicza to dwaj ostatni sprawiedliwi.

Ów prawnik, mecenas Ignacy Budzisz (Jacek Koman) broniący dobrego imienia kapitana „Heweliusza", to postać niczym z amerykańskich dramatów sądowych. Ubogi, spoza układów, odważny i kompetentny. Jego przeciwieństwem jest prof. Janusz Pyzel (Michał Pietrzak), przewodniczący trybunału w sprawie „Heweliusza": śliski cwaniak, który doskonale wie, gdzie leżą konfitury, i który prowadzi rozprawę tak, żeby wynik był zgodny z oczekiwaniami jego zleceniodawców i politycznych patronów. Oficjalnie jest zatem cenionym specjalistą od prawa morskiego, a tak naprawdę po prostu cynglem układu. Swoją drogą, obraz polskiego wymiaru sprawiedliwości, który wyłania się z serialu „Heweliusz", przypomina, jak celne były diagnozy wszystkich domagających się, żeby całe to bagno osuszyć i budować od nowa.

CZYSTE ZŁOTO

Kolejna para i kolejny konflikt: wdowy po ofiarach katastrofy. Żona kpt. Ułasiewicza, Jolanta (Magdalena Różczka), otoczona jest z początku powszechnym współczuciem, otrzymuje duże odszkodowanie, ale wkrótce potem odkrywa, że jej mąż ma zostać kozłem ofiarnym. Z kolei Aneta Kaczkowska (Justyna Wasilewska), wdowa po kierowcy tira (jednej z ofiar katastrofy), nie dostała nic. Firma transportowa, dla której jeździł mąż, informuje, że nie miała go na etacie, tylko dzierżawiła mu ciężarówkę. I odgraża się, że jeszcze będzie się domagać odszkodowania za utracone mienie, bo „długi,



Kadr z serialu „Heweliusz"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

proszę pani, się dziedziczy". Kaczkowska wyprzedaje domowe sprzęty, zastawia, co może, w lombardach i pielęgnuje w sobie nienawiść do Ułasiewiczowej: „Pani mąż zabił mojego męża!". Równie wrogo nastawiony do córki Ułasiewiczów jest syn Kaczkowskich, mamy więc następną parę i następny konflikt.

Wszystko to skomponowane jest bardzo dobrze, postacie są wiarygodne i świetnie zagrane, a przecież nie wyliczyłem jeszcze nawet połowy interesujących kreacji w serialu „Heweliusz". Jak zawsze dobry jest Tomasz Schuchardt jako wspomniany kierowca tira, czyli Kaczkowski. Kapitana „Heweliusza", Andrzeja Ułasiewicza, gra Borys Szyc. Rodzicami kpt. Bitnera są Magdalena Zawadzka i Jan Englert – każda scena ich udziałem to czyste złoto. Dla Magdaleny Zawadzkiej musiało to zresztą być niezwykłe doświadczenie: niegdyś grywała w filmach reżyserowanych i napisanych przez jej męża, Gustawa Holoubka, dziś zagrała w serialu ich syna, Jana Holoubka.

Najbardziej w pamięć zapada jednak kreacja Konrada Eleryka jako Witolda Skirmuntta, jednego z nielicznych ocalałych z załogi „Heweliusza". Nie widziałem dotąd w żadnym polskim serialu tak dobrze pokazanego syndromu ocalałego – Skirmuntt ocalał cudem, widział śmierć swoich przyjaciół, widział rozpacz ich rodzin, nieustannie we wspomnieniach przywołuje krytyczne chwile. Czy mógł zrobić więcej? Czy oni wszyscy mogli zrobić na pokładzie cokolwiek czy też był to zbieg okoliczności nie do przezwyciężenia? Dlaczego właśnie on ocalał? Żona, małe dziecko, alkohol – nic nie przynosi ukojenia, nic nie pomaga w powrocie do życia. Ciało powróciło, ale dusza pozostała tam, na „Heweliuszu". Wiele jest w tym serialu dobrych ról, ale kreacja Eleryka niesie ze sobą prawdziwy tragizm.

Jest także „Heweliusz" serialem niepoprawnym politycznie, nie tylko dlatego, że pokazuje układy i układziki na styku biznesu i władzy początku lat 90. Cały obraz Polski przechodzącej transformację ustrojową jest, delikatnie mówiąc, mało ciekawy. Holoubek i Bajon, dzieci pokolenia ukształtowanego przez michnikowszczyznę, odrzucają jedynie słuszny obraz suflowany niegdyś przez „Wyborczą" czy „Politykę" obraz kapitalistycznego (nareszcie) kraju, który rósł w siłę i wszystkim żyło się dostatniej, a kto się nie bogacił, ten frajer, homo sovieticus, grupa roszczeniowa i sam jest sobie winien. Gdy przed trybunałem zeznaje Aneta Kaczkowska, wprost oskarża o zaniechania całe państwo z dykty. Gra jest ustawiona, winę zawsze mają ponosić ci na dole, a ci na górze odnosić korzyści.

Pojawia się tu nawet złowrogi cień WSI, czyli długiego ramienia Moskwy. Ważną rolę w skręcaniu śledztwa i ukrywaniu prawdy odgrywa mjr Artur Ferenc (Marcin Januszkiewicz). Nie chce, by wyszło na jaw, że na „Heweliuszu" płynął ładunek broni, którą handlowali towarzysze z wojskówki. Badacze prawdziwych dziejów „Heweliusza" twierdzą, że to teoria spiskowa, ale przecież jeszcze 20 lat temu byłoby niewyobrażalne, żeby w polskim serialu taką teorię pokazać. Salon zaszczułby Holoubka i Bajona natychmiast.

To najlepszy polski serial nakręcony dotąd dla Netflixa i jeden z najlepszych polskich seriali po 1989 r. w ogóle. Kino katastroficzne, dramat sądowy, kino historyczne (rewelacyjnie odtworzone realia wczesnych lat 90.), dramat psychologiczny, thriller – „Heweliusz" sprawdza się na każdym z tych pól. Już stał się hitem serwisu, ale wróżę mu w Netflixie także światowy rozgłos. Będzie to rozgłos zasłużony.



REŻ. JAN HOLOUBEK „HEWELIUSZ" POLSKA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



Raport z zamkniętego miasta

FOT. WOJCIECH WĘGRZYN



Tomasz Zbigniew Zapert

Motyw szpiegowski sąsiaduje z obyczajowym. Obserwujemy zmagania grupy medyków. Ten wątek łączy się z prywatnym dochodzeniem dociekliwego dziennikarza miejscowej gazety, usiłującego zgłębić prawdę skrzętnie ukrywaną przez władze

Półmilionowe miasto odcięte od świata. Na rogatkach patrole milicyjne kontrolują wjeżdżających i wyjeżdżających. W przypadku braku zaświadczeń ważnych szczepień ochronnych osoby są zawracane. Ulice pustoszeją. Mieszkańcy nie opuszczają domostw. Co rusz słychać sygnały ambulansów. Wzrok przykuwa służba medyczna odziana w białe skafandry. Narasta lęk, by nie rzec – groza.

Siedmioodcinkowy serial „Czarna śmierć" ukazuje epidemię ospy prawdziwej, która latem 1963 r. nawiedziła Wrocław. Od niedzieli 9 listopada nadawany jest na antenie telewizyjnej „Jedynki".

– Pomysł na scenariusz przyszedł mi do głowy podczas pandemii koronawirusa. Zapewne spowodowane to było obcowaniem z hibernacją codzienności – nierzadko uciążliwą, z którą wówczas mieliśmy do czynienia. Zastanowiło mnie, jak w zbliżonych warunkach radzono sobie przed ponad półwieczem – mówi „Do Rzeczy" współscenarzysta serialu Piotr Derewenda.



REŻYSERIA: KUBA CZEKAJ
„CZARNA ŚMIERĆ"
POLSKA 2025

Tkanie narracji poprzedziła gruntowna kwerenda archiwalna. – Wiele godzin spędziłem w bibliotekach, wertując annały prasy z tamtych dni, nie tylko zresztą lokalnej. Oglądałem też relacje Polskiej Kroniki Filmowej. Zapoznałem się również z reportażami poświęconymi wydarzeniu, skądinąd wybitnymi. Zarówno bowiem „Czarna pani" Krzysztofa Kąkolewskiego, jak i „Zaraza" Jerzego Ambroziewicza nie poddały się upływowi czasu – dodaje Derewenda.

Derewenda do współtworzenia scenariusza serialu zaprosił Wojciecha Lepiankę, doświadczonego scenarzystę, znanego choćby z owocnej współpracy z reżyserem Piotrem Trzaskalskim (filmy „Edi", „Mistrz", „Mój rower"). Wszystkie odcinki firmują wspólnie.

– To nie tylko wizerunek miasta zamkniętego kordonem sanitarnym. Także studium psychologiczne społeczności w obliczu zagrożenia. A zarazem przypomnienie egzystencji Polaków doby małej stabilizacji oraz klimatu społeczno-politycznego rządów ekipy towarzysza Wiesława et consortes. Rządy te charakteryzowały się m.in. fobią antygermańską, akcentowaną szczególnie na tzw. Ziemiach Odzyskanych, względnie prastarej ziemi piastowskiej, jak ówczesna propaganda określała Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie, Lubuskie, Warmię i Mazury. PRL jeszcze wtedy nie utrzymywał kontaktów dyplomatycznych z RFN, Bonn uznał granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej dopiero w roku 1970 – konkluduje Derewenda.

BEZ PODAWANIA DŁONI

Epidemię ospy prawdziwej sprowadził do Polski Bonifacy Jedynak, oficer Służby Bezpieczeństwa powracający z misji w południowej Azji. Parę dni po przylocie, trawiony złym samopoczuciem, trafił do wrocławskiego szpitala. Na skutek błędnego rozpoznania poddano go kuracji antymalarycznej. Przeżył, lecz zaraził innych. Pierwszą śmiertelną ofiarą była pielęgniarka, córka salowej, która miała kontakt z zakażonym. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września 1963 r. Zachorowało 99 osób (przeważał personel medyczny). Siedmiu pacjentów zmarło.

Mimo zaostrzonych środków ostrożności (izolatoria i szpital dla zarażonych) przypadki choroby odnotowano i w innych województwach. W województwie wrocławskim dawkę szczepionki przyjęło ok. 2,5 mln osób – w skali całego kraju niemal cztery razy więcej.

We Wrocławiu odwołano imprezy kulturalne i zamknięto obiekty sportowe (na jesień w mieście zaplanowane były mistrzostwa Europy w koszykówce mężczyzn – ostatecznie turniej się odbył, Biało-Czerwoni zdobyli srebrne medale). Tamtejsze urzędy i zakłady pracy wyposażono w środki dezynfekcyjne, klamki owijano bandażami nasączonymi substancjami odkażającymi. Na murach widniały hasła: „Witamy się bez podawania dłoni".

Służby sanitarne szukały ludzi mających styczność z chorymi. Za odmowę leczenia się, poddania się kwarantannie lub izolacji, czyli za stworzenie potencjalnego niebezpieczeństwa zarażenia

eprasa.pl cd4abdcfc8

innych, groziły wysokie kary, nawet do 15 lat więzienia! Na szczęście nie sprawdziły się prognozy Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), przewidującej, że epidemia miała trwać dwa lata, spowodować infekcje u przeszło 2 tys. osób i skutkować przeszło 200 ofiarami śmiertelnymi.

POLKA ROKU 1963

W silnie bazującym na faktach serialu zarazę sprowadza do kraju Łucja Winter, agentka PRL-owskich służb specjalnych, wracająca z poufnej misji w Indiach. Motyw szpiegowski sąsiaduje z obyczajowym. Obserwujemy zmagania grupy medyków pod egidą imponującej zaangażowaniem Weroniki Przybysz. Uosabia ona dr Alicję Surowiec, szefową szpitala i izolatorium w podwrocławskiej wsi Szczodre. Nie zważając na niedobór medykamentów i personelu, troskliwie opiekowała się pacjentami, ryzykując własne życie. Heroiczna postawa przyniosła jej tytuł Polki Roku 1963.

Ten wątek łączy się z prywatnym dochodzeniem Igora Bielika, dociekliwego dziennikarza miejscowej gazety, usiłującego – na skutek zgonu małżonki, pierwszej ofiary tajemniczego moru (oficjalnie leukemii) – zgłębić prawdę, zrazu lekceważoną, a następnie skrzętnie ukrywaną przez władze. Przy okazji oglądamy świat ówczesnych mediów, bardzo mocno ograniczony kagańcem cenzury.

Trwożny czas niesie i pozytywy. Wobec śmiertelnie niebezpiecznej perspektywy lokalna władza pokornieje i łagodnieje, zdając się na decyzje fachowców. W rezultacie utrapienia codzienności się minimalizują, prząśność nabiera barw, czuć nawet powiew wolności.

Obcujemy z ludźmi usiłującymi za wszelką cenę zdusić chorobę. Wyróżniają ich determinacja i odwaga. Wykonali pracę gigantyczną. Dość wspomnieć, że izolatoria były początkowo pozbawione podstawowych leków, pościeli, aprowizacji, a nawet termometrów, o specjalistycznej aparaturze nie wspominając. Hart ducha i dzielność lekarzy oraz pielęgniarek sprawiły, że w tak siermiężnych warunkach udało się okiełznać niebezpieczeństwo.

Zrealizowany w nieco komiksowej konwencji serial (to nie zarzut), obficie dyskontujący filmografię dokumentalną – tak sprawnie, że nie widzimy szwów – ilustruje muzyka retro. Szkoda tylko, że poddana współczesnym aranżacjom, które – przyznaję – kłuły me uszy. Przecież dźwięki szlagierów piosenkarskich „A mnie jest szkoda lata" tudzież „Wezmę w drogę złoty księżyc" w pierwotnych interpretacjach (odpowiednio Andrzej Bogucki i Michaj Burano) doskonale uzupełniałyby dbałość o ekranowy realizm, widoczny poprzez dobór plenerów, kostiumy czy scenografię.

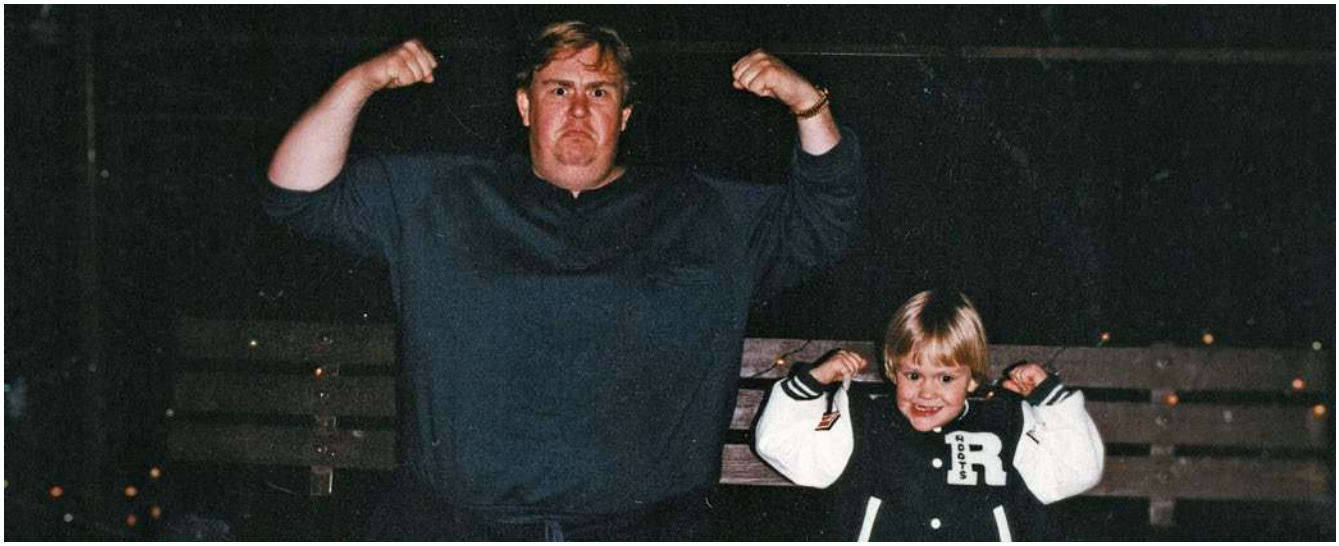
„Czarna śmierć" nie jest pierwszą próbą zmierzenia się filmowców z tą historią, trochę już chyba pokrytą pyłem niepamięci, chociaż być może nie z perspektywy Wrocławia. U progu lat 70. do kin trafił obraz w reżyserii Romana Załuskiego pt. „Zaraza", wiernie rekonstruujący ów dramatyczny epizod dziejów najnowszych. Z wykonawców ról wiodących żyje Maciej Rayzacher. Żal, że realizatorzy serialu nie dali mu zaistnieć na ekranie, jak to zwyczajowo bywa w przypadku nowych wersji tematów, które niegdyś wpadły już w oko kamery.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Niespotykanie dobry człowiek



★★★★★★

REŻ. COLIN HANKS
„JOHN CANDY: LUBIĘ SIEBIE” („JOHN CANDY: I LIKE ME”)
USA 2025, DOKUMENTALNY

Są przynajmniej trzy powody, dla których polski widz powinien zwrócić uwagę na filmowy dokument o Johnie Candym (1950–1994). Ten najważniejszy dla Amerykanów – że to wielka postać współczesnego kina – dla Polaków będzie najmniej istotny. Było bowiem tak, że w czasach, gdy rozbłysła komediowa gwiazda Candy'ego, żyliśmy jeszcze w PRL, za żelazną kurtyną, i jego najważniejsze filmy do nas nie docierały. Zaczęło się to zmieniać po 1989 r., gdy wybuchł boom na kasety wideo.

Niejeden widz będzie więc przecierał oczy ze zdumienia, oglądając dokument Colina Hanksa. To Candy był tak sławny? I naprawdę tylko trzy razy w historii Kanady zamknięto autostrady, by kogoś przepuścić? Tak, raz dla papieża, raz dla prezydenta USA i trzeci raz, gdy trumna z ciałem Candy'ego wracała do kraju, a wszyscy policjanci salutowali. I naprawdę krytycy i koledzy po fachu porównują go z Chaplinem? Owszem, jeśli idzie o humor połączony z głęboką empatią, zrozumieniem dla ludzkiego losu – tak jest.

Dla porządku wymienię najważniejsze tytuły: „Plusk”, „Kosmiczne jaja”, „Samoloty, pociągi i samochody”, „Wujaszek Buck”. I genialne role drugoplanowe w filmach „Blues Brothers”, „1941” czy „Kevin sam w domu”. Komik, aktor, filantrop, właściciel mistrzowskiej drużyny futbolowej – wszystko to ważne, ale przejdę do jeszcze dwóch innych powodów, dla których film „John Candy: lubię siebie” zwraca uwagę. Jest to historia nietypowa dla Hollywood – człowieka bardzo rodzinnego, który odrzucał lukratywne propozycje, bo wolał spędzać czas z dziećmi oraz żoną, i który od piątego roku życia przyzwyczajał się do roli głowy rodziny, bo wtedy stracił ojca (atak serca). Był też człowiekiem głęboko wierzącym, jego pożegnanie w marcu 1994 r. było jednym z największych zgromadzeń, które widział katolicki kościół św. Marcina z Tours w Los Angeles.

Wiedział, że zdrowie zawodzi go coraz bardziej. Po zakończeniu zdjęć w Meksyku do filmu „Karawana” (warunki były fatalne, temperatury koszmarnie wysokie) udał się do willi, w której samotnie mieszkał podczas zdjęć. Powiedział, że musi wreszcie trochę odpocząć. Usiadł na brzegu łóżka w sypialni i sięgnął po Pismo Święte. Znaleziono go martwego, z otwartą Biblią w ręku. ©℗

GRA TYGODNIA: „BATTLEFIELD 6”

Organizacja Pax Armata rzuca rękawicę NATO i niszczy jedną z baz Paktu. Tak rozpoczyna się kampania, która istnieje w zasadzie tylko po to, by rozgrzać palce prze trybem multi. W którym mamy powrót do korzeni. Cztery klasy do wyboru, przyjemna progresja, dobrze zaprojektowane mapy – całość zapowiada się naprawdę dobrze. A to wszystko w świetnej oprawie audiowizualnej. Docenić należy również optymalizację. Uzyskanie takiej płynności w grze, w której natężenie efektów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

specjalnych przypomina pożar w fabryce fajerwerków, to rzecz godna pochwały. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:** akcji, FPS*
- ***Platforma:** PS5, SXS, PC*
- ***Producent, wydawca:** EA DICE; Electronic Arts*

eprasa.pl cd4abdcfc8

KINO

Czerwono-czarni

HBO max



★★★☆☆☆
REŻ. RYAN COOGLER
„GRZESZNICY” („SINNERS”)
USA 2025

wyst. Michael B. Jordan, Miles Caton, Hailee Steinfeld

Uwielbiam zapach czosnku o poranku. Takim zgrabnym powiedzonkiem ów gangstersko-wampiryczny seans mógłby się zakończyć, ale Ryan Coogler, zaprzysięgły kronikarz dziejów królestwa Wakandy, wybrał inaczej. No cóż, skoro zapowiadana nowa wersja „Blaculi” wciąż nie może ujrzeć światła dziennego, pochopnym czynem byłoby zignorowanie „Grzeszników”. Rasistowski horror, który w jednej minucie udaje kryminał, w drugiej kino familijne, a w trzeciej musical, nie zdarza się bowiem codziennie.

O tym, że blues, folk i rock są diabelskimi wynalazkami, wiedzą wszyscy. O gitarzystach, obdarzonych darem przywoływania duchów z przeszłości i przyszłości, dotąd jakoś nie słyszałem (człowiek uczy się całe życie). Akcja rozgrywa się w ukochanej przez filmowców epoce prohibicji. Konkretnie u jej schyłku, w stanie Missisipi – dawniej niewolniczym, a obecnie zwyczajnie ubogim. Pierwsze skrzypce grają bracia bliźniacy, którzy dorobili się w Chicago u boku Ala Capone, a teraz wracają w rodzinne strony, by zostać szanowanymi biznesmenami.

Ideologiczną gardę autor „Grzeszników” trzyma wysoko. Indianie i Azjaci są tu z zasady sympatyczni. Biali – źli lub żałośni. Czarni – jurni, dumni oraz waleczni. Coogler garściami cytuje Tarantino. Między innymi „Django”, ale najbardziej „Od zmierzchu do świtu”, który po obiecującym pierwszym akcie w drugim również zmieniał się w spektakl spod znaku Grand Guignol. Tam jednak obyło się bez rozkminiania tezy, że prawdziwa wolność możliwa jest tylko po śmierci.

Nie owijając w bawełnę, mamy do czynienia z dziełem chropawym. Psychologia przegrywa z konwencją, miłość do bluesa z wulgarnością. W kategoriach technicznych „Grzesznicy” jednak wymiatają. Łatwiej przełknąć gatunkowy miszmasz i mętną metafizykę, gdy opowieść ma nerw, rytm i adekwatną obsadę. Niegrzeczni bliźniacy są najlepszą (w dodatku podwójną) rolą w karierze Michaela B. Jordana. Generacja Z być może doczeka czasów, w których historię ciemnoskórych amerykańskich gangusów da się przedstawić bez wywoływania widma Ku Klux Klanu. Ja już straciłem nadzieję. Prędzej Coogler wyreżyseruje blockbustera, promującego wartości chrześcijańskie. ©℗

Wiesław Chełminiak

CO SIĘ PATRZYSZ?

Młodzian ścigany za zabójstwo policjanta przegląda gazetę i czyta na głos artykuł o twórczości Velázqueza. Scena z nowatorskiego (niegdyś) filmu „Do utraty tchu” miała świadczyć o dezynwolturze bohatera. Po latach zdaje się mimowolnym hołdem, złożonym artyście, który nie potrzebuje okrągłych rocznic, by o nim pamiętano. Nadworny malarz Filipa IV inspirował impresjonistów i wielkich rodaków: Sorollę, Picassa, Dalego. Z francuskiego dokumentu wynika, że również w XXI w. mebluje wyobraźnię kolegów po fachu. „Wszystkie jego obrazy są jak ołtarze” – zachwycają się eksperci. Jak na ironię człowiek, którego sztukę analizowano po tysiąckroć, sam jest zagadką. O czym myślał? W co naprawdę wierzył? Nigdy się nie dowiemy. Postacie z płócien Velázqueza wbijają wzrok w każdego, kto przypatruje się im nazbyt wnikliwie. ©℗



★★★★☆☆
REŻ. STÉPHANE SORLAT
„VELÁZQUEZ I JEGO TAJEMNICA” („L’ÉNIGME VELÁZQUEZ”)
FRANCJA 2025



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Skarbiec sióstr wizytek



FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Te obrazy są niedostępne dla oczu publiczności, podobnie jak niedostępne dla postronnych jest miejsce ich przechowywania. A to jedna z najcenniejszych tego typu kolekcji w Polsce. Po zakończonej renowacji mamy okazję do obejrzenia kolekcji malarstwa sztalugowego o tematyce sakralnej, pochodzącej ze zbiorów warszawskiego klasztoru ss. Wizytek – zgromadzenia reguły klauzurowej.

W klasztornych murach kolekcja gromadzona – i chroniona przez siostry w latach najtrudniejszych dla Polski i Warszawy – była od 370 lat. Obejmuje dzieła wywodzące się z dawnych zasobów królewskich Ludwiki Marii Gonzagi de Nevers oraz jej mężów z dynastii Wazów – Władysława IV i Jana II Kazimierza – a także ze spuścizny Jana III Sobieskiego i darów rodów Sieniawskich, Czartoryskich, Ogińskich i Potockich. Centralne miejsce zajmuje „Złożenie do grobu” Camilla Procacciniego (przełom wieków XVI i XVII).

Obrazy prezentowane są bez ram. Ich nierówne brzegi świadczą o dramatycznych momentach wycinanych naprędce, rolowanych, ukrywanych przed zagrożeniem płócien. I odwadze tych, dzięki którym przetrwały. ©℗

GDZIE? ***Pałac Czapskich w Warszawie***
KIEDY? ***do 23 listopada***

eprasa.pl cd4abdcfc8

MOJA PÓŁKA

Dramat Polski pozostaje ten sam



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Taka książka była nam potrzebna jak tlen. Ryszard Legutko w „Rekapitulacji" wyartykułował to, o czym najczęściej nawet boimy się pomyśleć. A przede wszystkim wytrącił nas z samozadowolenia, podważając niczym nieuzasadnione przeświadczenie, że jakoś to będzie, że wprawdzie nie podoba nam się w Polsce coraz bardziej, no, co tu dużo mówić, niepokoi nas wszystko, ale przecież – jak to powiadał cytowany przez autora książki Sienkiewiczowski pan Zagłoba: „Nie ma takowych terminów, z których by się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można". Modlić się oczywiście warto, a nawet powinniśmy to czynić, ale sama opieka Boga, przy naszej bierności, nie zapewni ojczyźnie suwerenności, a nam nie zagwarantuje wolności.

Opowiada prof. Legutko o dzieciństwie, studiach anglistycznych i filozoficznych, pracy naukowej i działalności politycznej. Pisze z wdziękiem, ale i ostro, i gdzie trzeba chlasta na odlew, nie kryjąc swoich, zwykle mocno niepoprawnych, poglądów. Przypomina np., że w komunistycznej Polsce, programowo ateistycznej, wychowanie katolickie było normą. A osłabienie religijnej aktywności Polaków po 1989 r. ani nie uczyniło nas mądrzejszymi, ani nie przydało nam szlachetności. „Odwrotnie – powiada profesor – spowodowało degradację zachowań, języka, obyczaju, wrażliwości".

Prawdziwą zapaść przeżywa czytelnictwo, czemu nie potrafimy zaradzić, za to eliminujemy z nauki szkolnej klasykę, jako rzekomo zbyt trudną, operującą archaicznym językiem. „Co pan ma zamiar zrobić, panie ministrze – zapytał mnie licealista podczas wizyty swej klasy w resortowym urzędzie [autor był krótko w 2007 r., po Romanie Giertychu, ministrem edukacji – przyp. K.M.] – żeby skłonić młodzież do czytania?". „Nic – odpowiedziałem – jeśli ktoś pragnie być nieukiem, to minister jest wobec takiego pragnienia bezradny".

Swego czasu przewodniczył Ryszard Legutko Polsko-Izraelskiej Grupie Parlamentarnej. Ale to, że oskarżanie Polaków o antysemityzm przybrało wręcz gargantuiczne rozmiary, spostrzegł już w połowie lat 70., gdy o propagowanie antyżydowskich treści amerykańska krytyka oskarżyła polskie filmy Andrzeja Wajdy: „Korczaka" i „Ziemię obiecaną". „»Korczakowi« zarzucano, że przy końcu filmu Wajda wprowadził motywy chrześcijańskie, co wobec żydowskości Korczaka miało, wedle krytyków, motywacje antysemickie. Pikantnym aspektem tych oskarżeń – dostrzeganym dopiero dzisiaj – jest to, że scenariusz do »Korczaka« napisała Agnieszka Holland. I pomyśleć, że były takie czasy, że to właśnie ona w oczach tropicieli antysemityzmu reprezentowała polski nacjonalizm, chrześcijański fanatyzm i żydożerstwo".

Ze szczególną uwagą przeczytałem fragmenty książki odnoszące się do naszych Ziem Utraconych. „Z dzisiejszego punktu widzenia »Pan Tadeusz« i »Nad Niemnem« rozgrywają się nigdzie – powiada autor – więc na skutek odrealnienia odpowiednio mniej kształtują nasze wyobrażenie polskiego krajobrazu i polskich miejsc. Niemen, który przez wieki wywoływał tyle ciepłych myśli i ogniskował gorące uczucia przywiązania, jest dla dzisiejszego Polaka równie odległy jak Missisipi".

Odwiedziny miejsc tak miłych polskiemu sercu jak, dajmy na to, Lwów tylko napełnia goryczą polskie serca. „Nieodmiennie odnosi się wrażenie bycia upokarzanym – czytamy [...]. Wiele z tego wrażenia, zwłaszcza na terenach państwa ukraińskiego, bierze się z brzydoty. Pomijam okna plastikowe w kamienicach lwowskiego Rynku, pomijam straszliwe szyldy i dewastowanie elewacji parterowych. Chodzi o całość, o wszystko. To, czego tam doświadczamy, to przytłaczająca nas, lejąca się zewsząd wielkim i wszystko zagarniającym nurtem bezwstydna brzydota. Czasami sobie myślę, że jeśli jest naród całkowicie pozbawiony zmysłu piękna, to są to Ukraińcy. Monstrualne paskudztwo wybudowane na Wałach Hetmańskich, gigantyczne postacie-potwory pomnikowe w lwowskim Ogrodzie Jezuickim, w Chocimiu i w tysiącu innych miejsc".

O kwestiach politycznych poruszanych przez autora, włącznie z charakterystyką socjopatycznej osobowości Donalda Tuska, nie będę się tu rozpisywał. Niech państwo przeczytają sami. I zapamiętają tę diagnozę Ryszarda Legutki, że „dramat Polski pozostaje ten sam, a sytuacja istotnie nowa jest w niemałej części sytuacją istotnie starą. Inni są aktorzy rozgrywanego dramatu, inny tekst przez nich opowiadany, ale główna oś dramaturgiczna ta sama. Znowu tracimy suwerenność, częściowo na własne życzenie; znowu mamy kłopoty z silniejszymi od nas sąsiadami; znowu wrogom suwerenności udało się stworzyć potężną siłę, a jej zwolennikom trudno jest zebrać trwałą większość; znowu ulegamy złudzeniom o życzliwych nam i dobroczynnych siłach zewnętrznych; znowu musimy walczyć o godne miejsce dla polskiej kultury i polskiego języka w przestrzeni publicznej; znowu edukacja bywa wykorzystywana jako narzędzie depolonizacji". ©℗



★★★★★★
RYSZARD LEGUTKO „REKAPITULACJA" FRONDA, WARSZAWA 2025

eprasa.pl cd4abdcfc8



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rozbitkowie z utopii

Nie było równie dobrej książki o Rosji od czasu „Stolika z widokiem na Kreml" Pawła Reszki. Nie znaczy to, że książek o Rosji nam brak. Ukazują się opowieści byłych korespondentów czy dyplomatów, analizy historyków i historyków idei. Jędrzej Morawiecki, autor reportaży i filmów, rozpoznaje jednak rzeczywistość jak Reszka: dotykiem, smakiem, węchem, gadaniem, piciem, ciekawością, cierpliwością, ryzykiem i wszystkim innym, co robić powinien prawdziwy reporter.

Wchłonięte w ten sposób świadectwo jest niepodrabialne, tak jak niepodrabialne są obrazy (zostaną z wami na długo) z Carstwa Ducha na Syberii, gdzie żyje kilka tysięcy wissarionowców, o których czytamy w reportażu „Szykuj sanie latem". To wyznawcy Chrystusa, który zstąpił ponowie na ziemię w postaci byłego milicjanta Wissariona, autora „Najnowszego testamentu" i innych natchnionych publikacji. Morawiecki kilkakrotnie odwiedził krainę Wissariona, osobnika o wyglądzie Jezusa z wizji św. Faustyny, i spędził tam sporo czasu (nakręcił m.in. film dokumentalny). Po raz pierwszy w roku 1999, kiedy to, co stare, już odeszło, ale nowe jeszcze nie nadeszło. Cała tamta dekada – od eksplozji popularności hipnotyzera Kaszpirowskiego w 1989 r. do upadku Jelcyna – była czasem niezwykłej popularności rozmaitych szarlatanów, samozwańców, duchowych przewodników rodem z chorych fantazji. (Dziś w dużym stopniu ten obłęd został upaństwowiony).

Po latach Morawiecki szuka rozbitków ze Strefy (tak zwano ją w kontrze do Świata) w miejscach rozmaitych, od Bułgarii do Łotwy. Ale to już inny czas, Rosją rządzi Putin, którego armia najechała na Ukrainę. I opowieść staje się trzywątkowa: Strefa, paradoksy coraz bardziej totalitarnego ruskiego miru i relacje uchodźców z Ukrainy. Wszystkie te elementy łączą się ze sobą w opowieść o rozbitkach z utopii, o rosyjskich obsesjach i marzeniach o zbawieniu, z których ulepiony jest świat przerażający i po prostu chory. Wissarion i jego wyznawcy są tej choroby objawami tak samo, jak Putin i jego akolici. Sięgając po słowa Kisiela: to nie kryzys, to rezultat. „W Rosji wszyscy są neoplatonikami" – rzekł do mnie kiedyś smutnym żartem prof. Włodzimierz Marciniak, nasz były ambasador w Moskwie. Opowieść Morawieckiego żart obraca w prawdę. ©℗



★★★★★★

JĘDRZEJ MORAWIECKI „SZYKUJ SANIE LATEM"
ZNAK 2025

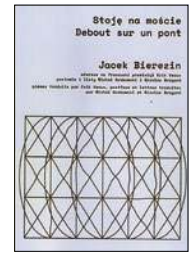
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Księgę piasku" uważał Borges za swe najlepsze dzieło, tytułowe opowiadanie to rzecz o książce z nieskończoną liczbą stron. W „Pamięci Szekspira" najważniejszy jest tekst tytułowy: hołd dla geniusza i oniryczna zagadka.



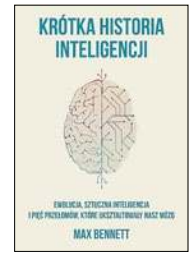
JORGE LUIS BORGES „KSIĘGA PIASKU. PAMIĘĆ SZEKSPIRA"
PIW

Dwujęzyczny (po polsku i francusku) zbiór najważniejszych wierszy znakomitego poety Nowej Fali, ważnego autora środowiska „Pulsu". Pierwsza od ponad ćwierćwiecza publikacja przywracająca dzieło tego twórcy.



JACEK BIEREZIN „STOJĘ NA MOŚCIE"
DOM LITERATURY W ŁODZI

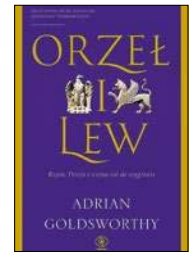
Intrygujące połączenie wiedzy o przeszłości z perspektywami przyszłości. Autor opowiada o tym, jak kształtowały się nasze mózgi, aby w ten sposób objaśnić, co to oznacza dla tworzenia modeli sztucznej inteligencji.



MAX BENNETT „KRÓTKA HISTORIA INTELIGENCJI"
ZYSK I S-KA

Siedem wieków rywalizacji Rzymu z Partami, a potem Persami. Autor „Pax Romana" uważa, że żadna ze stron ujarzmić drugiej nie mogła. Może i tak, ale wspomnijmy, że Cezara zabito, gdy planował wielką wojnę partyjską.

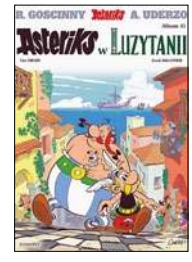
recenzuje Piotr Gociek



ADRIAN GOLDSWORTHY „ORZEŁ I LEW"
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:
GALOWIE W PORTUGALII

Seria o Asteriksie i Obeliksie doczekała się albumu numer 41, ale ta kariera toczy się już tylko siłą rozpędu. Niby wszystko się zgadza: humor słowny i sytuacyjny, bójki z Rzymianami, żarty z obyczajów mieszkańców kolejnego kraju (tym razem Portugalia), ale to tylko odhaczanie kolejnych punktów formuły.

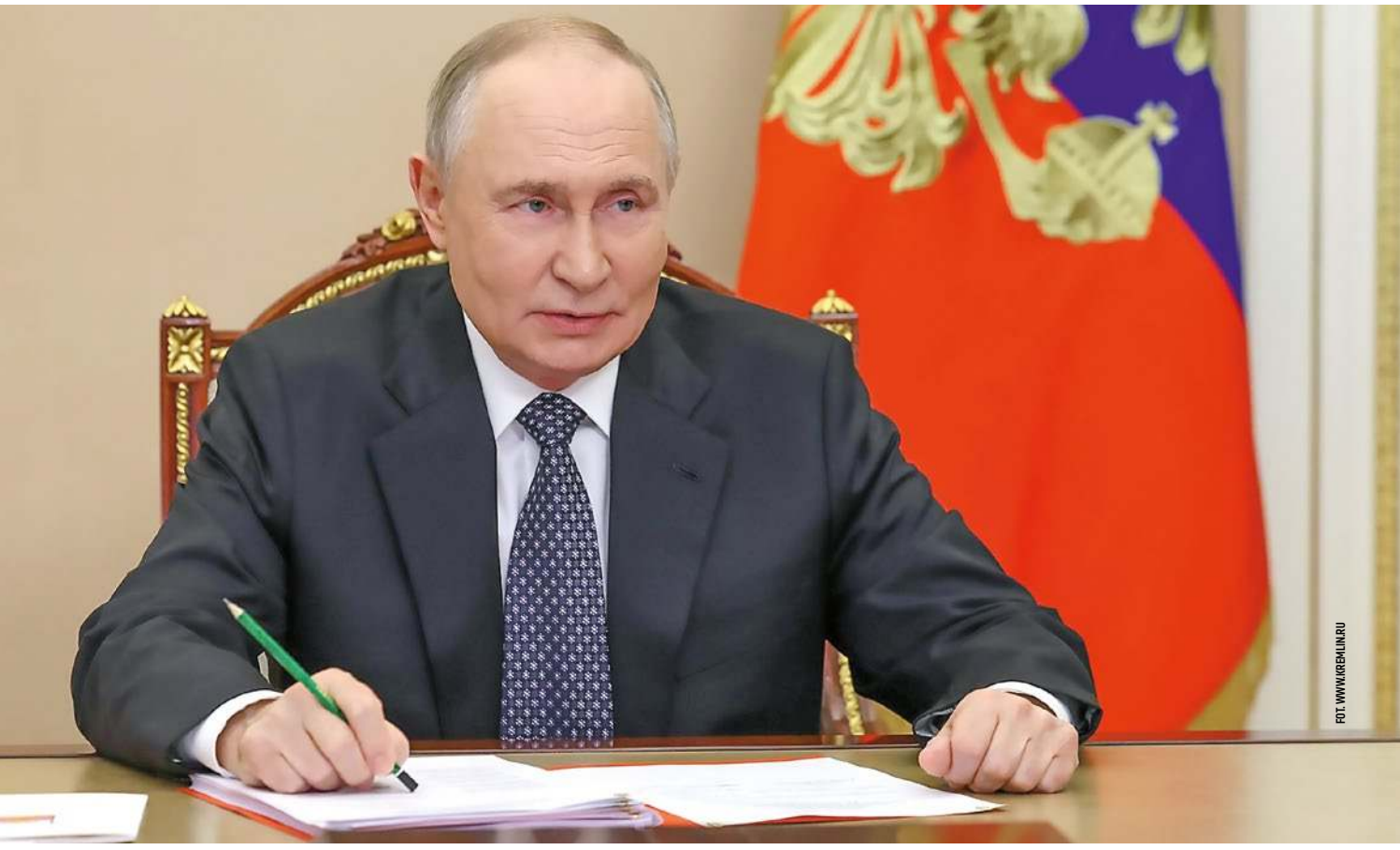


FABCARO, DIDIER CONRAD „ASTERIKS W LUZYTANII"
EGMONT 2025

Dwa grepsy jednak mocno bawią: Galowie w nowych fryzurach oraz liczne dywagacje o garum.

Piotr Gociek

eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. WWW.KREMLIN.RU

Czy Putin jest Stalinem 2.0?



Adam Wielomski

Teza o podjęciu przez gospodarza Kremla próby odbudowy ZSRS jako imperium, które chce zbrojnie zmusić Polskę do złożenia hołdu lennego Moskwie, to fantasmagoria. Zbudowana jest ona na błędnym przekonaniu o ciągłości między ZSRS a putinowską Rosją

Gdy słucham polskich polityków, czytam wiele komentarzy o wojnie ukraińsko-rosyjskiej, dociera do mnie, że praktycznie wszystkie głosy proukraińskie oparte są na tezie, że Rosja to kontynuacja Związku Sowieckiego. Władimir Putin jest zaś nowym Józefem Stalinem, dążącym do odbudowy upadłego imperium bolszewickiego, a antyrosyjskość i antyputinizm stanowią najnowszą wersję starego antykomunizmu.

eprasa.pl cd4abdcfc8

Głosy podobne padają ze wszystkich stron w polskiej debacie publicznej i jedynie Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna nie występuje w tym antyrosyjsko-antykomunistycznym chórze, czego nie można już powiedzieć o Konfederacji Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka. W tej formacji takie wypowiedzi się zdarzają – tyle że bez wyprowadzenia wniosku pachnącego naukami Jerzego Giedroycia o tym, że „Kijów i Warszawa to wspólna sprawa". I prawdę mówiąc, za największy (dotąd ujawniony) mankament Karola Nawrockiego uważam hołdowanie narracji wyprowadzającej antyrosyjskość z antykomunizmu. To stała narracja polityków PO-PiS: Donalda Tuska, Jarosława Kaczyńskiego, Radosława Sikorskiego etc. W tej histerii antyrosyjskiej przebił jednak wszystkich Szymon Hołownia, zapowiadający „wgniatanie Putina w ziemię". W konsekwencji wojna tocząca się na terytorium Ukrainy odbierana jest nie jako konfrontacja globalistycznego Zachodu z Rosją, lecz rosyjsko-sowieckiego „komunizmu" z „antykomunistyczną" Ukrainą.

WISZENIE U KLAMKI

Odczytywanie konfliktu Ukrainy i Zachodu z Rosją jako dogrywki śmiertelnego starcia antykomunistów z komunistami ma znaczące reperkusje dla polskiej polityki wschodniej i odczytania własnej pozycji geopolitycznej. W tej sytuacji przestają razić „antykomunistyczne" emblematy ukraińskości, na czele z tymi, które do złudzenia przypominają gadżety z III Rzeszy. Martwy Adolf Hitler okazuje się lepszy niż Stalin „wiecznie żywy", sklonowany w postaci Putina! Wołyń trzeba zapomnieć w obliczu neokomunizmu! Oddanie przez polską armię połowy sprzętu i zapasów to konieczne wsparcie dla obrony „wolnego świata" przed Związkiem Sowieckim! Utrzymywanie przez Polskę milionów uchodźców z Ukrainy przestaje być wyrazem dobroci serca, a staje się ponoszeniem wydatków w imię walki z „Sowietami". Cała polska polityka zagraniczna obraca się wokół zagrożenia Polski przez nowy Związek Sowiecki, dlatego trzeba uwiesić się u klamki amerykańskiej (PiS) lub dobrowolnie oddać suwerenność federalizującej się Unii Europejskiej i uwiesić się u klamki brukselskiej, aby tylko obroniła nas przed rosyjsko-sowieckim zagrożeniem (KO). Inaczej przyjdą Rosjanie-Sowieci, wymordują polskich patriotów, innych wsadzą do bydlęcych wagonów i wywiozą na Syberię, rozkradną wszystko, zgwałcą kobiety i odbudują bazę w Legnicy.

Chcę przez to powiedzieć, że polska polityka wschodnia, a także uległość wobec Stanów Zjednoczonych albo Unii Europejskiej wynika ze zdefiniowania Rosji Władimira Putina jako nowej wersji ZSRS, dążącego do odbudowania imperium. W końcu według znanego bon motu rosyjskiego przywódcy upadek Związku Sowieckiego „był największą katastrofą geopolityczną XX w.". Nawet służalczość polityków PiS wobec Izraela wynika z utożsamienia Rosji i Związku Sowieckiego, gdyż nie da się być sojusznikiem Waszyngtonu bez dobrych stosunków z Tel Awiwem. Gdy w 2018 r. europosłowie PiS Ryszard Legutko i Tomasz Poręba zgięli się przed żądaniami żydowskimi (prowadzili spotkania ze stroną izraelską w siedzibie Mosadu i w Wiedniu), dotyczącymi modyfikacji przyjętej przez Sejm RP nowelizacji ustawy o IPN, a Jarosław Kaczyński te ustalenia zaakceptował, to uczyniono to nie z powodu filosemityzmu, lecz z obawy o narażenie się lobby żydowskiemu w Waszyngtonie. Jest zaś rzeczą oczywistą, że jeśli ustawa o IPN nie zostanie zmodyfikowana w myśl izraelskiej polityki historycznej, to w razie napaści na Polskę Rosji-ZSRS Stany Zjednoczone mogą nie kiwnąć palcem w bucie w naszej obronie! Osobiście podejrzewam, że ta sama motywacja przyświecała Sławomirowi Cenckiewiczowi, gdy podpisywał się pod pamiętnym listem przeciwko Grzegorzowi Braunowi (Deklaracją Szesnastu). Nie ma neokonserwatyzmu bez filosyjonizmu i Putin tylko czeka na okazję, aby podbić Polskę i odzyskać bazę wojskową w Legnicy.

Prezydent Rosji postępuje jak Napoleon – łączy tradycję przedrewolucyjną z tradycją porewolucyjną

Piszę o tej geopolityce elit postsolidarnościowych ciut szyderczo, ironicznie i złośliwie, ponieważ widzę, do czego prowadzi przyjęcie paradygmatu o jedności współczesnej Rosji i ZSRS. Sam tego paradygmatu nie wyznając, uważam, że polityka międzynarodowa Polski od 1989 r. ufundowana jest na błędzie, na greckim proton pseudos, czyli błędzie podstawowym, z którego wynikają wszystkie inne.

DLACZEGO PROTON PSEUDOS?

Gdy jakieś 20 lat temu wybrałem się na wycieczkę do Petersburga, zwróciła moją uwagę „pokojowa współegzystencja" symboliki sowieckiej i carskiej. Każdy sprzedawca pamiątek dla turystów miał całe zapasy figurek Mikołaja II i Włodzimierza Lenina, stojących obok siebie. Cerkwie stały obok pomników Lenina etc. Widać było, że Rosjanie traktowali tradycję przedrewolucyjną i porewolucyjną jako jedną rosyjską historię. To samo widzimy na krążących w Internecie filmach przedstawiających żołnierzy rosyjskich walczących na Ukrainie. Wielokrotnie mamy widok, że w zdobytej wsi czy miasteczku jedni żołnierze wywieszają flagi z sierpem i młotem, gdy 100 metrów dalej inni żołnierze paradują z flagą carską i świętymi prawosławnymi.

Tradycje te współegzystują dziś w Rosji. Nie należy jednak z tego wyprowadzać wniosku, że współczesna Rosja jest kontynuacją ZSRS z ambicją do odbudowy jego imperium. W moich oczach Putin nie jest Stalinem 2.0, lecz rosyjskim Napoleonem. Dlaczego? Dlatego że Napoleon wygasił rewolucję francuską, zebrał ludzi Francji przedrewolucyjnej i rewolucyjnej w jedną elitę polityczno-militarną, po czym stworzył system polityczny wzorowany na Francji sprzed 1789 r., pełny ornamentów rewolucyjnych. Putin działa podobnie. Łączy obydwie tradycje, pojmując je jako jedną rosyjską historię. Jeden z moich znajomych, profesor nauk o bezpieczeństwie zajmujący się historią wywiadu sowieckiego, rzekł mi kiedyś, że jeśli chodzi o wywiad, to między ZSRS a Rosją „niewiele się zmieniło". Zapytałem wtedy, czy to prawda, że wywiad sowiecki był skuteczniejszy od amerykańskiego. Potwierdził. Wtedy zapytałem: „Skoro był lepszy, to po co było go zmieniać?".

eprasa.pl cd4abdcfc8

Putin to pragmatyk. Jego państwo działa w sposób podobny do miękkiego autorytaryzmu, lecz władza posiada niekwestionowaną legitymizację demokratyczną. Nie jest to państwo totalitarne, a w gułagach nie trzyma się milionów więźniów. Konieczność periodycznego przeprowadzania wyborów powoduje, że przywódca musi dbać o popularność. Prawdopodobnie dlatego Putin nie zdecydował się zmobilizować 2,8 mln przeszkolonych rezerwistów (takie są szacunki) i wysłać ich na front, aby bez względu na straty w ciągu trzech miesięcy rozstrzygnęli wojnę. Dla Rosji ta wojna cały czas nie jest „pełnoskalowa", gdyż walczy wyłącznie za pomocą najemników. Ich śmierć nie powoduje niezadowolenia społecznego, gdyż sami się zgłosili, dostawali wysoki żołd i wiedzieli, co ryzykują. Współczesna Rosja nie jest państwem totalitarnym, lecz posiada silną władzę opartą na realnym przyzwoleniu społecznym. Nawet niechętne Putinowi ośrodki badania opinii publicznej mówią, że wojnę na Ukrainie popiera ok. 80 proc. Rosjan.

BRAK IDEOLOGII

Badacze tematyki imperiów („imperiolodzy") nauczają, że między imperium a normalnym państwem istnieje kilka zasadniczych różnic. Imperia są wieloetniczne, a nie narodowe; nie są unitarne, lecz składają się z podmiotów politycznych o różnym poziomie integracji. Przede wszystkim cechą imperiów jest uniwersalistyczna ideologia, nakazująca podbić cały świat bezpośrednio lub przekształcić pozostałe państwa w struktury do siebie podobne, w ramach których wyznawane będą te same idee. Tak myślało wielu przywódców: Aleksander Wielki – tworząc świat hellenistyczny, Rzymianie – podbijając i upodabniając do siebie ludy basenu Morza Śródziemnego, cesarze Rzeszy chrystianizujący sąsiednie ludy i zaprowadzający u nich system feudalny, sowieccy gensekowie eksportujący komunizm na cały świat, prezydenci amerykańscy narzucający światu demokrację, wolny rynek i prawa człowieka. Imperiolodzy wskazują, że religia lub ideologia jest konieczna, aby powstało imperium. Dają mu one poczucie swojej cywilizacyjnej wyższości, z czego wynikają wyjęcie spod reguł prawa międzynarodowego i rzekome uprawnienie do prowadzenia wojen w celu „ucywilizowania barbarzyńców". Obywatele imperium mają poczucie, że uczestniczą w misji cywilizowania świata. Dlatego zgadzają się płacić podatki na imperialne wojny i ryzykować w nich życie. Co więcej, po jakimś czasie ludy podbite można przekonać, że klęska była ich zwycięstwem, gdyż zaczynają partycypować w wyższej cywilizacji imperialnej.

Konflikt Ukrainy z Rosją jest odczytywany jako dogrywka starcia antykomunistów z komunistami

Taką uniwersalistyczną ideologię ma dziś Zachód, który zrzuca bomby, nakłada sankcje i obraca słabsze państwa w swoje neokolonie, niosąc im demokrację, wolny rynek i prawa człowieka. Unia Europejska niezdarnie próbuje dziś wykrzesać własną wersję tej ideologii w postaci „praworządności" i walki o klimat, aby uniezależnić się od ideologicznej hegemonii amerykańskiej. Taką ideologię uniwersalistyczną miał ZSRS, niosąc ideę powszechnego wyzwolenia proletariatu w imię „obiektywnych" praw historii. Parafrazując George'a Wilhelma Friedricha Hegla, można rzec, że Stalin był „rozumem na czołgu". A jaką uniwersalistyczną ideologię ma Rosja, aby uzasadnić swoje roszczenie do panowania nad światem?

Takiej ideologii nie głoszą ani Władimir Putin, ani znany politolog Siergiej Karaganow, ani kreowany na Zachodzie na głównego ideologa putinizmu Aleksander Dugin. W oficjalnych dokumentach rosyjskich, sygnowanych przez Putina, Rosja przedstawia się jako obrońca światowego prawosławia. Ale to doktryna wyłącznie dla ludów prawosławnych! Na Polaków, Hiszpanów czy Arabów nie działa. Prawosławie nie jest ekspansywne i jego teolodzy używają dziwnego pojęcia „ziemie kanonicznie prawosławne", z czego wynika, że są ziemie „kanonicznie" katolickie, protestanckie i islamskie. Ogłoszona w 2008 r. tzw. doktryna Miedwiediewa jest podobna. Głosi, że w sferze zainteresowania Federacji Rosyjskiej są państwa powstałe na terytorium byłego ZSRS, zamieszkiwane przez znaczącą liczbę ludności rosyjskojęzycznej. Słowem, współczesna Rosja posiada doktrynę imperium regionalnego, opartego o kulturę rosyjską. Nie posiada ideologii uzasadniającej budowę imperium światowego, które miałoby np. objąć katolicką i nierosyjskojęzyczną Polskę. To doktryna bliska carskiej Rosji, do której Polska czy Finlandia nie pasowały i w 1918 r. wykorzystały pierwszą okazję do dokonania secesji.

Gdy zatem Putin mówi, że upadek Związku Sowieckiego „był największą katastrofą geopolityczną XX w.", to trzeba do tej wypowiedzi podejść dosłownie. To nie była dlań katastrofa ideologiczna, lecz geopolityczna. Nastąpił rozpad i dezintegracja jednej z części świata, w wyniku czego Rosja straciła swoje imperium. Tak, dla Rosjan to była katastrofa geopolityczna – strata, którą Putin teraz stara się częściowo odrobić, przyłączając do Rosji tereny rosyjskojęzyczne na Ukrainie i umacniając związki z państwami powstałymi z republik sowieckich. Dla Polski nie ma miejsca jako części Rosji. Zgodnie z doktryną Jewgienija Primakowa z końca XX w., odnowioną w tzw. ultimatum Siergieja Ławrowa (grudzień 2021 r.), państwa byłego bloku wschodniego powinny stanowić bufor między NATO a Rosją. Przy czym Ławrow już akceptował ich przynależność do NATO, ale bez rozmieszczania w nich baz amerykańskich. Nie ma już mowy o odbudowie imperium o światowych rozmiarach, a jedynie o rozgraniczeniu sfer wpływów w kształtującym się świecie wielobiegunowym. Nie ma tutaj mowy o rosyjskiej bazie w Legnicy.

Teza o podjęciu przez Putina próby odbudowy ZSRS jako imperium, które zbrojnie chce zmusić Polskę do złożenia hołdu lennego Moskwie, jest fantasmagorią, zbudowaną na błędnej tezie o ciągłości między ZSRS a putinowską Rosją. Błędna teza prowadzi do kreacji hybrydy antykomunizmu i antyrosyjskości. Stąd też moja ciągła i ustawiczna krytyka polskiej polityki zagranicznej, ponieważ jest ona ufundowana na błędzie podstawowym o jedności Rosji i Związku Sowieckiego. Nie widząc tej jedności, nie rozumiem ani naszej polityki wobec Rosji i Ukrainy, ani trzymania się klamek w Brukseli lub w Waszyngtonie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

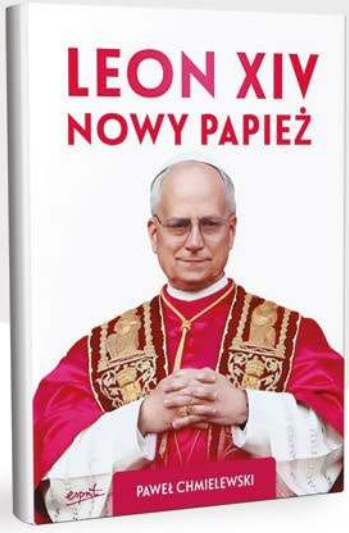
eprasa.pl cd4abdcfc8

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~725 ZŁ~~

306,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 419 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd4abdcfc8

Homoseksualizm ochrzczony?



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki ma problem z homoseksualizmem – i nie chodzi tu wcale o skłonności pewnej części duchowieństwa. Nauczanie na ten temat ulega szybkiej zmianie, a kolejni biskupi wprowadzają jednopłciowe „śluby”

Chrześcijanie uważali zawsze homoseksualizm za niedopuszczalny moralnie. Tak mówi Stary Testament, tak mówią listy św. Pawła. Nie była to wcale specyfika chrześcijańska ani nawet żydowska. W świecie starożytnym homoseksualizm był dobrze znanym fenomenem, zarówno w jego wersji opartej na wykorzystaniu różnicy wieku (pederastia), jak i w wersji zasadzonej na dobrowolnej zgodzie dwóch dorosłych osób. Zachowania homoseksualne, jako sprzeczne z naturą i niweczące płodność, krytycznie oceniało wielu filozofów, a nawet całe szkoły filozoficzne, w tym bardzo istotna dla formowania się etyki chrześcijańskiej późna szkoła stoicka. Z potępieniem aktów homoseksualnych występowali ojcowie i doktorzy Kościoła. Cała antyczna tradycja chrześcijańska głosi, że jedyną moralnie dopuszczalną formą użycia seksualności przez człowieka jest małżeński akt nakierowany na spłodzenie potomstwa. To ujęcie stało się formatywne dla chrześcijaństwa aż do wieku XX. Wtedy permisywizm seksualny zaczął przenikać również do wspólnot wyznających Chrystusa.

KONCEPT ETYKI RELACYJNEJ

Zgody na homoseksualizm nie byłoby, gdyby wcześniej nie doszło do odłączenia dwóch wymiarów aktu małżeńskiego: prokreacyjnego oraz relacyjnego. W 1930 r. Wspólnota Anglikańska na konferencji w Lambeth dopuściła stosowanie antykoncepcji przez małżonków. W ten sposób u anglikanów możliwy stał się celowo obezpłodniony akt seksualny – rzecz wcześniej wśród

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl cd4abdcfc8

chrześcijan niemożliwa. Kościół katolicki nie podjął nigdy analogicznych decyzji, ale myślenie stojące u podstawy działania anglikanów stało się typowe również dla wielu katolików. Jeszcze w encyklice „Casti connubii" z 1930 r. Pius XI odrzuca antykoncepcję, co stanowi jasną odpowiedź na krok anglikanów. To samo robi w 1968 r. Paweł VI w „Humanae vitae". Jego encyklika przyjmuje jednak perspektywę, której chrześcijaństwo przez większość swojej historii nie znało. Dotąd normą dla rodzin katolickich było przyjmowanie potomstwa, które daje im Pan Bóg, nawet jeżeli miało to trudne konsekwencje ekonomiczne. „Humanae vitae" z tym zrywa. Odtąd normą staje się regulowanie poczęć – wprawdzie metodami naturalnymi, ale rozwiązania techniczne są drugorzędne.

Kościół zaczyna określać praktykę ograniczania liczby potomstwa mianem „odpowiedzialnego rodzicielstwa". Celem małżeństwa dalej jest płodzenie dzieci, ale relacja małżonków staje się celem równorzędnym. Paweł VI nie jest nowatorem w sensie ścisłym – prezentuje w „Humanae vitae" koncepcję, którą przyjęto na Soborze Watykańskim II w konstytucji „Gaudium et spes". To właśnie tam zaburzeniu ulega tradycyjna, naturalna koncepcja hierarchii celów małżeńskich, wśród których na pierwszym miejscu jest prokreacja.

W kolejnych latach wymiar relacyjny małżeństwa cały czas zyskiwał na sile. „Odpowiedzialne rodzicielstwo", rozumiane jako zdecydowane ograniczanie liczby dzieci, staje się już nie tylko normą teoretyczną, lecz także praktyką życia. Dla większości katolików rozróżnienie na „naturalne" i „nienaturalne" metody kontroli poczęć pozostało niezrozumiałe. Przyjmując w latach 60. pryncypium ograniczania liczby dzieci oraz kładąc nacisk na relacyjny charakter małżeństwa, katolicy osiągnęli zasadniczą jedność z niekatolicką częścią społeczeństwa nowoczesnego. Dlatego kiedy w świecie zachodnim rozpoczyna się publiczna agitacja za homoseksualizmem, Kościół katolicki staje przed poważną trudnością. Jak skrytykować homoseksualizm, broniąc jednocześnie relacyjnego wymiaru małżeństwa i unikania potomstwa? Praktyka pokazała, że ta trudność nie została przezwyciężona.

Od strony organizacyjnej największą rolę w torowaniu homoseksualizmowi drogi do Kościoła odegrały amerykańskie środowiska katolickie, zakładając aktywistyczne grupy i wspólnoty od lat 70. XX w. Lwią część pracy intelektualnej wykonano jednak w krajach niemieckojęzycznych, gdzie szeroko opracowany został koncept tzw. etyki relacyjnej (niem. Beziehungsethik). Etycy relacyjni nie odkrywają Ameryki, ale starają się wydobyć maksymalny potencjał z nauczania „Gaudium et spes" oraz „Humanae vitae". Dodają do tego jeszcze filozofię personalistyczną wprowadzoną do katolickiego nauczania przez Jana Pawła II – robiąc to oczywiście wbrew intencjom papieża Polaka, choć niekoniecznie wbrew wewnętrznej logice tej filozofii. Skoro małżeństwo może ograniczać liczbę dzieci, a jednym z jego dwóch równorzędnych celów jest budowa relacji, to według etyków relacyjnych możliwe staje się przeniesienie tego modelu na pary homoseksualne. Takie pary mogą za pomocą seksualności budować swoją relację – twierdzą. Nie są wprawdzie biologicznie płodne, niemniej jednak – mówią etycy relacyjni – płodne nie są również sędziwe małżeństwa heteroseksualne, a nikt nie odbiera im prawa do używania seksualności. Biorąc pod uwagę współczesne twierdzenie, zgodnie z którym homoseksualizm jest skłonnością wrodzoną i stąd wewnętrznie nieprzezwyciężalną, wydaje się zasadne – przekonują – by pozwolić homoseksualistom na akty płciowe i uznać je za moralnie dopuszczalne.

Cała antyczna tradycja chrześcijańska głosi, że jedyną moralnie dopuszczalną formą użycia seksualności przez człowieka jest małżeński akt nakierowany na spłodzenie potomstwa

DUCH „AMORIS LAETITIA"

Wcześniej, również w krajach niemieckojęzycznych, dokonano „rozbrojenia" Pisma Świętego. Dzięki historyczno-krytycznej metodzie egzegezy tekstu biblijnego, która pozwala egzegetom na dużą dowolność w obchodzeniu się z literą, stwierdzono, że Stary Testament nie potępia homoseksualizmu, ale niegościnność, a św. Paweł krytykuje wyłącznie relacje intymne oparte na przemocy, ale nie mówi nic o relacjach zakorzenionych w odpowiedzialnym uczuciu, którymi darzą się partnerzy tej samej płci. Ustalenia te zostały szeroko zaaprobowane i dziś głoszą je nawet tak wpływowi teologowie, jak kaznodzieja domu papieskiego.

Etyka relacyjna, zakorzeniona w przewrocie myślenia o małżeństwie w ujęciu Soboru Watykańskiego II, została szeroko zaakceptowana w wielu krajach całego świata – od krajów germańskich, przez obie Ameryki, aż do Azji. Etyka relacyjna ma oczywiście wielu krytyków, ale pozostają dziś na marginesie, bo etyków relacyjnych zdecydowanie wspiera nauczanie papieskie ostatnich lat. W 2016 r. papież ogłosił adhortację „Amoris laetitia". Nie zmienia w bezpośredni sposób nauczania na temat homoseksualizmu. Adhortacja głosi jednak, że w pewnych sytuacjach obiektywnie grzeszny sposób życia może podobać się Bogu, bo ludzie inaczej nie dają sobie rady. Biskupi w Belgii i Niemczech doszli szybko do wniosku, że zasady wyłożone w „Amoris laetitia" mają szerokie zastosowanie. Choć adhortacja była pierwotnie pomyślana jako dokument odpowiadający na wyzwania duszpasterskie związane z rozwodnikami w powtórnych związkach, to w obu tych krajach zaczęto stosować „Amoris laetitia" do tego, by uzasadnić akceptację relacji homoseksualnych.

Znalazło to odzwierciedlenie we wrześniu 2022 r. Wówczas 10 biskupów belgijskiej Flandrii ogłosiło wprowadzenie oficjalnych, liturgicznych błogosławieństw dla par tej samej płci. W praktyce był to rodzaj ślubu homoseksualnego. W pewnym sensie krytyczną reakcją Watykanu na tę decyzję była publikacja deklaracji „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r. Deklaracja ta zgadza się wprawdzie na to, by błogosławić pary tej samej płci, ale zabrania udzielania takich błogosławieństw w budynku kościoła czy w ogóle w kon-

eprasa.pl cd4abdcfc8

tekście liturgicznym. Podkreśla przy tym, że Kościół nie zmienił negatywnej oceny aktów homoseksualnych. Problem w tym, że rozróżnienia zawarte w „Fiducia supplicans" nie zostały na świecie zrozumiane i deklarację odczytano jako wyraz poparcia dla związków jednopłciowych. Co więcej, Belgowie zostali przy swoim sposobie działania, a Watykan nie reagował. Niemcy, widząc, że Belgowie otrzymali prawo kroczenia „własną drogą", doszli do wniosku, że oni zrobią to samo. Dlatego w kwietniu 2025 r. przedstawiciele Episkopatu Niemiec przyjęli dokument, który wprowadza rodzaj ślubów par tej samej płci. Nie ma tam zakazu urządzania ceremonii w kościele. Mówi się o gościach, muzyce, godnej oprawie, modlitwach podkreślających miłość. Niemiecki dokument wspomina też o seksualności – całkowicie pozytywnie. Obecnie trwa faza implementacji. Kolejne diecezje wdrażają tekst w życie.

żyjącymi w związkach jednopłciowych – nie zamierzali tego w ogóle zmieniać, przeciwnie, w rozmowie z mediami wprost chlubili się tym, co robią.

Następnie udali się do słynnego jezuickiego kościoła Il Gesù. Przywitał ich tam wiceszef Konferencji Episkopatu Włoch, bp Francesco Savino. Wygłosił długą homilię, w której mówił o konieczności akceptacji drugiego człowieka i przywracania ludziom utraconej godności. Piętnował nadmierne skupienie się na „ideach", akcentował wyższość „rzeczywistości życia". Tęczowi pielgrzymi byli zachwyceni, długo bili brawo. Podczas Mszy Świętej przystępowali chętnie do Komunii Świętej.

Inicjatywa teoretycznie była prywatna, ale dzięki obecności wiceszefa Episkopatu Włoch zyskała posmak oficjalności. Co więcej, według słów tego biskupa jego obecność miała pełną aprobatę papieża,

W tej sytuacji uprawnione jest postawienie tezy, że od 60 lat dochodzi w Kościele katolickim do gruntownego przeobrażenia rozumienia etyki seksualnej

Mamy dziś zatem w Kościele katolickim biskupów, którzy aprobują akty homoseksualne i błogosławią pary, które żyją w ten sposób. Czynią to z całkowitą otwartością i ujmują swoją aprobatę w ramy prawne. Posługują się złożoną argumentacją teologiczną, przywołując dokumenty Soboru Watykańskiego II oraz papieża Franciszka. Nauczania Pisma Świętego nie traktuje się już dosłownie. Stolica Apostolska wprawdzie oficjalnie nie popiera tego działania, ale nie próbuje go też zatrzymać. Niestety, pod tym względem nic nie zmieniło się również za pontyfikatu Leona XIV.

6 września do Rzymu przybyła duża pielgrzymka środowisk homo- i transseksualnych. Wydarzenie zorganizowała włoska organizacja LGBT, Tenda di Gionata, czyli Namiot Jonatana. Pielgrzymi nieśli swoje symbole, w centrum uwagi znajdował się duży tęczowy krzyż. Bez żadnych kłopotów dotarli do Watykanu. Przeszli przez Drzwi Święte bazyliki św. Piotra. W Roku Jubileuszowym powinno wiązać się to z pokutą i nawróceniem, ale pielgrzymi w znacznej części byli ludźmi Leona XIV. W wygłoszonej do homoseksualistów homilii hierarcha powiedział, że rozmawiał wcześniej osobiście z Ojcem Świętym i zwierzył mu się ze swojego planu odprawienia Mszy Świętej dla tych pielgrzymów. Papież miał zachęcić go, by rzeczywiście to zrobił.

TĘCZOWY KRZYŻ JUŻ W RZYMIE

Symbolem pielgrzymki będą dwa rozpowszechnione w sieci obrazki. Pierwszy przedstawia dwóch gejów z Niemiec. Trzymają się w bazylice św. Piotra za ręce, mają koszulki z napisem, który głosi, że Bóg akceptuje ich skłonności. Jeden z nich niesie tęczową flagę i torbę z napisem „f… the rules", czyli „p…… zasady". Tak wpuszczono ich do najważniejszej świątyni Rzymu. Drugi obrazek pochodzi z samej Mszy Świętej w Il Gesù. W ławkach setki homoseksualistów, mężczyźni w krótkich spodenkach, a przy ołtarzu – wspomniany duży tęczowy krzyż. Ot, Rzym A.D. 2025.

Może się wydawać, że to niemożliwe, by papież rzeczywiście akceptował takie wydarzenia. A jednak kilkanaście dni po zakończeniu pielgrzymki opublikowano w Internecie obszerne fragmenty wywiadu, którego udzielił amerykańskiej dziennikarce Ann Elise Allen Leon XIV. Mówi tam również o homoseksualizmie. Papież stwierdził, że nauczanie Kościoła katolickiego na temat seksualności się nie zmieni – w najbliższej przyszłości. Jak stwierdził, najpierw musi zmienić się „postawa" wierzących. Tłumaczył, że trzeba nauczyć się akceptować drugiego człowieka oraz szanować wybór, którego dokonuje. Powoływał się też na Franciszka i jego słynne hasło: „Todos, todos, todos", które oznacza chęć akceptowania w Kościele wszystkich, nawet jeżeli żyją w obiektywnym grzechu i nie chcą tego zmienić.

Wypowiedzi Leona XIV spotkały się z wielką aprobatą ze strony o. Jamesa Martina, amerykańskiego jezuity, który od lat prowadzi aktywną działalność na rzecz ruchu LGBT. Martin napisał w sieci, że postawa Leona jest kontynuacją linii Franciszka i wszystko idzie w dobrą stronę, oczywiście z jego perspektywy. Kilka tygodni wcześniej Leon przyjął zresztą Martina na audiencji prywatnej. Atmosfera była bardzo sympatyczna, jezuita nie krył ekscytacji. Polacy pamiętają, jak kilka lat wcześniej Martin rozpowszechniał wizerunek Matki Bożej w tęczowej aureoli. To, co wydawało się wówczas ekscesem jednego jezuity, ulega normalizacji, skoro w macierzystym kościele jezuitów w samym Rzymie można dziś wystawić tęczowy krzyż.

W tej sytuacji uprawnione jest postawienie tezy, że od 60 lat dochodzi w Kościele katolickim do gruntownego przeobrażenia rozumienia etyki seksualnej. Etyka tradycyjna i oparta na prawie naturalnym zostaje zastąpiona przez etykę relacyjną, w której prokreacja i płeć nie odgrywają decydującej roli. Nie mówimy jeszcze o definitywnym nauczaniu, ale o trwającym cały czas procesie. Trudno w każdym razie zaprzeczyć, że jest to sytuacja bezprecedensowa. Papież odrzuca szybkie zmiany, ale nie wyklucza ich w dłuższej perspektywie. Takiego moralnego chaosu w historii katolicyzmu jeszcze nigdy nie było. Pozostaje dbać, by w jak najmniejszej mierze dotknął Kościół w naszym kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl cd4abdcfc8

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl cd4abdcfc8



Filip Memches

Przykład słynnego włoskiego reżysera deprawującego 15-latka ze Szwecji pokazuje, ile znaczy status społeczny. W naszych czasach wystarczy być progresywnym intelektualistą, a zyskuje się wysoki prestiż wśród globalnych elit kultury. Do tego dochodzi immunitet ideologiczny, który chroni mniejszości seksualne



Luchino Visconti (pierwszy po lewej) i Björn Andrésen (pierwszy po prawej) w Wenecji, 1971 r.

FOT. ALFA CINEMATOGRAFICA/COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

Seksualni drapieżcy z przywilejami

Zmarł Björn Andrésen. Wydaje się, że to imię i nazwisko jest powszechnie nieznane. A jednak ponura wiadomość, która obiegła media pod koniec października bieżącego roku, wywołała w Internecie rezonans. Andrésen przypuszczalnie bowiem pozostałby postacią całkowicie zapomnianą, gdyby nie został cztery lata temu przypomniany. Zrobiło to dwoje szwedzkich reżyserów: Kristina Lindström i Kristian Petri. Nakręcili oni film dokumentalny „Najpiękniejszy chłopiec świata”, o którym zresztą było głośno podczas jednej z edycji warszawskiego festiwalu Millennium Docs Against Gravity.

Produkcja ta ujawnia bardzo trudne doświadczenia, przez które przeszedł Andrésen. Ten urodzony w roku 1955 aktor i muzyk ze Szwecji jako 15-latek zagrał w obsypanej nagrodami ekranizacji głośnej noweli Thomasa Manna „Śmierć w Wenecji” w reżyserii Luchina Viscontiego (dzieło to miało premierę w roku 1971). Zapowiadała się zatem imponująca kariera.

A jednak nic z niej nie wyszło. Andrésen w dorosłym życiu po prostu się stoczył. Nadużywał alkoholu. Funkcjonowanie w społeczeństwie nastręczało mu problemów. Spotkała go też tragedia. W latach 80. stracił dziewięciomiesięcznego syna. Lekarze zdiagnozowali u dziecka nagłą śmierć łóżeczkową. W dokumencie, który zrealizowali Lindström oraz Petri, Andrésen opowiedział o okolicznościach zdarzenia: przebywał z synem sam w domu, był pijany i stracił kontakt z rzeczywistością. Relacjonując przed kamerą to, co się stało, stwierdził, że gdyby nie spożył alkoholu, dziecko by żyło.

Główny wątek „Najpiękniejszego chłopca świata” dotyczy jednak okresu, w którym Andrésen został zrekrutowany do udziału w fabule Viscontiego. Z dokumentu można wnioskować, że to właśnie wtedy wydarzyły się sytuacje, które odcisnęły się silnym piętnem na psychice Szweda. O co dokładnie chodzi?

Istotnym motywem „Śmierci w Wenecji” – zarówno pierwowzoru literackiego, jak i jego filmowej adaptacji – jest obsesyjna platoniczna namiętność głównej postaci – przechodzącego kryzys pisarza (w filmie kompozytora) Gustava von Aschenbacha – zwrócona ku chłopcu o imieniu Tadzio (zresztą Polakowi). W poszukiwaniu młodego człowieka o słowiańskiej urodzie, który obsadziłby rolę nastolatka, Visconti udał się do kilku krajów północnej Europy. I tam właśnie spośród iluś kandydatów wybrał Andrésena.

W tym kontekście warto przypomnieć kilka szczegółów z życiorysu Viscontiego. Zmarły w roku 1976 reżyser pochodził ze starego arystokratycznego rodu z Lombardii. Politycznie był zwolennikiem marksizmu, należał nawet do Włoskiej Partii Komunistycznej. Dlatego nazywano go „Czerwonym Księciem”. Poza tym był osobą homoseksualną, czego przed światem nie ukrywał (homoseksualne skłonności – choć publicznie skrywane – wykazywał też Mann, który skądinąd, prowadząc podwójne życie, w związku małżeńskim doczekał się sześciorga dzieci).

Jak możemy się dowiedzieć z „Najpiękniejszego chłopca świata”, trzon ekipy realizującej „Śmierć w Wenecji” stanowili pederaści. Nastolatka ze Szwecji traktowali jako obiekt seksualnego pożądania. Mocną traumą dla Andrésena było zaciągnięcie go przez Viscontiego do baru dla homoseksualistów. Reżyser uzasadniał to tym, że miejsce, w którym na nastolatka skierowane będą oczy przebywających tam mężczyzn, pomoże mu przygotować się do roli Tadzia. Ponadto Visconti nieraz publicznie wyznawał,

eprasa.pl cd4abdcfc8

że Andrésen mu się podoba. Wywoływało to w młodym Szwedzie straszliwy dyskomfort. To, że wystąpił w „Śmierci w Wenecji”, stało się dla niego poważnym psychicznym obciążeniem. Musiał m.in. znosić krążące na jego temat plotki, że jest homoseksualistą. A bynajmniej nim nie był.

CO JEST ZBOCZENIEM, A CO NORMĄ?

W serwisie internetowym Millennium Docs Against Gravity o dokumencie Lindström i Petri można było przeczytać, że „Najpiękniejszy chłopiec świata” to produkcja odsłaniająca „struktury władzy w przemyśle filmowym i proces wykorzystywania, który dzisiaj szerzej dyskutuje się dzięki ruchowi #metoo”. Taką politycznie poprawną reklamą właściwie przemilczano przedstawione przez dwoje szwedzkich reżyserów niewygodne treści. Ruch #metoo odwołuje się przecież do dyskursu feministycznego. Jako winowajców wskazuje mężczyzn heteroseksualnych, zarzucając im stosowanie przemocy psychicznej i fizycznej wobec kobiet (głównie chodzi o molestowanie seksualne).

Tymczasem to, co się przydarzyło Andrésenowi, skłania jednak do naruszenia tabu bacznie strzeżonego przez rozmaite wpływowe sitwy. Musztrują one ideologicznie społeczeństwa tych krajów, w których natchnione emancypacyjnymi ideami nowej lewicy Pokolenie ’68 przeprowadziło skutecznie długi marsz przez instytucje. W tym przypadku indoktrynacja mas polega na ich wychowaniu do osobliwie pojętej tolerancji, a nawet do czegoś więcej. To, co niegdyś uchodziło za zboczenie, teraz ma uchodzić za normę. Kto zaś opiera się postępowi, powinien się liczyć z tym, że – jeśli daje temu wyraz publicznie – zostanie okrzyknięty „homofobem” i poniesie dotkliwe konsekwencje za szerzenie „mowy nienawiści” wobec mniejszości, którą na przestrzeni dziejów prześladowano, więc teraz należy jej się historyczna rekompensata. Nie wolno zatem snuć skojarzeń między homoseksualizmem a powszechnie potępianymi – zresztą od niedawna – takimi zjawiskami jak pedofilia czy efebofilia.

Co w takim razie zrobić z Viscontim? Odium ciążące na jego zachowaniu wobec Andrésena jest bezdyskusyjne.

Trzon ekipy realizującej film „Śmierć w Wenecji” stanowili pederaści. Nastolatka grającego Tadzia traktowali jako obiekt seksualnego pożądania

„Najpiękniejszy chłopiec świata” to akt oskarżenia przeciw włoskiemu reżyserowi. Tyle że Viscontiego nie da się przecież rozliczać w ramach akcji #metoo. Nie wpisywał się on w schemat heteroseksualnego drapieżcy. Będąc osobą homoseksualną, należał do mniejszości, która jest ideologicznie hołubiona w środowiskach wiernych kanonom światopoglądowym, ustanowionym przez nową lewicę i w dużym stopniu obowiązującym w przemyśle filmowym.

REPRODUKCJA PATOLOGICZNYCH UKŁADÓW

Przykład Viscontiego pokazuje, ile znaczy status społeczny. I nie chodzi tylko o takie relikty systemu feudalnego jak pochodzenie arystokratyczne. W naszych czasach wystarczy być progresywnym intelektualistą, a zyskuje się wysoki prestiż wśród globalnych elit kultury. Do tego dochodzi immunitet ideologiczny, który chroni mniejszości seksualne. Nie działa on w przypadku tylko jednej grupy społecznej – duchowieństwa katolickiego. Nagłaśnianie przez media sytuacji, w których na jaw wychodzą zachowania homoseksualne księży i zakonników (czy choćby nawet formułowane podejrzenia o nie), dostarcza bowiem amunicji propagandowej opiniotwórczym środowiskom w ich walce z Kościołem katolickim. Pada wówczas argument, że katolicyzm cechuje nieznośny moralny rygoryzm, obłudnie zasłaniający rozwiązłość seksualną kleru, więc trzeba ją odsłaniać. Dla kontrastu warto odnotować, że gdy w roku 1977 czołowi luminarze życia publicznego we Francji (jak pisarze – Louis Aragon, Simone do Beauvoir, Jean-Paul Sartre, krytyk literacki Roland Barthes, reżyserzy – Patrice Chéreau i Alain Robbe-Grillet, filozofowie – André Glucksmann, Jacques Derrida, Michel Foucault, politycy – Bernard Kouchner i Jack Lang) zaapelowali o legalizację pedofilii w tym kraju, bynajmniej nie spotkał ich za to ostracyzm społeczny. Nadal robili za autorytety.

Dostrzeżenie tych mechanizmów jest także okazją do odkłamania mitu, wedle którego antyczna Grecja była radośnie pogańska i może uchodzić za wzór tolerancji wobec osób homoseksualnych, szczególnie w porównaniu ze średniowieczną katolicką Europą. Dotyczy to zwłaszcza starożytnych Aten. Mieszkańcy tego miasta-państwa uważali nierówności między ludźmi za coś naturalnego. Stanowili społeczeństwo patriarchalne z niewolnictwem jako jednym z jego filarów. Nie było w tej wspólnocie politycznej żadnych „tęczowych rodzin”. Małżeństwo oznaczało wyłącznie związek mężczyzny z kobietą. Owszem, homoseksualizm występował, ale społecznie aprobowany tylko w odniesieniu do osób o określonym statusie społecznym. Chodziło o dojrzałych mężczyzn uczestniczących w życiu publicznym, a więc cieszących się pełnią praw obywatelskich, którzy nawiązywali intymne stosunki z młodzieńcami, będącymi ich wychowankami lub uczniami. Natomiast kobiety były społecznie dyskryminowane. Stały w hierarchii społecznej niżej niż mężczyźni. Jeśli mąż którejś z nich utrzymywał relacje seksualne z młodzieńcem, to ona nie miała nic do powiedzenia, jej zdanie się nie liczyło. Tak więc ateńska demokracja miała nie tylko blaski. W związku z tym aż ciśnie się na usta pytanie: Co na to obecnie feministki, a przynajmniej ta ich część, która solidarnie z ruchami LGBT tropi wszędzie przejawy „homofobii”? Odpowiedź jest krótka: nie łączy kropek.

Biorąc pod uwagę antyczną rzeczywistość, o której wyżej mowa, trudno oprzeć się myśli, że pewne patologiczne układy między ludźmi reprodukują się do dziś. Żeby się o tym przekonać, wystarczy zapoznać się z tym, przez co przeszedł w swoim życiu tytułowy bohater „Najpiękniejszego chłopca świata”. Dokument ten zadaje kłam narracji o mniejszościach seksualnych jako zbiorowej ofierze konserwatywnych uprzedzeń. To nie jest jednolita grupa społeczna i ideologiczny immunitet jej się nie należy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8

Konflikty rosyjsko-chińskie



Tymoteusz Pawłowski

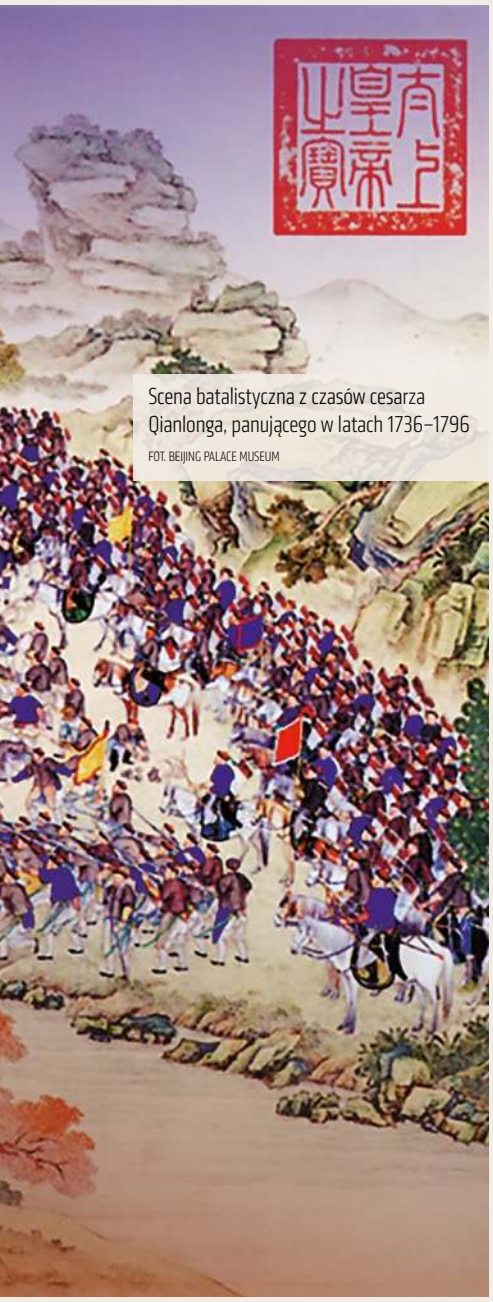
Gdy Tadeusz Romer został w 1937 r. ambasadorem Rzeczypospolitej w Japonii, jej premier Fumimaro Konoe przywitał go podobno słowami: „Jesteśmy sąsiadami, dzieli nas tylko wielki las". Dziś sytuacja polityczna jest nieco inna – rolę hegemona Azji z rąk Japonii przejęła Chińska Republika Ludowa – ale las pomiędzy nami pozostał. Jego historia wskazuje, że wkrótce to Chińczycy będą go karczować

Dla Rosji, wbrew pozorom, kierunek azjatycki jest ważniejszy niż europejski. Zawsze zresztą był, ponieważ potęga – i słabość – Moskwy zależy od Chin. Obecna stolica Rosji została założona w XII w., w sam czas, żeby być świadkiem podboju państwa ruskiego ze stolicą w Kijowie przez imperium Mongołów. Co prawda, dalszy marsz Mongołów na zachód do Europy został powstrzymany w 1241 r. – m.in. w bitwie pod Legnicą – ale na terenie dawnej Rusi zadomowili się oni na blisko ćwierć tysiąclecia.

Gdy Batu-chan starał się opanować Europę, jego kuzyn, Kubilaj-chan, podbijał Chiny. W 1264 r. przeniósł mongolską stolicę do zdobytego Pekinu, a wkrótce po tym ogłosił się cesarzem Chin, zakładając dynastię Yuan. Kubilajowi powiodło się dlatego, że przyjął inną politykę niż jego kuzyn: zdecydował się bezpośrednio rządzić Chinami, w praktyce przenosząc tam całą Mongolię.

Batu-chan wybrał rządzenie przez pośredników. Od podporządkowanych księstw ruskich pobierał tylko haracz. Ci, którzy nie płacili, mogli spodziewać się ekspedycji karnej, której przeprowadzenie z reguły powierzano lojalnym książętom ruskim. Najbardziej lojalni Mongołom byli władcy księstwa moskiewsko-włodzimierskiego, za co zostali wynagrodzeni tytułem wielkoksiążęcym. W pewnym momencie zaczęli nawet używać tytułu cara, który wówczas

eprasa.pl cd4abdcfc8



Scena batalistyczna z czasów cesarza Qianlonga, panującego w latach 1736–1796

FOT. BEIJING PALACE MUSEUM

nie oznaczał bynajmniej cesarza, tylko chana. Wzrost moskiewskich ambicji wiązał się z powolnym upadkiem potęgi Mongołów. Próby wyrwania się z ich jarzma skończyły się jednak dla Moskwy tragicznie: w 1382 r. została ona zdobyta, splądrowana i spalona. Musiało minąć jeszcze 100 lat, aby Moskwa stała się niezależna.

Moskalom pomogły klęski Mongołów w Chinach, gdzie obalono dynastię mongolską: w Pekinie już w 1368 r. władzę zdobyła rodzima dynastia Ming. Wojny mongolsko-chińskie wciąż jednak trwały, a zakończyło je pojawienie się kolejnej lokalnej potęgi – Mandżurów. W 1644 r. w Chinach władzę zdobyła mandżurska dynastia Qing, która kilkadziesiąt lat później zniszczyła również pozostałości imperium mongolskiego.

Chińczycy i Mandżurowie likwidowali Mongolię od wschodu, a od zachodu czyniła to Moskwa. Z jej perspektywy konflikty z Rzecząpospolitą były niedogodnością przeszkadzającą w realizacji podstawowego celu, czyli wyrwania się z zależności mongolskiej i likwidacji pozostałości imperium. Moskale odnieśli sukces, przy okazji zajmując niemal całą Syberię. „Niemal", ponieważ w marszu na wschód napotkali maszerujących na zachód Chińczyków.

Długoletnie wojny moskiewsko-chińskie zakończyły się w 1698 r. traktatem w Nerczyńsku. Chińczycy przesunęli swoją granicę daleko na północny zachód, opanowali twierdzę Ałbazino, zniechęcili Moskwę do interwencji w Sinciangu i wymusili nawiązanie stosunków handlowych. Moskale utrzymali jedynie symboliczny dostęp do Pacyfiku na północ od wyspy Sachalin. Ta klęska na ponad półtora wieku powstrzymała moskiewską ekspansję w stronę Chin: w zamian za to zajęto skrawki amerykańskiej Alaski.

PRZEWAGI MOSKWY

Moskale nie byli jedynymi, którzy przegrywali wojny z Chinami w wiekach XVII i XVIII. Kolonialne mocarstwa europejskie również ponosiły porażki: Anglicy nie byli w stanie wymusić żadnych ustępstw gospodarczych, Holendrzy zostali wyrzuceni z Tajwanu, a hiszpańskie posiadłości na Filipinach były regularnie najeżdżane przez olbrzymie floty chińskich piratów sponsorowanych przez Pekin. Za czasów cesarza Qianlonga, panującego w latach 1736–1796, Chiny były bezsprzecznym światowym supermocarstwem – zarówno pod względem ekonomicznym, jak i wojskowym – a sam cesarz wygrał wszystkie 10 wojen, które przyszło mu stoczyć z sąsiadami. Nie było nikogo, kto odważyłby się rzucić wyzwanie Chińczykom.

Gdy więc jego wnuk, Daoguang, napotkał w latach 30. XIX w. problemy z rozliczeniem handlu z Brytyjczykami, postanowił rozwiązać je siłą. Wiedział, że Wielka Brytania ma żaglowce i muszkiety skałkowe, ale wiedział również, że Chiny mają wielokrotnie więcej i jednego, i drugiego. Nie wiedział jednak, że w Wielkiej Brytanii właśnie zastępowano żaglowce parowcami, a muszkiety skałkowe – karabinami kapiszonowymi. Zmiana była tak gwałtowna, że brytyjscy żołnierze wysłani do Chin dosłownie zamieniali broń skałkową na kapiszonową, wchodząc na parowce. Gdyby do starcia zbrojnego doszło pięć lat wcześniej lub pięć lat później, wygraliby Chińczycy, a tak pierwszą wojnę opiumową, toczoną w latach 1839–1842, dzięki nieoczekiwanej przewadze technicznej wygrali Brytyjczycy.

Wkrótce potem – w latach 1853–1856 – Brytyjczycy wspólnie z Francuzami, Turkami i Włochami wygrali również wojnę z Rosją. Chociaż nosi ona nazwę wojny krymskiej, to walczono również na Pacyfiku. Moskale nie tylko stracili twierdzę w Pietropawłowsku Kamczackim i zatopili własną flotę, lecz także byli zmuszeni do zweryfikowania swojej polityki zagranicznej, przede wszystkim na dalekowschodnich rubieżach.

Rosjanie uznali, że w razie kolejnej wojny nie będą w stanie utrzymać swoich amerykańskich posiadłości, i w 1867 r. przekazali Alaskę Stanom Zjednoczonym, po raz pierwszy w swojej historii dobrowolnie wycofując się z zajętych terenów. Uznali również, że całe ich pacyficzne wybrzeże jest zagrożone w razie kolejnej wojny z Wielką Brytanią. Zareagowali na to w typowy dla siebie sposób – agresją na inne państwo. W Petersburgu uznano bowiem, że nie da rady utrzymać żadnej twierdzy nad Pacyfikiem, jeśli nie będzie do niej prowadził śródlądowy szlak żeglugowy. Jedynym takim szlakiem była chińska rzeka Heilong, więc Rosja zażądała od Chin jej przekazania: od tej pory miała nosić nazwę Amur. Dokonano tego w 1858 r. traktatem w Aigunie. W 1860 r. podpisano traktat pekiński, który oddawał Rosji również ziemie na południe od Amuru, czyli dzisiejszy Kraj Nadmorski z Władywostokiem.

Chiny uległy rosyjskim żądaniom, ponieważ były zajęte zwalczaniem kryzysu wywołanego przez wojnę opiumową, nie chciały się więc wikłać w kolejną.

eprasa.pl cd4abdcfc8

Był to błąd, ponieważ mocarstwa kolonialne poszły za przykładem Rosji i również zaczęły stawiać żądania terytorialne i ekonomiczne, coraz bardziej powiększając wewnętrzny kryzys Chin. Doprowadziło to w 1911 r. do obalenia cesarstwa i rewolucji.

Rosjanie nie byliby sobą, gdyby nie wykorzystali słabości sąsiada. Niemal natychmiast zainicjowali bunty w nadgranicznych prowincjach chińskich, tworząc zależne państwa i przygotowując się do ich aneksji. Zdołali zainstalować się w muzułmańskim Sinciangu, objęli protektoratem Tannu-Tuwę, wykroili Mongolię Zewnętrzną i okupowali Mandżurię.

Rewolucja chińska zapoczątkowana w 1911 r. zakończyła się w roku 1949 powstaniem komunistycznej Chińskiej Republiki Ludowej. Dopiero wówczas władze w Pekinie zdołały uporządkować sytuację na pograniczu chińsko-rosyjskim. Nie udało się jednak przywrócić status quo: Tannu-Tuwa została inkorporowana do Rosji (Tuwińczykiem jest były wieloletni moskiewski minister obrony narodowej Siergiej Szojgu), Mongolia Zewnętrzna stała się niepodległym państwem mongolskim (w ChRL znajduje się autonomiczna Mongolia Wewnętrzna), w Sinciangu nieustannie trwają niepokoje społeczne i jedynie Mandżurię zdołano spacyfikować.

Chociaż zarówno Rosja, jak i Chiny przez większą część XX w. były państwami komunistycznymi, to na próżno szukać między nimi przyjaźni. W 1969 r. doszło nawet do krwawego konfliktu granicznego, w którym walki toczyły się od Kazachstanu do Pacyfiku i przyniosły tysiące ofiar śmiertelnych. Konflikt nie został rozstrzygnięty, Sowieci grozili bowiem uderzaniami jądrowymi, jednocześnie obawiając się, że – jak głosił dowcip – Chińczycy zmienią taktykę i przejdą do działania małymi grupami, liczącymi od 2 do 3 mln żołnierzy.

PRZEWAGI PEKINU

26 grudnia 1991 r. rozwiązano Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, a jego państwem sukcesyjnym została Federacja Rosyjska. Chiny zachowały pozycję mocarstwową i zdołały rozstrzygnąć konflikt z 1969 r. na swoją korzyść. W grudniu 2004 r. prezydent



Kubilaj-chan, wielki chan mongolski i pierwszy cesarz Chin z dynastii Yuan

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Putin wyraził zgodę na zwrot Chinom spornych wysp na rzece Ussuri, a ich oficjalne przekazanie nastąpiło w 2008 r.

Uspokojenie sytuacji na Dalekim Wschodzie pozwoliło Rosji skierować swoją uwagę na zachód, spacyfikować Gruzję, wybudować Nord Stream na Bałtyku, zająć Krym, a nawet zaangażować się w neokolonialne wojny w Syrii i Afryce. Pasmo sukcesów Moskwy zakończyło się 24 lutego 2022 r. nieudaną „trzydniową" interwencją na Ukrainie, która przerodziła się w wieloletnią wojnę. Najważniejszym jej skutkiem jest niemal całkowite zerwanie przez Zachód stosunków gospodarczych z Rosją, która nie miała innego wyboru i zwróciła się w stronę Chin. Przewaga Pekinu – demograficzna, ekonomiczna i militarna – jest jednak tak duża, że Moskwa nie jest dla niego równorzędnym partnerem i wkrótce jej pozycja będzie taka sama, jak w średniowieczu wobec Mongołów.

Dziś Chiny są potężniejszym państwem od Rosji, a co więcej – państwem nieżyczliwym, ponieważ dobrze pamiętającym traktaty z lat 1858 i 1860 oraz postępowanie w roku 1911. Być może w Chinach nie lubią Amerykanów i Europejczyków, ale to Rosjanie zagrabili ziemie, które w Pekinie uważane są za chińskie. Ziemie pomiędzy Ussuri a Pacyfikiem – nazywane przez Rosjan Krajem Nadmorskim – w nomenklaturze chińskiej są Mandżurią Zewnętrzną.

Walka na słowa staje się coraz wyraźniejsza – pomaga w tym Internet. W Telegramie Rosjanie nawołują do „powrotu Alaski do macierzy". Na platformie X Mongołowie odpowiadają, publikując mapy, na których Moskwa jest częścią średniowiecznej Mongolii. Chińczycy na TikToku przedstawiają plany odzyskania ziem utraconych po 1858 r. To wszystko jest zabawne dopóty, dopóki nie uświadomimy sobie, że takie posty świadczą o nastrojach społecznych.

Koniunktura na rosyjskim Dalekim Wschodzie jest korzystna przede wszystkim dla Chin. Rosjanie wyprowadzają się stamtąd na potęgę, chcąc przenieść się do Europy. Na Syberii zastępują ich Chińczycy, powodowani zresztą tym samym: dla nich Syberia to Europa. Większość syberyjskich samochodów – a także innych maszyn – została wyprodukowana w Chinach. Większość syberyjskich surowców sprzedawana jest do Chin. Przez rosyjsko-chińską granicę buduje się coraz więcej szos, mostów i rurociągów, ale mogą one służyć nie tylko jako szlaki handlowe, lecz także jako drogi inwazji.

Warto pamiętać o strukturze Rosji, a właściwie Federacji Rosyjskiej. Nazwa ta jest bardzo istotna, wskazuje bowiem na niejednolitość tego państwa. Znaczną część jego mieszkańców stanowią potomkowie Mongołów, co istotne – mieszkający na ziemiach, spod których wydobywane są ropa i gaz ziemny. Warto też pamiętać, że Syberia i Zabajkale to są kolonie rosyjskie, w których ludność miejscowa wykorzystywana jest przez rodowitych Rosjan. Syberia i Zabajkale to jedyne terytoria rządzone z Europy, które nie przeszły procesu dekolonizacji. Procesu, który w latach 60. i 70. zeszłego wieku sponsorowany był przede wszystkim z Pekinu.

Jeszcze niedawno wydawało się, że gospodarka Chin będzie rosła w nieskończoność, aż staną się one tak potężne, że w pokojowy sposób podporządkują sobie bliższe i dalsze okolice. Dziś, szczególnie po kryzysie 2019 r., widać, że Chiny są na tej samej drodze co Zachód, a przed nimi zapaść demograficzna i bariery ekonomiczne. Potencjał Chin względem innych państw zacznie się zmniejszać dopiero ok. 2035 r., więc zostało ok. 10 lat, żeby wykorzystać go do poprawy pozycji.

Gdy Tadeusz Romer przybywał w 1937 r. do Tokio, premier Fumimaro Konoe rozważał, w którą stronę – na południe, przeciwko Stanom Zjednoczonym, czy na północ, przeciwko Związkowi Sowieckiemu – powinna skierować się japońska ekspansja. Wybrano południe i był to katastrofalny błąd. Jeśli Chińczycy potrafią wyciągać wnioski, to go nie powtórzą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



KOMUCHOŻERCA

Granice?

LESZEK ŻEBROWSKI

Po 1944 r. sowiecka agentura w Polsce, czyli tzw. Polska Partia Robotnicza, otrzymała władzę w naszym kraju. Oczywiście nie za darmo, Sowieci wymagali od nich całkowitego podporządkowania i bezgranicznej lojalności. To normalne, że w warunkach okupacji, przemocy ludzie chcą jakoś żyć, szukając dla siebie choćby w miarę bezpiecznej niszy. Są jednak ogólnie akceptowane granice, których przekroczyć nie można. Tak było pod okupacją niemiecką. Polskie podziemie wydawało nawet specjalne poradniki, jak daleko iść nie można w służbie okupanta, i było to powszechnie akceptowane. Jednak lata przemocy i eksterminacji zrobiły swoje, ginęli przede wszystkim ci, którzy byli wzorem dla innych. Okazało się, że nie dla wszystkich.

Po Niemcach przyszli komuniści. Zakres ich represji się zmniejszył, bo Niemcy „wyczyścili" w miarę skutecznie obszar patriotyzmu i kategorycznego oporu. Do tego doszła beznadzieja – zostaliśmy sami, znikąd pomocy, uciec mogli tylko nieliczni. To wszystko osłabiało więzy społeczne i narodowe.

Komuniści zaczęli ten stan skutecznie wykorzystywać. Panowali nad Polską siłowo, ale to było dla nich za mało. Mówiąc ich językiem, mieli w swym posiadaniu „bazę" (resorty siłowe, wojsko, administrację), ale na gwałt potrzebowali „nadbudowy", czyli tej sfery, która mogła opanowywać społeczeństwo bez używania brutalnej siły. Dlatego sięgnęli po inteligencję, która mogła im służyć za skuteczny parawan. Dobrzy pisarze, poeci, artyści, nawet niektórzy intelektualiści po okresie okupacyjnej posuchy szukali jakiejś rekompensaty i środków dla ponadprzeciętnego życia. Ale to było coś za coś. Trzeba było wysławiać Stalina, Związek Sowiecki, iść z „postępem", wbrew „reakcji". Chętnych, jak się okazało, było aż nadto. I na ogół im się to opłaciło.

Kto dziś pamięta osoby w służbie czerwonego zła? Tuwima, Brzechwę, Wisłocką, Iwaszkiewicza… Do wszelkich łask powrócił Jerzy Waldorff, nie wypada mu wypominać stalinowskiej przeszłości. A jest to i owo na rzeczy. W 1948 r. Waldorff „dał głos" w chórze potępiania polskiego podziemia. Skomentował np. sprawę skazania ks. Kazimierza Fertaka na długoletnie więzienie za „popieranie band". Dziś wiemy, jak było, ale Waldorff nałgał w tekście, ile wlezie. Najgorsza była jednak konkluzja: „Za funty i dolary zostały dostarczone karabiny i ryngrafy, które święcił ks. Fertak". Dziś to tylko historia, ale wtedy to było jak egzekucja. Były jednak zdrada i zaprzaństwo. Bo jak nazwać obelgi i oszczerstwa, serwowane za… sowieckie ruble i potworny serwilizm? Komunistyczne więzienia to nie były sanatoria. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ojciec i ojczym wieszcza

SŁAWOMIR KOPER

W 1806 r. do Krzemieńca przybył trzydziestokilkuletni ambitny szlachcic herbu Leliwa – Euzebiusz Słowacki. Pochodził ze zubożałej rodziny i karierę związał z nauką. W 1792 r. uzyskał patent królewskiego geometry, od 1800 r. pracował jako nauczyciel prywatny, aż wreszcie został profesorem poezji i wymowy w słynnym Gimnazjum Wołyńskim. Zdobył uznanie jako teoretyk literatury i autor mów okolicznościowych, napisał również dwie tragedie („Wanda" i „Mendog" – drugą z nich wystawiono w 1813 r. w Warszawie). W Krzemieńcu poznał 16-letnią Salomeę Januszewską, córkę zarządcy gimnazjum, z którą w 1808 r. zawarł małżeństwo.

Małżonkowie zakupili czynszowy grunt miejski i na wzór dworków kresowych zbudowali przy ulicy Ogrodowej (obecnie Słowackiego) dom mieszkalny. Jeszcze przed zakończeniem budowy, we wrześniu 1809 r., urodził się ich jedyny syn – Juliusz. Przyszły wieszcz przyszedł na świat w drewnianym dworku rodziców Salomei (naprzeciwko budowanego domu rodziców), niestety, niezachowanym do dzisiaj. W 1921 r. kolejni właściciele nieruchomości sprzedali dom „do rozbiórki", a władze polskie nie zdążyły zareagować.

Rodzina Słowackich mieszkała w Krzemieńcu do 1811 r. Wtedy pan Euzebiusz objął katedrę literatury polskiej na Uniwersytecie Wileńskim i dwa lata później dworek został sprzedany. Niestety, 10 listopada 1814 r. profesor zmarł i matka wraz z synem powrócili do domu rodziców. Trzy lata później Juliusz rozpoczął naukę w gimnazjum, ale ze względów rodzinnych edukacja trwała tylko przez rok. Salomea Słowacka wyszła bowiem ponownie za mąż za Augusta Bécu, profesora Uniwersytetu Wileńskiego.

Opinie współczesnych o ojczymie wieszcza były wyjątkowo podzielone. Z jednej strony podnoszono jego zasługi – wprowadził obowiązkowe szczepienia przeciwko ospie, dbał o stan sanitarny Wilna podczas odwrotu wojsk napoleońskich. Opinię publiczną drażnił jednak jego serwilizm wobec władz carskich i zażyłe stosunki z osławionym senatorem Nowosilcowem. Profesor odegrał również niepochlebną rolę w śledztwie przeciwko filomatom i filaretom, dzięki czemu stał się pierwowzorem postaci Doktora z III części „Dziadów". Zmarł we wrześniu 1824 r. porażony przez piorun kulisty we własnym mieszkaniu. Stopieniu uległy leżące w pobliżu pistolety (a nie srebrne ruble, jak napisał Mickiewicz), a negatywny obraz, w jakim przedstawił go autor „Pana Tadeusza", przez długi czas był przyczyną jego konfliktu ze Słowackim. Ale to już zupełnie inna historia. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



Spotkanie Donalda Trumpa z osobami ze Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Porwanych przez Koreę Północną FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Japońscy „zniknięci”



Piotr Włoczyk

Ofiary znikały w tajemniczych okolicznościach, stawiając na nogi całą Japonię. Niemal pół wieku później rodziny porwanych liczą, że Donald Trump pomoże uwolnić ich bliskich ze szponów reżimu Kimów

Megumi Yokota miała do przejścia tylko kilkaset metrów, które dzieliły salę ćwiczeń od jej domu. Był wieczór 15 listopada 1977 r. Miesiąc wcześniej dziewczynka obchodziła swoje 13. urodziny. Megumi mieszkała w spokojnej wiosce w Prefekturze Niigata na zachodnim wybrzeżu wyspy Honsiu. Dziewczynka wracała z zajęć badmintona, gdy nagle po prostu rozpłynęła się w powietrzu. Rodzina już po godzinie zawiadomiła policję i rozpoczęły się poszukiwania na szeroką skalę. Gruntownie przeczesane zostały lasy, a także plaża. Jej matkę jeszcze tego samego wieczora coś przyciągnęło na brzeg. Jak wspominała później, wpatrywała się przez dłuższą chwilę w ciemny horyzont – po drugiej stronie Morza Japońskiego leży Półwysep Koreański…

Czterdzieści osiem lat później blisko 90-letnia Sakie Yokota stała przy Donaldzie Trumpie i nowej japońskiej premier, trzymając w rękach zdjęcie. Na kolorowej fotografii widać młodą kobietę, dwóch kilkuletnich bliźniaków i – na oko – 10-letnią dziewczynkę. Wszyscy uśmiechnięci, beztroscy. Bliźniacy, dziś ponad 50-letni mężczyźni, stali obok swojej matki i z nadzieją patrzyli na prezydenta USA. Dziewczynką ze zdjęcia była Megumi. Rodzina nie widziała jej od blisko półwiecza. Wiedzę na temat jej losu ma jedynie reżim w Pjongjangu.

Poza rodziną państwa Yokota na spotkaniu z Trumpem, przy okazji jego ostatniego „tournée” po Azji, pojawiło się jeszcze kilkanaście osób ze Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Porwanych przez Koreę Północną. Ich poruszające historie i mgła tajemnicy skrywająca losy ich bliskich od pół wieku zajmują serca i umysły Japończyków. Każdy kolejny japoński premier spotyka się z rodzinami i porusza ten temat w rozmowach z Koreańczykami z Północy. Na razie jednak efekty tych rozmów są mocno ograniczone. I właśnie dlatego rząd w Tokio poprosił o interwencję Trumpa i zaprosił na to symboliczne spotkanie rodziny Japończyków porwanych w latach 70. i 80.

Amerykański prezydent, który chwali się publicznie, że świetnie się rozumie z Kim Dzong Unem, powiedział na spotkaniu z rodzinami porwanych, że pamięta o ich bliskich i zrobi wszystko, co w jego mocy, by przekonać Pjongjang do zwolnienia tych ludzi.

PARY NA CELOWNIKU

Oficjalnie Pjongjang przyznał się jedynie do 13 porwań obywateli Japonii, choć szacuje się, że północnokoreański reżim zniewolił w ten sposób nawet kilkuset Japończyków. W latach 70. i 80. odnotowano mnóstwo tajemniczych zniknięć, których zagadki policja nie była w stanie rozwiązać. Ludzie rozpływali

eprasa.pl cd4abdcfc8

się w powietrzu w przeróżnych miejscach, nie tylko na wybrzeżu. Podejrzenia opinii publicznej zdały się potwierdzać znajdowane czasem przy plażach tajemnicze łódki ze śladami wskazującymi na to, że ich załoga pochodziła z Korei Północnej.

Niecały rok po zniknięciu Megumi Yokoty w podobnie tajemniczych okolicznościach zaginęła Yaeko Taguchi, barmanka z Tokio. Rankiem 12 czerwca 1978 r. zdążyła jeszcze odwieźć dwoje swoich dzieci do żłobka, ale już nie dotarła do pracy. Dekadę później jej nazwisko wypłynęło przy okazji wyjaśniania zamachu bombowego na południowokoreański samolot (zginęło wówczas 115 osób), który przeprowadziła Kim Hyun-hee – agentka północnokoreańskiego wywiadu. W czasie śledztwa kobieta przyznała, że Yaeko Taguchi uczyła ją języka japońskiego w specjalnym ośrodku w Korei Północnej.

Dużo więcej szczęścia niż barmanka z Tokio miała para młodych ludzi z Prefektury Toyama (na zachodnim wybrzeżu Honsiu), która w sierpniu 1978 r. poszła na plażę na randkę. Zaatakowało ich czterech mężczyzn, którzy skrępowali i zakneblowali młodych ludzi. Zanim jednak zdążyli wrzucić ich do łódki, na plaży pojawił się spacerowicz z psem. Niedoszli porywacze spłoszyli się i uciekli. Po wszystkim zaatakowana para zeznała, że japoński, którym posługiwali się napastnicy, był dziwnie sztywny i brzmiał obco.

Również w sierpniu 1978 r. w powietrzu rozpłynęły się Miyoshi i Hitomi Soga – 46-letnia matka i 19-letnia córka mieszkające na wyspie Sado, leżącej u zachodnich brzegów Honsiu. Po latach Hitomi odzyska wolność i dwukrotnie spotka się z Donaldem Trumpem, prosząc go o pomoc w uwolnieniu jej matki oraz innych porwanych.

Takich zniknięć było zaskakująco dużo. W Japonii narastała psychoza. Coraz bardziej oczywiste było, że jest to zorganizowana akcja dyrygowana z zagranicy, ale brakowało na to twardych dowodów. Japońskie media dwoiły się i troiły, prowadząc śledztwa dziennikarskie. „Sankei Shimbun", jedna z największych japońskich gazet, w styczniu 1980 r. wypuściła na pierwszej stronie materiał pt. „Trzy pary na randkach wyparowały tajemniczo na wybrzeżu Fukui, Niigaty i Kagoshimy – czy stoi za tym zagraniczny wywiad?".

„SORRY" KIMA

Po latach okazało się, że program porwań zagranicznych wymyślił syn ówczesnego „Wielkiego Wodza" – Kim Dzong Il, który za panowania ojca odpowiadał m.in. za wywiad. Porwani Japończycy pracowali w specjalnych ośrodkach jako nauczyciele północnokoreańskich szpiegów. Dzięki ich pracy agenci Kimów mogli się lepiej wtapiać w japońskie otoczenie. Poza tym porwani dostarczali tożsamości, które w niektórych wypadkach można było „ukraść" na potrzeby pracy operacyjnej w Japonii. A ich dzieci, urodzone w niewoli w Korei Północnej, były doskonałym „materiałem" na agentów.

Reżim Kimów długo zaprzeczał, że ma cokolwiek wspólnego z seryjnymi zniknięciami Japończyków. Dopiero we wrześniu 2002 r., podczas spotkania w Korei Północnej między Kim Dzong Ilem i premierem Japonii, dyktator z Pjongjangu przyznał, że jego państwo faktycznie porywało Japończyków. Jednak Kim przedstawił listę, na której znajdowało się jedynie 13 nazwisk, a do tego powiedział, że tylko pięciu porwanych żyje. „Umiłowany Przywódca" potwierdził, że agenci północnokoreańskiego wywiadu porywali Japończyków z plaż, ale przyznał też, że porywacze reżimu działali skutecznie nawet w Europie.

Premier Junichiro Koizumi powiedział podczas tamtego spotkania, że nie będzie żadnej normalizacji relacji (Kim liczył przede wszystkim na pomoc gospodarczą), jeżeli Korea Północna nie zwolni porwanych i nie przeprosi. Kim Dzong Il tłumaczył swojemu gościowi, że porwania nie były dokonane na zlecenie władz w Pjongjangu, lecz miała to być samowolka „zbyt patriotycznie" nastawionych funkcjonariuszy wywiadu, którzy byli po prostu zbyt gorliwi… Kim zdobył się w końcu na słowa, których w innych okolicznościach, gdyby nie zależało mu tak bardzo na współpracy gospodarczej, nigdy by z siebie nie wydusił: „Chciałbym skorzystać z tej okazji, by jednoznacznie przeprosić za godne pożałowania zachowanie tych ludzi. Nie pozwolę, by kiedykolwiek jeszcze dochodziło do takich sytuacji".



Megumi Yokota zaginiona od blisko półwiecza. Wiedzę na temat jej losu ma jedynie reżim w Pjongjangu FOT. NATIONAL ASSOCIATION FOR THE RESCUE OF JAPANESE KIDNAPPED BY NORTH KOREA

Miesiąc później, w październiku 2002 r., w Japonii wylądował samolot z pięcioma porwanymi. Wśród nich była Hitomi Soga. Dwa lata później reżim zgodził się wypuścić jej dwie córki, które urodziła w Korei Północnej (jej mężem był Charles Jenkins, amerykański dezerter, który w 1965 r., podczas służby w strefie zdemilitaryzowanej, uciekł do Korei Północnej i był wykorzystywany intensywnie przez tamtejszą propagandę).

PÓŁ WIEKU PUSTKI

Kajanie się Kima i przyznanie do porwań na nic się jednak zdało rodzinie zaginionej w wieku 13 lat Megumi Yokoty. Państwo Yokota usłyszeli w 2002 r. z ust przedstawicieli komunistycznego reżimu, że ich córka nie żyje od blisko dekady. Dwa lata później dostarczono im urnę z prochami. Po badaniu DNA – rodzina zachowała pępowinę Megumi – okazało się jednak, że przekazane szczątki nie należą do zaginionej! Rodzina Yokota nie traci nadziei, że ich córka i siostra jednak żyje i być może, przy okazji kolejnego etapu „normalizacji stosunków" uda się ją uwolnić. „Zastanawiam się, jak wyglądało dawniej moje życie, bo od 47 lat czuję tylko pustkę" – powiedziała rok temu jej matka Sakie Yokota w rozmowie z gazetą „Asahi Shimbun". Zarówno ona, jak i reszta rodzin zaginionych Japończyków liczy, że deklarowana przez Trumpa „świetna relacja" z Kim Dzong Unem przekuta zostanie na konkrety i reżim uwolni pozostałe przy życiu ofiary programu porwań zagranicznych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



Maciej Pieczyński

Z jednej strony, Rosjanie są coraz bardziej zmęczeni przedłużającą się „specoperacją”. Z drugiej strony, na Kremlu wciąż dominuje głos „partii wojny”. Za pokojem opowiada się milcząca mniejszość rządzących elit



Partia wojny trzyma się mocno

Władimir Putin od 24 lutego 2022 r. konsekwentnie dąży do eskalacji i odrzuca propozycje kompromisu. Dlatego tzw. partia wojny jest dziś de facto nieformalną partią władzy. Chociaż oczywiście można w niej dostrzec mniej lub bardziej radykalne głosy. Jeszcze przed inwazją Putin mógł lawirować między „jastrzębiami” a „gołębiami”. Podejmując decyzję o „specjalnej operacji wojskowej”, musiał złamać (i tak wątły) opór tych drugich i oprzeć się jednoznacznie na tych pierwszych. Partia wojny stała się nieformalną partią prezydencką, ale z pewnymi drobnymi zastrzeżeniami. O ile po aneksji Krymu, a przed inwazją radykalni zwolennicy eskalacji domagali się inwazji właśnie, o tyle po rozpoczęciu „specoperacji” deklarowali pełne dla niej poparcie, ale też nieśmiało apelowali o zwiększenie presji militarnej na Ukrainę, chociażby przez częstsze ostrzały infrastruktury krytycznej.

„ŚWIĘTA WOJNA”

Bez wątpienia jednym z bardziej medialnych „jastrzębi” był Jewgienij Prigożyn. Mieszał on z błotem ówczesnych szefa sztabu i ministra obrony właśnie za nieudolność w prowadzeniu wojny. Przed puczem szef wagnerowców cieszył się poparciem, a nawet kultem ze strony środowiska skupionego wokół prawosławno-imperialnej telewizji Tsargrad. To jedna z najważniejszych frakcji partii wojny. Na jej czele stoi słynny i bardzo wpływowy oligarcha Konstantin Małofiejew. Jest konsekwentnym piewcą eskalacji. Małofiejew zasadnie uważany jest za „sponsora prorosyjskiego separatyzmu”. Wspierał finansowo donbaskich separatystów. Od tamtego czasu konsekwentnie domagał się podboju całej Ukrainy. Po rozpoczęciu inwazji zarówno on, jak i występujący na antenie jego telewizji eksperci i komentatorzy głosili potrzebę eskalacji konfliktu. Małofiejew należy do ścisłego grona tych, którzy namawiają Putina do ostatecznego zniszczenia państwa ukraińskiego. Zdaniem Małofiejewa „specoperacja” jest „świętą wojną”, którą Rosja prowadzi z Zachodem w imię wartości moralnych. Biznesmen uważa również, że słowa „Ukraina”, „Ukraińcy” czy „ukraińskość” powinny zniknąć z rosyjskiego słownika.

Ze środowiskiem Tsargradu związany jest również o wiele bardziej niż Małofiejew rozpoznawalny na Zachodzie Aleksandr Dugin. Po aneksji Krymu krytykował rezygnację z marszu na Kijów. Za swoje słowa o tym, że Ukraińców należy „zabijać, zabijać i jeszcze raz zabijać”, stracił nawet posadę na uczelni. Wrócił do łask, gdy Putin wsłuchał się w namowy „partii wojny”. Geopolityk nazywa Zachód „diabłem”, z którym Rosja nie ma o czym rozmawiać. Nieprzypadkowo jego autorski program na antenie Radia Sputnik nazywa się „Eskalacja Aleksandra Dugina”.

eprasa.pl cd4abdcfc8



Do elity „partii wojny" zaliczany jest m.in. dowódca Rosgwardii gen. Wiktor Zołotow FOT. KREMLIN POOL/RUSSIAN LOOK/FORUM

Dla przedstawicieli „partii wojny" charakterystyczne jest zresztą, że oś konfliktu dostrzegają nie między Rosją a Ukrainą, tylko między Rosją a Zachodem. Podmiotowości Kijowa bowiem nie uznają w żadnym wypadku. Zachód jest dla nich wrogiem śmiertelnym – albo jako przeżarta kapitalizmem i indywidualizmem „cywilizacja morza" (według Dugina), albo jako siedlisko lewicowych antywartości (według Małofiejewa), względnie – jako świat antyislamski.

Ta trzecia narracja pojawia się u jednego z najbardziej znanych „działaczy partii wojny" – Ramzana Kadyrowa. Szef Republiki Czeczeńskiej nazywa wojnę z Ukrainą „dżihadem", w którym prawdziwi muzułmanie powinni walczyć ramię w ramię z Rosjanami, bo zgniły, szatański Zachód jest dla nich wspólnym wrogiem. Kadyrow jest bezwzględnie lojalny wobec Putina. Obaj siebie potrzebują. Putin rękami Kadyrowa trzyma w ryzach buntowniczy region. Kadyrow ma w kremlowskich elitach (i generalnie w Rosji) wielu wrogów, więc protekcja władcy Kremla jest dla niego sprawą życia i śmierci. Ponadto owiany złą sławą kaukaski dyktator odgrywa rolę podobną do tej, którą przed buntem odgrywał Prigożyn. Jest straszakiem. Putin zawsze może powiedzieć Zachodowi i rodzimym liberałom: „Pamiętajcie, że w Rosji są gorsi ode mnie. Lepiej więc rozmawiajcie ze mną, zgadzajcie się na moje warunki i traktujcie mnie jak partnera, bo jeśli mnie zabraknie, to na moje miejsce przyjdą prawdziwe zakapiory".

Do radykałów, którymi Kreml straszy swoich przeciwników, zaliczyć można również obóz czerwonobrunatny, czyli sojusz neostalinistów z neofaszystami. Największą w nim rolę odgrywa gazeta „Zawtra". Jej redaktor naczelny, Aleksandr Prochanow, postrzega obecną wojnę jako kontynuację drugiej wojny światowej, która jego zdaniem była świętą wojną sił piekła (III Rzeszy) z siłami raju (Związku Sowieckiego). Zełenski to dla niego nowy Hitler, Putin – nowy Stalin. Prochanow to legenda rosyjskiej publicystyki, reprezentuje jednak margines, a jego wpływ na opinię publiczną jest niewielki. Co innego gwiazdy rosyjskiej telewizji. „Partia wojny" potrzebuje potężnej propagandowej tuby. Tę funkcję bardzo sprawnie pełni – obdarzony charyzmą i tubalnym głosem – Władimir Sołowiow. Prowadzący popularnych programów publicystycznych słynie z ostrego języka. Regularnie wymachuje atomową szabelką, wygrażając Ukrainie i Zachodowi użyciem broni jądrowej. Bez wątpienia Sołowiow ma spory udział w zaszczepianiu szerokim masom Rosjan prowojennych nastrojów.

AGRESYWNY BŁAZEN

„Partia wojny" ma swoich przedstawicieli na eksponowanych stanowiskach w państwie. Zaliczyć można do niej każdego polityka czy urzędnika, który głośno popiera inwazję i nawołuje do eskalacji. Najbardziej jaskrawym przykładem jest wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew. Sprawnie wszedł w rolę dawniej zarezerwowaną dla Władimira Żyrinowskiego. Czyli w rolę agresywnego błazna, który rzuca obelgi na wrogów Rosji, mówiąc to, co Putinowi nie wypada, zarazem stając się generatorem wypowiedzi, które zachodnie media chętnie cytują, szukając sensacji i antyzachodnich treści. Miedwiediew to polityk z przetrąconym kręgosłupem. Gdy Putin oddelegował go na stanowisko prezydenta, ten przez moment uwierzył, że może być kimś więcej niż marionetką prawdziwego władcy Kremla. Miał za zadanie jedynie udawać prozachodniego liberała. Tymczasem w to, że nim jest naprawdę, uwierzyła nie tylko część antyputinowskiej opozycji, ale także sam Miedwiediew. Liczył na to, że w Rosji powstanie system dwupartyjny, w którym oprócz putinowskiej Jednej Rosji będzie jeszcze miejsce na centroprawicowe ugrupowanie, na którego czele by stanął.

Ostatecznie Putin nie tylko przywołał go do porządku, lecz także zwasalizował, czyniąc zeń wiernego i pozbawionego jakiejkolwiek siły politycznej dworzanina. Dziś Miedwiediew musi nieustannie udowadniać swoją lojalność. Stał się psem łańcuchowym Putina, wypluwającym z siebie najgorsze obelgi pod adresem Ukrainy i Zachodu. A to wszystko podlane alkoholem, którego były prezydent Rosji nadużywa. Miedwiediew jest zatem czołowym przedstawicielem „partii wojny", a nawet jedną z jej najbardziej rozpoznawalnych i najbardziej wyrazistych twarzy. Raczej jednak daje właśnie samą twarz wojennej propagandzie, niż w jakikolwiek sposób wojenną politykę kreuje. Podobnie jak inni jest jedynie pionkiem na putinowskiej szachownicy, narzędziem potrzebnym, by promować konkretne idee, ważne dla władcy. Można zresztą założyć, że gdyby stał się cud i Putin zmieniłby front, szukając porozumienia z Zachodem, swoją retorykę zmieniłby również Miedwiediew.

Elitę „partii wojny" tworzą również przewodniczący Dumy Państwowej Wiaczesław Wołodin czy dowódca Rosgwardii Wiktor Zołotow. Naturalnym biegiem rzeczy do tego grona zaliczani są także ludzie związani ze służbami, choć nie wszyscy. Szef Służby Wywiadu Zagranicznego Siergiej Naryszkin był raczej sceptyczny wobec pomysłu inwazji na Ukrainę. Został jednak publicznie „przeczołgany" przez Putina podczas słynnej narady, poświęconej uznaniu niepodległości tzw. republik ludowych na Donbasie. I dziś nie wybija się z ogólnego chóru trubadurów „specoperacji". Natomiast od początku za zwolennika konfrontacji z Zachodem uważany był Nikołaj Patruszew. Starszy od Putina jego wieloletni współpracownik, były szef FSB. W chwili wybuchu wojny pełnił funkcję sekretarza Rady Bezpieczeństwa

eprasa.pl cd4abdcfc8

Federacji Rosyjskiej. Obecnie jest już na bocznym torze, pozostając formalnie doradcą prezydenta. Karierę robi jednak jego syn. Dmitrij Patruszew jest obecnie wicepremierem. Do „partii wojny" należą bez wątpienia również pierwszy zastępca szefa administracji prezydenta Siergiej Kirijenko oraz były sekretarz generalny Jednej Rosji, a obecnie szef Republiki Ałtaju Andriej Turczak.

„PARTIA MILCZENIA"

W 2022 r. opozycyjny portal Meduza wydzielił osobno „partię pokoju" i „partię milczenia". Pierwsi namawiali Putina na negocjacje pokojowe. Drudzy po prostu nie zabierali głosu na temat wojny. Do pierwszych zaliczono prezesa banku WTB Andrieja Kostina, prezesa Rostiechu (firmy państwowej zajmującej się rozwojem technologii) Siergieja Czemiezowa oraz szefa Sbierbanku Giermana Griefa. Poglądy bliskie „pokojowym" mieli wyrażać również bracia Jurij i Michaił Kowalczukowie – oligarchowie z bezpośredniego otoczenia Putina. Do grona „milczących" źródła Meduzy zakwalifikowały premiera Michaiła Miszustina i mera Moskwy Siergieja Sobianina. Klucz jest dość czytelny. Wojnę popierają siłowiki (Patruszew, Bortnikow, Zołotow), politycy, których pozycja w pełni jest zależna od łaski Putina (Miedwiediew), preferujący siłowe rozwiązania (Kadyrow), propagandyści, których rolą jest utrzymywać antyukraińskie i antyzachodnie nastroje (Sołowiow, Dugin, Małofiejew, Prochanow czy niewspomniany wcześniej poczytny pisarz i publicysta prowojenny Zachar Prilepin).

Przeciwko wojnie występują ludzie związani z biznesem, milczą o niej politycy i urzędnicy, wpisujący się w stereotyp technokratów skupionych na dobrym zarządzaniu. Powód jest oczywisty – ten, kto umie liczyć pieniądze, wie, że Rosja finansowo i gospodarczo na wojnie raczej traci, niż zyskuje. Tyle że podziały nie mają większego znaczenia. Ani bowiem „partia pokoju", ani „partia milczenia" nie mają większego wpływu na decyzje Putina.

Symptomatycznym przykładem jest szefowa rosyjskiego Banku Centralnego Elwira Nabiullina. Była zdecydowaną przeciwniczką rozpoczęcia wojennej awantury. Nikt lepiej niż ona nie wiedział, jak dużym ciosem dla gospodarki rosyjskiej może okazać się militarna konfrontacja z Ukrainą i Zachodem. W przededniu inwazji chciała nawet złożyć rezygnację, ale Putin na to nie pozwolił, co świadczy o tym, że doceniał sprawną urzędniczkę. I to była z jego punktu widzenia bardzo dobra decyzja. To właśnie dzięki szefowej Banku Centralnego rosyjska gospodarka przetrwała sankcyjną nawałnicę i inne problemy wynikające z wojny. Kiedyś Nabiullina uważana była za liberała. Dziś jej przynależność do „partii pokoju" należy uznać za czysto formalną. W rzeczywistości bowiem świetna w swoim fachu urzędniczka bezwzględnie podporządkowała się woli Putina i robi to, czego on od niej oczekuje – czyli prowadzi rosyjską gospodarkę tak, aby jej stan pozwolił Moskwie kontynuować działania zbrojne i przy tym nie zbankrutować. Niezależnie więc od swoich przekonań jest jednym z architektów wojny.

Pokojowe nastawienie społeczeństwa nie ma większego znaczenia. Putin przecież oficjalnie nie prowadzi wojny, tylko „specoperację"

Wymowny jest też los innego „gołębia". Dmitrij Kozak przez wiele lat był jednym z najbliższych współpracowników Putina, z którym dobrze się zna jeszcze z czasów leningradzko-petersburskich. Latem tego roku „New York Times", powołując się na swoich informatorów na szczytach rosyjskich władz, donosił, że Kozak to jedyny z wysoko postawionych urzędników, który otwarcie występował przeciwko wojnie i apelował o rozpoczęcie rozmów pokojowych. Część ekspertów przekonywała, że to mało prawdopodobne, ponieważ Putin nie pozwala sobie na takie komentarze. Niemniej we wrześniu Kozak podał się do dymisji ze stanowiska zastępcy szefa administracji prezydenta. Prawdopodobnie został do tej decyzji zmuszony. Trudno zatem postawić wyraźną granicę między „partią pokoju" a „partią milczenia". „Gołębi" bowiem, nawet gdy cokolwiek „mówią", Putin nie słucha. Prędzej czy później muszą więc zamilknąć.

„Partia wojny" to nie tylko ogół działaczy państwowych, popierających „specoperację", lecz także opinia publiczna w Rosji. I tutaj można dostrzec dwie przeciwstawne tendencje. Z jednej strony, części Rosjan, paradoksalnie, po rozpoczęciu inwazji żyje się lepiej. Robotnicy zatrudnieni w przemyśle zbrojeniowym zarabiają kilka razy więcej niż przed wojną. Dla mieszkańców biedniejszych regionów podpisanie kontraktu z armią to szansa na dobry zarobek. Klasa średnia w Rosji to głównie zatrudnieni w budżetówce konformiści, którym wygodnie jest stać po stronie władz i ich kursu (konsekwentnie prowojennego).

Z drugiej strony, przedłużająca się wojna nie może budzić nieustającego i powszechnego entuzjazmu społecznego. Na początku września niezależne Centrum Lewady ogłosiło wyniki badań, z których wynika, że kontynuację działań zbrojnych popiera 27 proc. Rosjan. To najniższy wynik od momentu wybuchu wojny. 66 proc. respondentów opowiedziało się za negocjacjami pokojowymi z Kijowem. Dla porównania: rekordowo prowojenne nastroje odnotowano w maju 2023 r., gdy Ukraińcy po raz pierwszy zaatakowali dronami rosyjskie miasta. Wtedy wojnę popierało 48 proc. Rosjan, 45 proc. opowiadało się za pokojem. Lewada w przeszłości wielokrotnie publikowała sondaże pokazujące chociażby bardzo wysokie poparcie dla Putina i jego działań, więc trudno jej zarzucić manipulowanie opinią publiczną. Biorąc pod uwagę to, że Rosjanie boją się wyrażać krytyczne wobec aktualnej sytuacji zdanie, można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że wyniki niezadowolenia z wojny mogą być nieco zaniżone.

Pokojowe nastawienie społeczeństwa nie ma jednak większego znaczenia. Putin przecież oficjalnie nie prowadzi wojny, tylko „specoperację", a zgodnie z kremlowską propagandą Rosja dąży do pokoju, tyle że Ukraina i Zachód pragną wojny. „Jastrzębie" wciąż mają zatem na Kremlu przewagę nad „gołębiami". W końcu to jeden z nich zasiada na carskim tronie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KOSZMAR POTOPU SZWEDZKIEGO

Szarańcza z północy – Karol Gustaw cofnął Rzeczpospolitą do wczesnego średniowiecza. Potop szwedzki oznaczał dla państwa polsko-litewskiego pożogę, rabunek i upust krwi

Niemalowana królowa – Jedną z bohaterek „Potopu" mogłaby być Maria Gonzaga, nazywana „niebiałogłową". Gdyby nie śmiałość, wysiłki i pieniądze królowej, losy Polski mogłyby się potoczyć jeszcze bardziej tragicznie

Panamski łącznik – Francuzi próbowali zbudować w Panamie kanał na podobnej zasadzie jak w Egipcie. Warunki w Ameryce Centralnej były jednak dużo trudniejsze i dopiero Amerykanie byli w stanie zrealizować ten cud inżynierii

Syberyjska epopeja Czechosłowaków – Korpus naszych południowych sąsiadów przeszedł przez całą Rosję, by ewakuować się z Władywostoku. Po drodze Czechosłowacy walczyli nie tylko z bolszewikami

Książę regent – Zdzisław Lubomirski zdobył w latach pierwszej wojny światowej ogromną popularność – widziano w nim reprezentanta narodu – ale raptownie ją utracił

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cd4abdcfc8



Jan Bogatko z Berlina

W awanturze o krajobraz niemieckich miast tak naprawdę nie chodzi o miasta, lecz o politykę wobec islamskich osadników. Angela Merkel, „matka narodu", jako kanclerz (2005–2021) zmieniła Niemcy – pisał „Der Spiegel" w lutym 2018 r. – bardziej radykalnie niż jej poprzednicy. Niemcy się zmieniły nie do poznania, a wraz z nimi zmieniły się partyjny pejzaż i preferencje wyborcze



W składzie lewicowego rządu Friedricha Merza (na zdjęciu) ton nadaje SPD

FOT. JEAN-CHRISTOPHE VERHAEGEN/POOL/AFP/EAST NEWS

Niemcy o zmroku

Pięciu młodych mężczyzn zgwałciło w Heinsbergu nieletnią dziewczynę. Prokurator w Akwizgranie podjął postępowanie. Potwierdził informacje mediów, że o sprawstwo podejrzanych jest pięciu Syryjczyków. Liczą od 17 do 26 lat. Najmłodszy z nich jest w wieku ofiary gwałtu. Zmuszono ją do uległości groźbą użycia broni. Oczywiście pochodzenie oprawców to zbieg okoliczności, przypadek. Tylko że te przypadki się mnożą od owej pamiętnej nocy sylwestrowej w Kolonii w 2015 r. Również za przypadek, za zbieg okoliczności, można uznać to, że w tymże roku „matka narodu" otworzyła na oścież granice dla islamskich osadników.

Niemcy oszaleli z radości na ich punkcie. Od tego czasu do roku 2023 (nowszych statystyk brak) do Niemiec przybyło ponad 2,2 mln migrantów (liczba ta nie jest dokładna), którzy – jak informuje Federalny Urząd do spraw Migracji i Uchodźców (Bamf) – po raz pierwszy (to należałoby podkreślić, ponieważ oznacza to, że wniosek azylowy można w Niemczech składać wielokrotnie; pomagają w tym lewicowe organizacje pomocowe, głównie Pro Asyl z Frankfurtu nad Menem) złożyli wniosek o uznanie za uchodźcę politycznego.

Gdy tylko jakiemuś islamskiemu przestępcy grozi ekstradycja, mieszkańcy squatów (w każdym większym niemieckim mieście jest przynajmniej jeden taki darmowy hostel dla lewaków utrzymywany kosztem niemieckich podatników) piszą na murach co lepiej wyglądających kamienic hasła w rodzaju „Kofi zostaje" albo „Je… Merza", często ozdabiane sierpem i młotem. Aktualnie na wyjazd z Niemiec oczekuje ponad 225 tys. imigrantów, w tym ponad 130 tys. osób, którym odmówiono azylu. I będą długo oczekiwać, bo w składzie lewicowego rządu Merza ton nadaje SPD – partia ukarana przez wyborców, a nagrodzona dopuszczeniem do rządzenia przez CDU/CSU ze strachu przed AfD. Zwłaszcza tam nadaje ton, gdzie chodzi o islamskich migrantów, na których liczą nie od dzisiaj niemieccy socjaliści. Liczą na to, że będą oni za pięć lat wybierać lewicę.

WĄTPLIWE STATYSTYKI

Nie tak dawno temu kanclerz Friedrich Merz wyraził opinię, że jeśli chodzi o politykę migracyjną, to Niemcy posunęły się za daleko. Nie chodziło tu tylko o krytykę słynnego kursu Angeli Merkel zapoczątkowanego w 2015 r. sloganem „Herzlich willkommen". W pierwszej chwili wypowiedź sprawiała wrażenie gotowości kanclerza Merza do obalenia kordonu sanitarnego utworzonego przez lewicę wokół partii Alternatywa dla Niemiec, stanowiącej zagrożenie dla byłej

eprasa.pl cd4abdcfc8



chrześcijańskiej demokracji, nie wspominając o kroczącej do lamusa historii lewicy. Słowa Merza na temat migrantów nie różniły się wcale od opinii konserwatystów z AfD. Ale to był pierwszy grzmot zwiastujący burzę. Ta rozszalała się dopiero po tym, jak Merz powiedział, że problem z migracją widzimy w krajobrazie miejskim. Kanclerz zapowiedział, że minister spraw wewnętrznych pracuje obecnie nad tym, by zapewnić powrót migrantów bez prawa pobytu do krajów pochodzenia.

Słowo się rzekło, ale kobyłki u płotu jak nie było, tak nie ma. Jak pisałem: 225 tys. osób ma opuścić Niemcy. A ilu migrantów deportowano do krajów pochodzenia? Zaledwie 11 807! Statystyki i tak są naginane do celów propagandowych (by zahamować odpływ potencjalnych wyborców z partii Merza do partii Weidel). Stalinowcy (partia Die Linke) wystąpili w Bundestagu z interpelacją, na którą otrzymali odpowiedź powołującą się na PES (policyjna statystyka Bundespolizei), że w okresie od stycznia 2024 r. do kwietnia roku 2025 zawrócono do Polski 11 398 osób. Czy tych migrantów zalicza się go grupy „opuszczających kraj", czyli Niemcy? Na to pytanie próżno szukać odpowiedzi.

Czy ulice niemieckich miast po zmroku są bezpieczne? Nie, nie są – mówił Friedrich Merz na konferencji prasowej wywołanej echem jego bulwersującej lewicę wypowiedzi o panoramie niemieckich miast. I dodał: „Zapytajcie swe dzieci, córki, znajomych i przyjaciół, wszyscy potwierdzą, że jest to realny problem, szczególnie po zmroku".

Merz powiedział prawdę, ale pominął, że każdy ma przecież swoją prawdę. Stalinowcy (Die Linke, Zieloni) zarzucają kanclerzowi rasizm. Wypowiedź Merza to dla współszefa Zielonych, Felixa Banaszaka, „fatalny sygnał". Jest on zdaniem polityka lewicy (która otrzymała lanie w ostatnich wyborach do Bundestagu i w zasadzie nie ma nic do powiedzenia) „nie tylko nieodpowiedzialny, lecz także niebezpieczny".

Mocne słowa, szkoda tylko, że nic nie znaczą. Partyjna koleżanka Banaszaka, współszefowa klubu poselskiego w niemieckim parlamencie, Katharina Dröge, oburza się na Merza, komentując jego wypowiedź: „To obraźliwe, dyskryminujące i nieprzyzwoite". Do tego stały repertuar zarzutów lewicy, że to stygmatyzacja i uprzedzenia.

A przecież dokładnie 10 lat temu towarzysze z Die Linke, SPD czy Zielonych w ramach polityki willkommen, której Niemcy zdecydowanie nie chcą, a czego lewica łącznie z CDU Angeli Merkel do niedawna nie widziała, urządzali tysiące akcji solidarnościowych z osadnikami islamskimi, z zapraszaniem do domu na obiad (oczywiście halal) włącznie.

Ulicami niemieckich miast przechodzą w tych dniach „spontaniczne" demonstracje przeciwko „faszystom". A w nich uważny obserwator dostrzega te same twarze w pochodach na ulicach Berlina, Hamburga, Rostocku czy Magdeburga. Tych masowych i tych mniej licznych. Niemieckie media nadają im niewspółmierny rozgłos. Wczorajsze „babcie za aborcją" występują dziś w roli „córek kontra prawica". Można? Można. Demonstrację w Hamburgu zorganizował niesprecyzowany sojusz grup i inicjatyw (jak dawniej, za sowieckich czasów). Wśród nich oczywiście Die Linke i Fridays for Future. „Tagesschau" nie kryje wzruszenia, cytując stalinowców: „CDU szaleje, a z każdym nowym prawicowym oświadczeniem kanclerz Merz coraz bardziej wkracza na drogę prowadzącą ku względom AfD".

BYĆ JAK AFD

Czyżby kanon zapory ogniowej przeciwko partii Alternatywa dla Niemiec przestał obowiązywać? Niestety nie – ubolewają konserwatyści spoza CDU. Jednak także w CDU słychać głosy za zmianą nastawienia wobec AfD, która w sondażach wychodzi niekiedy nawet na prowadzenie. Tego zdania jest premier mniejszościowego rządu landowego w Saksonii, Michael Kretschmer, pochodzący z niemieckiego Zgorzelca. Wprawdzie wyklucza on koalicję z AfD, ale o lewicy potrafi mówić w ostrych słowach. Do końca też nie wiadomo, co oznacza jego żądanie zmiany podejścia do AfD. Ale stanowi ono pewien wyłom w codziennej retoryce partyjnej. Kretschmer wie, jak zmienił się wizerunek zachodniego Zgorzelca w ciągu 10 lat po wezwaniu do „Willkommenspolitik", bo często bywa w swym rodzinnym mieście nad Nysą.

Także minister spraw wewnętrznych w Berlinie, Alexander Dobrindt z CSU, stwierdził publicznie: „Fakt, że nielegalna imigracja zmienia wygląd naszych miast, odpowiada odczuciu wielu ludzi – to oczywiste". Na krytykę ze strony lewicy Dobrindt odpowiada wzruszeniem ramion: „Polityka, która ze strachu przed debatą w mediach społecznościowych przestaje zważać na odczucia ludzi, wzmacnia jedynie rozczarowanie polityką, a w konsekwencji – siły radykalne". Minister ma na myśli pewnie AfD, bo poza tą partią nic i nikt nie zagraża rządzącej konstelacji.

Szef MSW zapewnia, że rząd chce wprowadzić zwrot w polityce migracyjnej. Ten zapowiadany zwrot ma odciążyć miasta, gminy i instytucje publiczne, jak szkoły, przedszkola czy państwowy system opieki zdrowotnej. Znany jest powszechnie przypadek bońskiego liceum Nicolaus Cusanus należącego do miasta i cieszącego się wyjątkowo złą sławą. Na stronie internetowej Schulen.de, na której uczniowie oceniają swe szkoły, jeden z licealistów pisze tak: „Organizacja i klimat szkoły są bardzo złe. W tej szkole nie ma prawdziwego życia szkolnego. Klasy są w większości muzułmańskie, a uczniowie innych

eprasa.pl cd4abdcfc8

wyznań są marginalizowani. Dyrekcja szkoły niewiele robi, aby poprawić klimat szkoły i charakteryzuje się bardzo autorytarnym stylem zarządzania. Teren i budynki szkoły to plac budowy. Dziedziniec szkolny nie oferuje dzieciom miejsca do odpoczynku podczas przerw, a wnętrze jest w bardzo złym stanie". To niejedyna taka szkoła w Niemczech, lecz jedna z wielu.

Boris Palmer, bezpartyjny burmistrz uniwersyteckiej Tybingi, zabierając głos na temat afery po wypowiedzi kanclerza, zauważa, że słowa Merza wyrwano z kontekstu. Tak też jest w istocie: to znana metoda stalinowców w Niemczech. Palmer zapytany o opinię przez dziennikarza tabloidu „Bild" (wysokonakładowej gazety z Berlina, odpowiednika polskiego „Faktu") odpowiedział: „Ta wypowiedź [Merza] byłaby skandalem, gdyby dotyczyć miała wszystkich cudzoziemców". Burmistrza Tybingi „Bild" cytuje słowami: „Kanclerz miał ma myśli młodych mężczyzn bez pracy i prawa pobytu, którzy w średniej wielkości miastach zajmują dworce, place i parki". Wiadomo, o kogo chodzi – komentuje dziennikarz, nie wskazując nikogo palcem.

Robin Alexander z poważnego dziennika „Die Welt" stawia kropkę nad i: „Chodzi tu o tych, którzy wystąpili o azyl, otrzymali odmowę, a teraz stoją przed dworcami. Kanclerz mówi o rozwiązaniu tego właśnie problemu". Czy Merz jednak zdobyłby się na to, by poruszyć tę kwestię, gdyby nie AfD – to już całkiem inna historia.

SPD, odsunięta od władzy w ostatnich wyborach, na zaproszenie szefa CDU do tej władzy wróciła w roli koalicjanta Friedricha Merza. Zagrożona marginalizacją na niemieckiej scenie politycznej ta niegdyś wielka partia legendarnego Willy'ego Brandta zaczyna szukać dla siebie miejsca w realnym świecie, dalekim od lewackich mrzonek, którym ulegała latami. Przejawem tego jest postawa kandydata SPD na prezydenta Hanoweru, Axela von der Ohe, który zauważył nagle, że w przestrzeni publicznej narasta poczucie dyskomfortu – niektóre kobiety boją się spacerować wieczorami po centrum stolicy Dolnej Saksonii. Nie, nie – von der Ohe, magister politologii, to nie polityk Alternatywy dla Niemiec. To lewicowiec, socjaldemokrata, polityk partii SPD, która niedawno przegrała wybory do Bundestagu i straciła fotel kanclerza.

Ale Axel von der Ohe nie byłby politykiem, gdyby nie chciał powrotu do władzy. Choćby na szczeblu lokalnym, tak na początek. Aby zyskać wyborców, musi się im przypodobać. Najlepiej poruszając istotne dla nich sprawy. Jak np. problemy wywołane migracją. Że to robi AfD? Nie szkodzi. On to zrobi lepiej – przekonuje komunalny polityk w Hanowerze w ferworze walki wyborczej.

Awantura wokół słów kanclerza Merza oddaje w pełni na ogół zakłamany wizerunek dzisiejszych Niemiec

Axel von der Ohe zaznaczył jednocześnie, że choć SPD chce unikać uproszczonego powiązania problemów w przestrzeni miejskiej wyłącznie z kwestiami migracji, to nie da się ukryć faktu: „Widzimy, że integracja nie wszędzie się powiodła". Ładnie powiedziane: na ogół się udała, ale się nie udała wszędzie. W związku z tym władze miasta zamierzają poddać rewizji strategię integracji osadników. W tym celu Axel von der Ohe przedstawił siedem konkretów, które mają uczynić Hanower miastem przyjaznym dla ludzi, a nie tylko dla islamskich osadników.

Od czego zaczął? Od prezencji policji w miejscach publicznych. To konkret numer jeden: w krajobrazie miasta mają być obecni stróże porządku publicznego. I egzekwować zakaz noszenia przy sobie noży. Migrantom służą one, na co wskazują statystyki, nie tylko do krojenia befsztyków. Do tego dochodzi monitoring przestrzeni publicznej.

Konkret drugi: niech się stanie jasność. Koniec egipskich ciemności w 50 newralgicznych punktach Hanoweru. Nie będzie ciemnych zaułków. Nie będzie miejsc strachu, które samotne kobiety muszą dotąd pokonywać biegiem.

Konkret trzeci: ma być czysto! Ulice nie mogą przypominać wysypiska śmieci. Zakład oczyszczania miasta będzie (oczywiście jak Axel von der Ohe zostanie prezydentem Hanoweru) częściej opróżniał kosze na śmieci. „Czystość to warunek bezpieczeństwa" – mówi komunalny polityk. Ma być czysto jak w Singapurze, kary na zaśmiecanie chodnika będą wysokie. I ma rację. Tylko co robił do tej pory we władzach miasta?

Konkret numer cztery: ożywić pustostany i mieszkalnictwo. Miasto ma wykupywać puste lokale usługowe i nieruchomości sprawiające problemy. Czyżby socjaliści chcieli zlikwidować squaty? Zajmowane przez Antifę i jej sympatyków za darmo prywatne kamienice?

Konkret numer pięć: wzrost opieki socjalnej (!) i więcej streetworkerów na ulicach Hanoweru. Absolwenci lewicowych uczelni znani są z pomocy narkomanom i młodym prostytutkom. Axel von der Ohe marzy o poradniach, mobilnych prysznicach i autobusach dla bezdomnych, o zwiększeniu pomocy dla narkomanów, których liczba po legalizacji marihuany jakoś wbrew przekonaniom socjalistów wcale nie zmalała.

Konkret numer sześć to modernizacja problematycznych placów miejskich w Hanowerze, które nie uchodzą dziś za bezpieczne, jak np. Steintor, oraz oferta sportowa i kulturalna.

A do tego wszystkiego – to już konkret numer siedem – Axel von der Ohe zapewnia, że ratusz obiecuje wspólną strategię dla całego miasta celem poprawy jego atrakcyjności, bezpieczeństwa i jakości życia.

ZAKŁAMANY WIZERUNEK

Awantura wokół słów kanclerza Merza oddaje w pełni na ogół zakłamany wizerunek dzisiejszych Niemiec. Mutter der Nation, Angela Merkel, też zabrała głos w 10. rocznicę jej zgubnej polityki „damy radę". Była kanclerz skarciła zawsze przez nią nielubianego Merza za wypowiedziane słowa podczas prezentacji swych memuarów „Freiheit" (Wolność) w Operze Bońskiej.

Tak, Angela Merkel jest wolna. Ma nawet sporo czasu. Ale na 70. urodziny kanclerza Niemiec się raczej nie wybiera. „Der Spiegel" podaje, że nie otrzymała zaproszenia. Podobno bawi w tym czasie za granicą. A Merz? Gra w golfa. Na Majorce. „Niemieckiej" wyspie na Morzu Śródziemnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8

REPUBLIKA

Nowoczesne show publicystyczne od pierwszego odcinka podbiło serca widzów Republiki w luźny i humorystyczny sposób omawiając aktualne tematy społeczno-polityczne. Oglądaj **Przyjaciół REPUBLIKI**.

PRZYJACIELE REPUBLIKI

PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK
7:05

SOBOTA-NIEDZIELA
8:05

w Republice



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl cd4abdcfc8



Groźba amerykańskiego prezydenta zwróciła uwagę świata na los chrześcijan w Nigerii FOT. SODIQ ADELAKUN/REUTERS/FORUM

Trump broni wyznawców Chrystusa



Jacek Przybylski

Amerykański prezydent ostrzegł władze Nigerii przed „szybką i brutalną" interwencją wojskową, jeśli nie powstrzymają one „masowych mordów na chrześcijanach". Islamski terror nasilił się bowiem tak bardzo, że każdego dnia ginie w tym kraju kilkudziesięciu chrześcijan

Ksiądz Matthew Eya, proboszcz parafii św. Karola w Eha-Ndiagu, wracał wieczorem do parafii, gdy jego samochód dogonili uzbrojeni mężczyźni na motocyklach. Najpierw przestrzelili opony. Gdy auto stanęło, podjechali do duchownego i z bliskiej odległości przeprowadzili brutalną egzekucję.

Do mordu doszło 19 września. Nie słyszeli nic państwo o tym? Nic dziwnego. Ksiądz Matthew Eya to jeden z wielu tysięcy chrześcijan, którzy w ostatnich latach zginęli z rąk bezkarnych muzułmańskich bojówek, których przywódcy nie ukrywają, że ich cel jest prosty: całkowite wyeliminowanie wyznawców Chrystusa.

Zabici księża, spalone kościoły i opuszczone wioski – w ostatniej chwili porzucone przez chrześcijan uciekających przed okrutnymi islamskimi oprawcami – to codzienność chrześcijan w Nigerii. Uciekinierzy nie mają dokąd wracać. Muzułmańscy ekstremiści palą bowiem domy należące do innowierców, aby na zawsze przepędzić ich z danego terenu. Chrześcijanie regularnie padają również ofiarami porwań i okrutnych tortur. Uzbrojeni islamscy napastnicy nie tylko z zimną krwią zabijają i ranią ludzi, lecz także niszczą szkoły, przychodnie, miejsca kultu, zapasy zboża oraz odwierty.

Teoretycznie nie ma w tym nic nowego. Już w kwietniu 2014 r. świat na chwilę zwrócił uwagę na Nigerię, gdy islamscy terroryści z Boko Haram porwali 276 głównie chrześcijańskich uczennic z liceum w mieście Chibok. Niektórym udało się w czasie jazdy wyskoczyć z ciężarówek porywaczy. Ostatecznie w ręce islamistów trafiło 219 dziewcząt. W leśnym obozie terroryści zmusili uczennice do przejścia na islam, „poślubienia" wyznaczonych im mężczyzn i do rodzenia im dzieci. Części licealistek udało się uciec z obozu, inne zostały zwolnione w wyniku negocjacji prowadzonych przez rząd. O nieudolności nigeryjskich władz niech świadczy to, że ponad dekadę po porwaniu aż 82 kobiety nadal oficjalnie uznaje się za zaginione. Porwane, które odzyskały wolność, skarżą się zaś zachodnim dziennikarzom, że władze nie dotrzymały obietnic pomocy.

NAJGROŹNIEJSZE MIEJSCE NA ZIEMI?

W ostatnich miesiącach konserwatywni politycy z ruchu MAGA (Make America Great Again) zaczęli coraz głośniej zwracać uwagę na narastające ataki islamistycznych bojówek na nigeryjskich chrześcijan. Niektórzy mówią o „mordach", inni nie wahają się użyć nawet terminu „ludobójstwo". I nie są to bezpodstawne oceny. Jak zauważyła podczas marcowego przesłuchania w Kongresie amerykańska prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka, Nina Shea „uzasadnione jest umieszczenie Nigerii na krótkiej liście USA najbardziej rażących naruszycieli wolności religijnej na świecie".

Republikański senator z Teksasu, Ted Cruz, zauważył, że „władze Nigerii ignorują, a nawet ułatwiają masowe mordo-

eprasa.pl cd4abdcfc8

wanie chrześcijan przez islamistycznych dżihadystów". Nie poprzestał na słowach. Już kilka tygodni temu przedstawił projekt ustawy wzywający do nałożenia sankcji na Nigerię za naruszanie prawa do wolności wyznania. Jej celem jest pociągnięcie do odpowiedzialności urzędników, którzy ułatwiają działalność dżihadystom i umożliwiają m.in. „wprowadzanie przepisów o bluźnierstwie" (prawo szariatu w niektórych muzułmańskich stanach na północy Nigerii przewiduje, że bluźnierstwo może być karane śmiercią). Nie jest to wymysł amerykańskiej prawicy, choć Trump dostrzegał ten problem jeszcze za swej pierwszej kadencji, a administracja Joe Bidena już nie (i to mimo że od lat na skrajnie niesprawiedliwe procesy i absurdalnie surowe wyroki wobec osób oskarżonych o rzekome „bluźnierstwo" zwraca uwagę m.in. lewicowa Amnesty International).

W październiku obecnego roku w mediach społecznościowych Ted Cruz opublikował zaś post, w którym zwracał uwagę na to, że od roku 2009 w Nigerii ponad 50 tys. chrześcijan zostało zamordowanych, a 18 tys. kościołów i 2 tys. szkół zostało zniszczonych przez „islamistyczne grupy zbrojne". Republikański kongresmen Riley Moore zauważył zaś w liście do szefa amerykańskiej dyplomacji Marca Rubia, że w tym roku w Nigerii zginęło 7 tys. chrześcijan, m.in. z rąk takich grup jak Boko Haram, i podkreślił, że „Nigeria stała się dla chrześcijan najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie".

Gdyby nie ostrzeżenie ze strony Donalda Trumpa, światowe media nie zainteresowałyby się jednak szerzej losem mordowanych, porywanych i torturowanych chrześcijan. Oczywiście przy okazji dorocznych raportów różnych organizacji w serwisach pojawiają się krótkie notki o rosnącej przemocy na tle religijnym. Według ekspertów Open Doors od 1 października 2023 r. do 30 września 2024 r. chrześcijanie doświadczają dyskryminacji i dotkliwych prześladowań z powodu swojej wiary aż w 78 krajach świata. W Nigerii cierpią jednak szczególnie mocno. „Jeśli rząd Nigerii będzie nadal pozwalał na zabijanie chrześcijan, to Stany Zjednoczone natychmiast wstrzymają wszelką pomoc i wsparcie dla Nigerii i mogą z całą pewnością wkroczyć do tego obecnie zhańbionego kraju, z bronią w ręku, aby całkowicie unicestwić islamskich terrorystów dopuszczających się tych okropnych okrucieństw" – napisał 1 listopada amerykański przywódca w mediach społecznościowych, wzywając nigeryjski rząd do podjęcia pilnych działań. „Zabijają rekordową liczbę chrześcijan w Nigerii. Zabijają chrześcijan, i to w bardzo dużej liczbie. Nie pozwolimy na to" – oznajmił prezydent USA również 2 listopada, zwracając uwagę na ten palący problem dziennikarzy na całym świecie.

Nie wiadomo, czy, kiedy i na jaką skalę Stany Zjednoczone mogłyby przeprowadzić wojskową interwencję w Nigerii. Jak dotąd amerykański prezydent poinformował jedynie, że nakazał Pentagonowi przygotować plany ewentualnej operacji zbrojnej. „Zabijanie niewinnych chrześcijan w Nigerii – i gdziekolwiek indziej – musi natychmiast się skończyć. Departament Wojny przygotowuje się do działania. Albo rząd Nigerii będzie chronił chrześcijan, albo zabijemy islamskich

REKLAMA



eprasa.pl cd4abdcfc8

terrorystów, którzy dopuszczają się tych straszliwych okrucieństw" – oznajmił szef Departamentu Wojny Pete Hegseth.

Obecny gospodarz Białego Domu stał się zatem jednym z nielicznych zachodnich polityków, którzy ujęli się za prześladowanymi chrześcijanami. Wcześniej można było odnieść wrażenie, że na ochronę zasługują wszystkie inne grupy religijne czy członkowie społeczności LGBTQIAP+, ale akurat chrześcijan można dowolnie ranić nie tylko słowem.

Jak zauważył Bill Maher, amerykański satyryk i komentator polityczny prowadzący talk-show „Real Time With Bill Maher" na antenie HBO, „ludobójstwo chrześcijan dokonywane przez Boko Haram" jest przez światowe media ignorowane, ponieważ „Żydzi nie są w to zamieszani". I rzeczywiście nawet polskim studentom jakoś łatwiej jest upominać się o Palestyńczyków mordowanych przez izraelskie wojska w Strefie Gazy niż o chrześcijan, którzy padają ofiarami islamistów w Nigerii.

BEZKARNOŚĆ ISLAMISTÓW

Władze w Abudży obruszyły się na słowa Donalda Trumpa, podkreślając, że Nigeria jest suwerennym państwem, i przekonując, że dżihadyści mordują, kogo popadnie, a nie wyłącznie chrześcijan. Prezydent Bola Tinubu – któremu krytycy zarzucają, że zamiast zająć się wreszcie problemami swego kraju, całe tygodnie spędza na podróżach po Europie – podkreślał, iż w Nigerii panuje „tolerancja religijna". Szef dyplomacji tego kraju Yusuf Tuggar wskazał zaś podczas pobytu w Berlinie na fragment konstytucji swojego kraju, która gwarantuje „wolność wyznania" i „praworządność". I przekonywał, że „niemożliwe jest, aby prześladowania religijne mogły być w jakikolwiek sposób wspierane przez rząd Nigerii na jakimkolwiek szczeblu". Wygląda więc na to, że atakowanym chrześcijanom brakuje tylko koszulek z napisem „KONSTYTUCJA", aby mogli swym oprawcom błyskawicznie uzmysłowić, że rabowanie, gwałty i morderstwa są sprzeczne z obowiązującym prawem.

Teoretycznie można próbować przekonywać, że w Nigerii niebezpiecznie jest dla każdego, niezależnie od wyznania. Niestety, coraz częściej dochodzi jednak do ataków na społeczności rolnicze w tych częściach Nigerii, gdzie dominują chrześcijanie. Według tegorocznego raportu Amnesty International od maja 2023 r., gdy Boli Tinubu został prezydentem, ofiarami mordów – głównie w stanach Benue i Plateau – padło ponad 10,2 tys. osób, setki zostały porwane (zarówno przez islamistów, jak i gangi), a z powodu przemocy z domów uciekać musiały setki tysięcy osób. Wiele osób zostało już przesiedlonych więcej niż raz. Bezkarni sprawcy dokonali bowiem ataków nie tylko na ich rodzinne wioski, lecz także na obozy dla uchodźców, gdzie szukali schronienia. Ci, którym kolejny raz udało się przeżyć krwawy najazd islamistów, najczęściej w nowym miejscu nie mogą znaleźć żadnego płatnego zajęcia, więc muszą żebrać o cokolwiek, co pozwoli im przeżyć kolejny dzień.

Reakcja rządu w Abudży na akty terroru, mordy, nocne ataki, podpalanie domów czy porwania i tortury jest słaba (to i tak najdelikatniejsze z określeń, które można w tym kontekście użyć). Wiadomo, że sprawcy są głównie wyznania muzułmańskiego. Dziwnym trafem atakujący nie są jednak łapani, nie trafiają za kratki i nie otrzymują wyroków, jak choćby muzycy, których w tej samej Nigerii skazuje się na śmierć, jeśli pseudosąd uzna, że ich piosenka znieważyła Mahometa. Oficjalnie nie chodzi bowiem o ataki muzułmanów na chrześcijan, lecz o – jak nazywa to nieudolny nigeryjski rząd – „lokalny kryzys rolników pasterzy". Władze w Abudży występują więc z ofertą „dialogu", mającego pomóc farmerom stojącym w obliczu wyznań związanych z kryzysem klimatycznych, ale – no, któż by się tego spodziewał – uzbrojeni napastnicy nie są na ten dialog szczególnie otwarci. Narasta więc przemoc, której celami są ludobójstwo i przejęcie ziemi.

Islamskie grupy typu Boko Haram – uznane m.in. przez USA za „zagraniczną organizację terrorystyczną", bo jej liderzy wprost żądają usunięcia z Nigerii wszystkich przedstawicieli zachodniego świata, a także wszystkich wytworów anglosaskiej kultury i edukacji w północno-wschodniej części kraju – są praktycznie bezkarne. Odpowiadają oni zaś za zamachy bombowe, gwałty, a także porywanie dziewczynek służących potem jako nałożnice i chłopców, których islamiści przekształcają w dzieci żołnierzy.

Efekt? Jeszcze w roku 2010 chrześcijanie – protestanci i katolicy – stanowili 50,8 proc. ludności Nigerii. Obecnie ten najludniejszy kraj Aryki, zamieszkany przez 233 mln osób, zamieszkują muzułmanie (ok. 46 proc.) i chrześcijanie (ok. 46 proc.). Eksperci alarmują jednak, że jeśli nikt nie powstrzyma islamskich ekstremistów, to liczba chrześcijan w Nigerii spadnie w ciągu najbliższych dekad z ok. 100 mln do… zera.

SZYBKI ROZWÓJ GOSPODARCZY

Nigeria to nie tylko najludniejszy kraj Afryki, lecz także największy producent ropy naftowej i jedno z najszybciej rozwijających się państw na kontynencie, które coraz śmielej wychodzi na prostą z głębokiego kryzysu gospodarczego. Według najnowszych danych produkt krajowy brutto wzrósł w ciągu roku aż o 4,23 proc. To najszybsze tempo rozwoju gospodarczego obserwowane w tym kraju od czterech lat. Do sukcesu przyczyniły się wydobycie ropy naftowej wyższe aż o 20 proc. (z 1,41 do 1,68 mln baryłek dziennie) oraz coraz lepsze wyniki nigeryjskiego przemysłu i rolnictwa. Prezydent Bola Tinubu ogłosił zatem w tym roku nowy cel dla kraju: wzrost PKB aż o 7 proc. rocznie.

Powyższe liczby ułatwiają zrozumienie, dlaczego w obronie nigeryjskich władz przed amerykańskim prezydentem tak szybko pospieszyły władze Chin. Na szczęście Donald Trump nie musi na razie używać wojska – interwencja zbrojna białych żołnierzy mogłaby sprowadzić na chrześcijan jeszcze więcej nieszczęść – aby zwrócić uwagę nigeryjskiego rządu na wagę poruszonego problemu. Już w wyniku jego słownej interwencji na platformie Truth Social w ubiegłym tygodniu mocno na wartości straciły nigeryjskie obligacje. Władze Abudży powinny mieć zaś świadomość, że na szali jest nie tylko droższa obsługa długu, lecz także zachodnie inwestycje oraz liczona w miliardach dolarów pomoc humanitarna ze strony Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

Dobrze, że w Białym Domu wreszcie zasiada ktoś, kto upomina się o życie i zdrowie chrześcijan. Pozostaje mieć nadzieję, że Nigeria to tylko pierwszy z wielu krajów, których władze zostaną przywołane do porządku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. CLEAN FUTURES FUND/INSTAGRAM

NIEBIESKIE PSY

Prawie 40 lat po katastrofie nuklearnej w Czarnobylu w Strefie Wykluczenia wciąż błąkają się bezpańskie psy. To potomstwo czworonogów, które tam zostały, gdy ludzie się stamtąd ewakuowali. Psy są pod opieką organizacji, która im dostarcza karmę i udziela pomocy medycznej. Ostatnio opiekunowie zwierząt odkryli coś, co w pierwszej chwili ich przeraziło. Sierść trzech psów zrobiła się całkowicie niebieska. Prawdopodobnie jednak nie chodzi o efekty popromienne, ale o to, że czworonogi wytarzały się w jakiejś substancji.

ZŁOTO W BIELIŹNIE

Cztery kobiety zostały aresztowane za próbę przemytu ok. 8 kg złota o równowartości 650 tys. dol. z Hongkongu do Japonii. Kruszec był schowany w ich bieliźnie. Proceder miał zorganizować ok. 34-letni mężczyzna. Jedna z kobiet go znała, a trzy pozostałe dołączyły do niej w zamian za pieniądze i pokrycie kosztów podróży. Cała czwórka przyznała się do winy. W Japonii narasta fala przemytu złota, napędzana rekordowymi cenami kruszcu.

UDAWANA CIĄŻA

Pewną rodzinę w Szkocji spotkał olbrzymi zawód. Spodziewano się, że przyjdzie w niej na świat nowy człowiek, tak się jednak nie stało. Oto 22-letnia kobieta przyznała się, że udawała ciążę. Nosiła sztuczny brzuch, pokazywała fałszywe USG, a na koniec pokazała silikonową lalkę do złudzenia przypominającą prawdziwego noworodka. Przyjaciółka kobiety zdradziła, że podejrzewała oszustwo, bo „dziecko" nigdy nie płakało, a jego „matka" nie pozwalała nikomu go dotknąć.

HUCZNA IMPREZA

Policja tajlandzka przeprowadziła nalot na jeden z luksusowych hoteli w Bangkoku. Stróże prawa wkroczyli do apartamentu, w którym odbywała się huczna impreza o charakterze seksualnym. Zatrzymano 29 półnagich mężczyzn (28 obywateli Tajlandii i jednego Filipińczyka). Wśród wielu zarekwirowanych przedmiotów były narkotyki. Operację przeprowadzono, ponieważ tajny agent policji miał informację o posiadaniu przez uczestników imprezy substancji niedozwolonych.

NIEMIECKI KALIFAT?

Niemiecki resort spraw wewnętrznych zakazał działalności stowarzyszenia Muslim Interaktiv. Polecił także przeszukać 19 nieruchomości w ramach dochodzenia dotyczącego grup Generation Islam i Realitaet Islam. Zarzuty wobec Muslim Interaktiv obejmują nawoływanie do ustanowienia kalifatu, sprzeciw wobec praw dzieci i kobiet oraz negowanie prawa Niemiec do bycia państwem – co władze niemieckie uznały za działanie przeciwko porządkowi konstytucyjnemu. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Lewicowa kontrrewolucja?

Zohran Mamdani, który sam siebie określa jako „demokratycznego socjalistę" (Donald Trump nazywa go zaś „stuprocentowym komunistycznym szaleńcem"), będzie rządzić światową stolicą kapitalizmu.

34-letni polityk Partii Demokratycznej z pewnością jest na lewo od lewicy. Wyborcom obiecywał m.in. mieszkania socjalne, zamrożenie czynszów, bezpłatny transport publiczny etc. Łatwo pokonał więc w wyborach na burmistrza Nowego Jorku byłego gubernatora tego stanu Andrew Cuomo i działacza Partii Republikańskiej o polskich korzeniach Curtisa Sliwę. Mamdani – urodzony w Ugandzie syn hinduskich imigrantów – to jednocześnie pierwszy muzułmanin rządzący największym miastem USA.

Efektem zwycięstwa socjalisty może być ucieczka kluczowych inwestorów, bankierów i innych zamożnych mieszkańców Wielkiego Jabłka, którzy obawiają się, że choć hasła komunistów dla wielu wyborców brzmią świetnie, to w praktyce sprowadzają się do jednego: sięgania do cudzych kieszeni. Według „New York Post" wielu nowojorczyków już wysłało do agentów nieruchomości pytanie: „Gdzie powinniśmy się przenieść?". Inni liczą na to, że Mamdani nigdy nie zamierzał realizować przedwyborczych obietnic.

Jedno jest pewne: ostatnie zwycięstwa Mamdaniego i innych demokratów to zły prognostyk dla konserwatystów. Kolejni Amerykanie tracą wiarę, że Trump „uczyni Amerykę znowu wielką". Wielu jest zaś rozczarowanych nie tylko arogancją prezydenta, lecz także brakiem poprawy warunków życia. Szanse republikanów na wygraną w wyborach środka kadencji wyraźnie maleją. A do kontrrewolucji szykują się już też socjaliści w Europie...

eprasa.pl cd4abdcfc8



Nowe surowcowe



Jakub Wozinski

Unijni przywódcy w mediach kreują się na jedynych prawdziwych przyjaciół zaatakowanej przez Putina Ukrainy. W rzeczywistości w czwartym roku pełnoskalowej wojny Europa pozostaje jednym z głównych nabywców rosyjskich paliw kopalnych

Fundują wojnę przeciwko sobie samym. Kto do licha kiedykolwiek słyszał o czymś takim? – grzmiał niedawno przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ prezydent USA Donald Trump. Przywódcy europejscy przyjęli oczywiście ten komunikat z niezadowoleniem, wskazując na to, jak bardzo udało im się zredukować uzależnienie od rosyjskich surowców.

Formalnie rzecz biorąc, Unia Europejska nałożyła już na Rosję 19 pakietów sankcji. Obejmują one bardzo szeroki wachlarz środków: począwszy od zamrożenia aktywów finansowych, poprzez wprowadzenie ograniczeń w handlu, a skończywszy na zakazach dostępu do poszczególnych usług. Pod tym względem z Unią nie może się równać żadne inne państwo na świecie.

Sama liczba sankcji nie przekłada się jednak automatycznie na jakość ani tym bardziej na ich implementację. Po kilkudziesięciu miesiącach trwania wojny coraz lepiej widać, że Bruksela stworzyła wiele pozorów twardego stanowiska względem Rosji, które jednak tylko częściowo przełożyło się na konkrety.

O tym, jaki jest rzeczywisty stosunek przywódców unijnych do Rosji, świadczy jednak nie częstotliwość poklepywania prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego po plecach lub też liczba wizyt w bombardowanym Kijowie, lecz stan przepływów finansowych między Moskwą a europejskimi stolicami. Wbrew wszelkim zapewnieniom każdego miesiąca kraje Unii Europejskiej kupują od Rosji paliwa kopalne o wartości ok. 1,17 mld euro.

Eurokraci prowadzą skomplikowaną grę, w której trwająca wojna stanowi dla nich pretekst do wzmocnienia własnej niezależności od USA oraz budowy unijnego państwa federalnego, a dziurawe sankcje pozwalają utrzymać pozycję Rosji, która docelowo ma się stać ponownie sojusznikiem Berlina.

NOWY HEGEMON

Niedawno Eurostat opublikował bardzo interesujące dane, na których podstawie można dokładnie przeanalizować, w jaki sposób zmienił się import surowców energetycznych w Europie od momentu wybuchu wojny. Teoretycznie doszło w tym czasie do epokowych zmian, ponieważ jeszcze w 2021 r. Rosja odpowiadała za aż 45 proc. całego importu gazu i 27 proc. ropy do wspólnoty. Do końca 2024 r. udział ten spadł do odpowiednio 19 proc. i 3 proc.

eprasa.pl cd4abdcfc8



FOT. ADOBE STOCK

rozdanie w Europie

Po tym, jak 5 grudnia 2022 r. wprowadzono całkowity zakaz sprowadzania rosyjskiej ropy drogą morską, Rosja właściwie wypadła z gry na naftowym rynku Europy. A przynajmniej oficjalnie, ponieważ, jak dobrze wiadomo, znaczne ilości rosyjskiej ropy są dystrybuowane za pomocą tzw. floty widmo. Według danych organizacji międzynarodowych nawet 80 proc. tejże floty stanowią statki należące do podmiotów z krajów zachodnich. Flota widmo pozwala eksportować ponad 4 mln baryłek ropy rocznie, czyniąc z sankcji martwe prawo. Wątpliwe wydaje się, czy nawet najnowszy pakiet sankcji, zwiększający o 117 liczbę tankowców objętych zakazem dostępu do unijnych portów zdoła przynieść spodziewany rezultat.

Głównym dostawcą ropy naftowej do Europy stały się w ten sposób Stany Zjednoczone. Dane z drugiego kwartału 2025 r. wskazują na ok. 14,2 proc. udziału w rynku, ale w całym 2024 r. Amerykanie odpowiadali aż za 21 proc. Druga na liście Norwegia utrzymała stan posiadania (ok. 14–15 proc.), natomiast znaczący progres poczynił Kazachstan, skąd pochodzi obecnie nawet 13 proc. całej zużywanej w Unii Europejskiej ropy. Znacznym beneficjentem trwającej wojny okazały się także kraje północnoafrykańskie, które łącznie odpowiadają dziś za 25 proc. całego importu. Spętana zielonymi ograniczeniami UE pokrywa jedynie ok. 10 proc. zapotrzebowania z własnych zasobów.

Za danymi ukazującymi ekspansję amerykańskiej ropy naftowej w Europie stoją oczywiście konkretne firmy, wśród których na pierwszy plan wysuwają się Exxon oraz Chevron. W ostatnich latach zainwestowały ogromne środki w eksploatację pól naftowych w Teksasie, które po lutym 2022 r. odnotowują rekordowe wydobycie. Sam tylko Chevron sprzedał w ubiegłym roku do Europy ropę naftową o wartości 10 mld dol.

Głównymi poszkodowanymi wydarzeń z ostatnich lat są przede wszystkim BP i Shell, które wcześniej inwestowały w rosyjski przemysł znaczne sumy. BP posiadało blisko 20 proc. akcji Rosneftu, a Shell w innych przedsięwzięciach z podmiotami z Federacji Rosyjskiej ulokował ok. 3 mld dol. Utraciwszy źródło dostaw ze Wschodu, obie firmy nie zdołały zastąpić ich nowymi z innych kierunków świata. Dla europejskich potentatów naftowych rosyjska inwazja stała się nie tylko przyczyną utraty taniego surowca, lecz także momentem, w którym wyraźnie przestały nadążać za amerykańską konkurencją na światowych rynkach. Podczas gdy BP czy Shell mierzą się ze spadkiem produktywności i utratą rynków, napędzane rewolucją łupkową podmioty z USA stale zwiększają wartość rynkową i dochodowość.

ZŁOTE ŻNIWA

W przypadku rynku gazowego korzyści odnoszone przez Amerykanów są jeszcze bardziej ewidentne. Dotyczy to w szczególności surowca dostarczanego w formie płynnej (LNG). W drugim kwartale 2025 r. Stany Zjednoczone odpowiadały za aż 57,7 proc. importu do krajów Unii. Na drugim miejscu znajdowała się Rosja z 12,9 proc., a w dalszej kolejności Algieria (7,4 proc.) oraz Katar (7,1 proc.).

Od początku wojny dostawy amerykańskiego gazu do krajów wspólnoty wzrosły aż dwuipółkrotnie. Największe korzyści odniosły z tego tytułu takie firmy, jak Cheniere Energy, Sempra Energy,

eprasa.pl cd4abdcfc8

współpracujący z Orlenem Freeport oraz wspomniany już Exxon Mobil. Niemal połowę wszystkich dostaw LNG do Europy w 2023 r. zapewniało Cheniere, a udział Sempry szacowany jest na ok. 10–15 proc.

Firmom z branży gazowej niezwykle opłaciło się wsparcie udzielone Trumpowi i jego programowi porzucenia polityki klimatycznej, ponieważ obecnie mają zapewnione prawdziwe złote żniwa. Dodatkowo na mocy zawartej w sierpniu umowy handlowej między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską kraje wspólnoty zobowiązały się do zakupienia w ciągu najbliższych trzech lat gazu i innych źródeł energii o wartości 750 mld dol. Europa uczyniła to niechętnie, ale taki był koszt utrzymania stawek celnych na poziomie 15 proc.

Na LNG dostawy gazu do Europy się jednak nie kończą. Rosja jest w stanie nadal eksportować znaczne ilości gazu w tradycyjnej formie poprzez gazociągi. Jeden z nich aż do końca 2024 r. przesyłał nawet surowiec przez terytorium Ukrainy na potrzeby Austrii, Węgier i Słowacji.

Według danych Eurostatu najwięcej gazu przy pomocy gazociągów sprowadzono z Norwegii, która w drugim kwartale 2025 r. zapewniała 50,8 proc. dostaw. Dalsze miejsca zajmowały Algieria (17,8 proc.) oraz Wielka Brytania (12,1 proc.). Rosja odpowiadała wciąż za 7,8 proc. importu, na co największy wpływ miały Węgry, które w ubiegłym roku pokrywały nawet 70 proc. zapotrzebowania na gaz przy pomocy TurkStream.

Rząd Viktora Orbána pokrywa także nawet 40 proc. swojego zapotrzebowania na ropę naftową przy pomocy rurociągu Drużba, co ostatecznie rozdrażniło nawet samego Donalda Trumpa. Obu polityków łączy od lat przyjaźń, ale amerykański prezydent odbył pod koniec września z węgierskim premierem rozmowę telefoniczną. Domagał się w niej, aby Węgry natychmiast zaprzestały importu ropy i gazu z Rosji, lecz usłyszał stale powtarzaną przez Orbána formułkę, że w takim przypadku węgierskiej gospodarce groziłaby katastrofa. Trump miał się poczuć nieusatysfakcjonowany takimi wyjaśnieniami.

Podobną rozmowę lokator Białego Domu odbył z prezydentem Słowacji, Peterem Pellegrinim, tym razem dając mu jasno do zrozumienia, aby pilnie „coś z tym zrobił". Z ust głowy państwa naszego południowego sąsiada padły zapewnienia, że ze względów technicznych nie da się odciąć od rosyjskich surowców w trybie natychmiastowym, ale zdaniem amerykańskiego sekretarza energii, Chrisa Wrighta, cała Europa mogłaby zrezygnować z rosyjskiego gazu w ciągu zaledwie 6–12 miesięcy.

Znacznymi odbiorcami rosyjskich surowców w Europie są jednak nie tylko Węgry i Słowacja. Tuż za nimi lokuje się Francja, sprowadzająca w znacznych ilościach LNG do terminalu w Dunkierce. Już rok temu okazało się, że z tego samego portu korzystają także Niemcy, którzy obchodzą w ten sposób oficjalne sankcje. Łącznie kraje Unii Europejskiej stanowią nadal czwartego największego nabywcę rosyjskich surowców (8 proc. całkowitej sprzedaży), ustępując tylko Chinom, Indiom i Turcji.

Głównym dostawcą ropy naftowej do Europy stały się Stany Zjednoczone. W 2024 r. Amerykanie odpowiadali aż za 21 proc. dostaw

Zgodnie z 19. pakietem sankcji przyjętych pod koniec października Unia Europejska ma całkowicie zrezygnować z importu rosyjskiej ropy naftowej i gazu do 2027 r. Harmonogram tego procesu zapisano w planie REPowerEU, stanowiącym element Funduszu Odbudowy. Unijna strategia jest jednak ściśle powiązana z agendą klimatyczną, dlatego nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której w następstwie pogłębiającej się zapaści europejskiego przemysłu dojdzie do nagłego zwrotu, a rosyjskie surowce powrócą do łask.

AZJATYCKI FRONT

Na razie powstałą po odcięciu dostaw ze Wschodu lukę w 60 proc. chcą zapełnić Stany Zjednoczone, które trwającą wojnę wykorzystują w skrupulatny sposób do wypierania rosyjskiej konkurencji także na innych kontynentach. W następstwie swojej agresji przeciwko Ukrainie Rosja zmniejszyła swój eksport LNG o niemal jedną czwartą. W tym samym czasie Stany Zjednoczone prześcignęły Katar i Australię jako największy dostawca na świecie, dążąc do podwojenia dostaw do końca dekady.

Zmagania o globalny rynek dają o sobie znać w szczególności w Azji, gdzie Stany Zjednoczone podpisały w ubiegłym roku dużą umowę na dostawy LNG do Japonii. Szczególnie ważne są jednak ogromne rynki Chin i Indii. Rosja uruchomiła strategicznie ważny gazociąg Power of Siberia, dzięki czemu eksportuje do Państwa Środka nawet czterokrotnie więcej surowca niż USA. Rosjanie sprzedają także Chińczykom i Hindusom nawet 10-krotnie więcej ropy naftowej niż Amerykanie.

Donald Trump wydaje się jednak dość zdeterminowany, aby to zmienić. Zdążył już nawet ostrzec Pekin i Nowe Delhi, że w razie podtrzymywania obecnej skali zakupów ropy i gazu z Rosji wprowadzi karne stawki celne w wysokości 100 proc. Jest bardzo prawdopodobne, że Trump zechce rozwiązać całą sprawę tak jak w przypadku Unii Europejskiej, wymuszając na Chinach i Indiach zakup amerykańskich surowców w ramach wielkiej umowy handlowej. Ropa i gaz to idealne narzędzie do zasypywania wciąż ogromnego deficytu handlowego USA, który tak bardzo zagraża statusowi dolara jako światowej waluty rezerwowej.

Amerykański przywódca miał bez wątpienia rację, krytykując Europę za to, że finansuje wojnę przeciwko sobie samej. Z perspektywy amerykańskiej wspieranie europejskich sojuszników, którzy wciąż więcej płacą Rosji za jej surowce, niż przekazują Ukrainie, przedstawia się jako jedno wielkie nieporozumienie. Trump chce wreszcie wymusić na europejskich przywódcach spójność między deklaracjami a czynami, ukrócić ich plany zerwania zależności od USA i dogadania się z Rosją, a jednocześnie dać amerykańskiemu przemysłowi nieźle na tym wszystkim zarobić.

Znamiennie było to, że w przeciwieństwie do pamiętnego wystąpienia amerykańskiego prezydenta w ONZ w 2018 r., gdy niemiecka delegacja z Heiko Maasem na czele zanosiła się od śmiechu, słysząc ostrzeżenia przed Rosją, tym razem w Nowym Jorku wszyscy delegaci z RFN zachowali całkowitą powagę. Trump przejrzał gambit eurokratów i tworzy z dostaw surowców mechanizm jeszcze bardziej uzależniający Europę od amerykańskiego partnera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd4abdcfc8



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto tu kogo kopiuje?

Nie słyszałem na razie z ust żadnego polityka PiS – ani tym bardziej prominentnego polityka tej partii – słowa odpowiedzi na zarzut kopiowania przez PiS programu lewicy.

A postawił go PiS nie kto inny, jak Katarzyna Kotula – osoba o niebagatelnym znaczeniu po lewej stronie sceny politycznej, wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy, przez Wikipedię opisywana jako „polityczka", a przez samą siebie określana mianem „ministry", a może nawet „sekretarzy" lub „sekretarzycy" (bo przecież chyba nie sekretarza) stanu w kancelarii premiera Tuska.

No i otóż owa „polityczka"-„ministra" Katarzyna Kotula naprawdę szczerze (przynajmniej tak to w jej ustach zabrzmiało) i niezwykle ciepło pogratulowała PiS kilku zgłoszonych podczas Konwencji tej partii postulatów programowych. Z niekłamanym podziwem „polityczki"-„ministry" spotkało się zarówno zaproponowane przez polityków PiS „finansowanie z podatków corocznej waloryzacji świadczenia socjalnego »800+«", jak też „przyznawanie bonów mieszkaniowych do 100 tys. zł", a zwłaszcza „gwarantowany dochód 500 zł miesięcznie dla każdego Polaka (kosztem likwidacji kwoty wolnej w PIT)". A wszystko to, jak łatwo sprawdzić, warte co roku pierdyliard złotych, które najpierw trzeba by od razu odebrać polskim podatnikom albo ich na tyle dodatkowo zadłużyć.

Wszelako – nie można nie zauważyć – owo zapatrzenie w politykę rozdawniczą PiS w najmniejszym stopniu nie przeszkodziło „politycznce"-„ministrze" Kotuli, „od zawsze" zachwalającej np. program „500+"/„800+", w uczynieniu przez nią PiS rzeczonego zarzutu kopiowania pomysłów lewicy, tak jakby monopol na lewicowe pomysły miała tylko lewica.

„Można powiedzieć, że dzisiaj prezes Kaczyński i wszyscy w PiS kopiują lewicę, więc to chyba dobrze" – powiedziała „polityczka"-„ministra" pod adresem PiS. Czyli ugrupowania, które w zawodach na rozrzucanie pieniędzy podatników z helikopterów gdzie popadnie – w wyścigu na to, kto więcej ich grosza zmarnuje na transfery socjalne – od dawna nie ma przecież w Polsce sobie równych. I w cuglach wygrywa w tej kategorii z każdą partią – głównie z każdą partią lewicową, bo prawicowe na ogół nie biorą w takich wyścigach udziału.

Tak czy siak – jak wspomniałem – do dziś nie padły z ust żadnego polityka PiS słowa repliki na zarzut kopiowania programu lewicy, a przecież naprawdę wiele wskazuje na to, że akurat tego rodzaju pomysłów politycy PiS naprawdę nie muszą ani u lewicy szukać, ani od lewicy kopiować, bo są to pomysły z prawdziwego DNA tego ugrupowania. I to raczej lewica ciągle kopiuje je od PiS. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pora na deklaracje w sprawie ETS2

W unijnej energetycznej rewolucji z punktu widzenia Polski wcale nie chodzi o klimat – jak oznajmił minister energii Miłosz Motyka – ale o niezależność energetyczną, czyli bezpieczeństwo. Zdaniem polityka PSL dlatego właśnie musimy realizować unijny kurs, choć może nieco wolniej.

ETS i ETS2 oznaczają dla Polski i Polaków wręcz kosmiczne koszty

Ta argumentacja nie trzyma się kupy. Bezpieczeństwo to pieniądze. Już działający system ETS oraz mający wejść w życie – po ostatnich ustaleniach – w 2028 r. system ETS2 oznaczają dla Polski i Polaków koszty tak wręcz kosmiczne, że nijak nie zwiększy to naszego bezpieczeństwa. Jak niby ma na nie wpłynąć to, że w 2035 r., według bardzo ostrożnych szacunków z zeszłorocznego raportu Wandy Buk i Marcina Izdebskiego, przeciętna polska rodzina ogrzewająca się gazem z racji samego ETS2 zapłaci ponad 4 tys. zł rocznie więcej po prostu za życie? Co pójdzie na podatek od klimatu, nie pójdzie na zbrojenia, policję, sądy czy szkoły.

Pieniądze z ETS2 mają zasilać w dużej części fundusze, których zadaniem będzie łagodzenie wpływu tegoż ETS2 na najuboższych. To kosmiczny nonsens: wprowadzamy system, który nałoży na nas podatek, który ma być użyty na wypłacanie pieniędzy, łagodzących obciążenie tym podatkiem. Ale uwaga: pieniądze ze wspomnianych funduszy otrzymają tylko najubożsi. Klasa średnia się nie załapie, bo jest zbyt zamożna, ale zarazem w nią właśnie ETS2 uderzy potężnie. Poza wszelkimi innymi skutkami ten system będzie miał więc jeszcze jeden skutek: spauperyzuje, właściwie zlikwiduje klasę średnią, i tak szczątkową.

Co z tym fantem zamierzają zrobić politycy, którzy chcieliby przejąć władzę w 2027 r.? Konfederacja deklarowała, że ETS2 po prostu nie należy wprowadzać. PiS na razie nie deklarował nic. Jego politycy są na etapie przekonywania nas, że Mateusz Morawiecki, który podpisywał konkluzje Rady Europejskiej aprobujące kolejne cele klimatyczne, faktycznie był największym bojownikiem przeciw klimatyzmowi. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



Pogoń Lwów to klub z tradycjami, reaktywowany w 2009 r. Pierwsza drużyna gra w III lidze, klub zajmuje się szkoleniem dzieci i młodzieży z polskich szkół oraz dba o popularyzację polskiej historii i tradycji we Lwowie FOT. ARCHIWUM POGONI LWÓW



Z Markiem Horbaniem, prezesem reaktywowanej Pogoni Lwów
rozmawia Radosław Wojtas

Polski klub w ukraińskiej lidze

RADOSŁAW WOJTAS: Jak się gra w piłkę w kraju, który jest w stanie wojny i od prawie trzech lat jest codziennie atakowany?

MAREK HORBAŃ: Po 24 lutego 2022 r. dużo się zmieniło, ale staramy się grać i trenować jak dawniej. Uważamy, że sport jest formą ucieczki od trudnej rzeczywistości i życia w ciągłej niepewności i poczuciu zagrożenia. Jest to bardzo potrzebne, zwłaszcza młodym ludziom. Jak wygląda nasze granie? To są przerwane alarmami mecze i treningi, to prowadzanie dzieciaków z boiska do schronów, to ciągła niewiadoma, czy trening się odbędzie, czy uda się go dokończyć. Myśleliśmy, że pandemia była wielkim wyzwaniem dla klubu, ale przed jeszcze większym stajemy teraz. Zostaliśmy postawieni w sytuacji trochę podobnej do tej, która wydarzyła się w 1939 r., kiedy chłopaki z przedwojennej Pogoni spotkali się 12 września na rezerwowym boisku na Łyczakowie i rozmawiali o tym, że to ich ostatni trening, a kiedy będzie następny – nie wiadomo.

Też mieliście taką rozmowę o ostatnim treningu?

W 2022 r. zastanawialiśmy się, czy nie zawiesić treningów i rozgrywek, czy podczas wojny jest miejsce dla piłki czy tylko dla spraw najważniejszych. Ale wtedy doszliśmy do wniosku, że jeśli zaczniemy żyć w strachu, to zrobimy to, na co liczy wróg. Sport też jest formą walki. Przynosi ludziom odrobinę normalności.

Jesteście polskim klubem grającym w ukraińskiej lidze. Dzisiejsza Pogoń Lwów, reaktywowana w 2009 r., odwołuje się do tradycji klubu powołanego w 1904 r.

Pogoń Lwów to klub z tradycjami. To czterokrotny mistrz Polski, który nigdy nie spadł z Ekstraklasy i jest w czterdziestce najlepszych polskich klubów wszech czasów. To klub wielosekcyjny, także mistrz Polski w hokeju, który dał Polsce pierwszego olimpijczyka. Klub, który nie rozwiązał się w 1939 r., który wygrał z A.C. Milanem 5:3. Klub, który zawsze pielęgnował polskie tradycje patriotyczne.

Dzisiejsza Pogoń także dba o te tradycje. Mamy kilka sekcji, z czego najbardziej rozwinięta jest sekcja piłki nożnej. Pierwszy skład gra na szczeblu III ligi, mamy składy juniorów, młodzików i szkółkę, do której uczęszczają dzieci z dwóch polskich szkół. Chcemy, by Pogoń miała własnych wychowanków, robimy wszystko, żeby rodzice nie musieli płacić za szkółkę dla swoich dzieci. Stworzyliśmy też amatorską ligę dla Polaków. W składzie juniorskim i seniorskim grają zawodnicy polskiego pochodzenia, sporo osób ma pochodzenie mieszane, ale grają również Ukraińcy. Wszyscy wychodzą na murawę w koszulkach z polskimi napisami Pogoń Lwów, grają w ukraińskiej lidze i nie zawsze słyszą z trybun komplementy pod swoim adresem.

Polski klub w ukraińskiej lidze – nie czujecie się, jakby każdy mecz był grany na wyjeździe?

Trybuny bardzo szybko reagują na zmiany nastrojów, wydarzenia i słowa polityków. Odczuwamy zatem wszystkie zmiany polityczne. Mamy grupę wiernych polskich kibiców. Wspiera nas też środowisko ukraińskie, to w większości starsze osoby, które traktują Pogoń jak ważną część historii miasta. Podchodzą do tego, co robimy z szacunkiem. Staramy się promować historię klubu i sportu we Lwowie jak najmocniej, bo wiele osób tutaj uważa, że piłkę nożną przyniósł do Lwowa Związek Sowiecki, i nie ma pojęcia o przedwojennych polskich tradycjach.

Wspomniał pan, że klub zawsze pielęgnował polskie tradycje patriotyczne. Jak to wygląda dziś?

Przede wszystkim zależy nam na tym, by przekazywać tradycje kolejnym pokoleniom i dbać o to, by młodzież z polskimi korzeniami znała historię

eprasa.pl cd4abdcfc8

swojego kraju. Staramy się zaszczepiać w nich polski patriotyzm. Przygotowujemy dwujęzyczne wystawy, które eksponujemy podczas meczów i zawodów. Organizujemy turnieje z okazji najważniejszych polskich świąt państwowych i rocznic, np. 3 maja czy 11 listopada. Jesteśmy w miejscach ważnych dla Polaków, takich jak Zadwórze, czyli polskie Termopile, wspólnie z innymi lwowskimi organizacjami 1 listopada uczestniczymy w cyklicznej akcji „Światełko pamięci dla cmentarza Łyczakowskiego", polegającej na zapalaniu zniczy na zapomnianych grobach. Porządkujemy również groby przedwojennych działaczy Pogoni spoczywających na tym cmentarzu. Robimy rekonstrukcje, np. pierwszego meczu piłkarskiego, który odbył się na ziemiach polskich, bo rozegrano go właśnie we Lwowie. Organizujemy historyczne gry terenowe, obozy dla dzieci i młodzieży, aby zakładając koszulkę Pogoni, wiedzieli, w jakim klubie grają i jakie on miał – i mam nadzieję nadal ma – znaczenie dla Polski. Od trzech lat wspieramy polskie szkoły w organizacji mikołajek dla dzieci, robimy zbiórki, wysyłamy słodycze. Tegoroczna zbiórka trwa, mam nadzieję, że zakończy się powodzeniem.

Wspierają was kibice z Polski, np. Legii Warszawa i legijnej grupy Old Fashion Man Club.

„Pogoń Lwów – wspólna sprawa!" – pod takim hasłem organizujemy zbiórkę. W ubiegłym roku w zbieraniu środków na mikołajkowe paczki pomagali nam kibice Legii Warszawa i Wisły Kraków. Bardzo się cieszę, że Pogoń potrafiła połączyć kibiców różnych drużyn. Jesteśmy jak reprezentacja – poza podziałami.

Ale z pomocy kibiców, ze zbiórek i pieniędzy z biletów trudno utrzymać trzecioligowy klub, zwłaszcza taki, który inwestuje w dzieci i młodzież. Potrzebni są sponsorzy.

Przed wybuchem wojny na pełną skalę mogliśmy liczyć na wsparcie polskich firm działających na Ukrainie, takich jak PZU, Śnieżka czy Fakro. Niestety, teraz to się zmieniło. Nie mamy pretensji, rozumiemy, że polskie firmy nie mają obecnie na Ukrainie odpowiednich zysków, by móc przeznaczyć wystarczające środki na promocję. Szukamy więc pomocy w instytucjach, które wspierają Polaków za granicą. W tym roku jest to Senat, w latach ubiegłych były to również Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Nasz kluczowy wniosek – na 400 tys. zł na utrzymanie struktur, na działalność pierwszej drużyny i drużyny juniorskiej – został odrzucony. Było to dla nas nieprzyjemne zaskoczenie, bo nie wiedzieliśmy, w jaki sposób mamy teraz działać. Warto zaznaczyć, że finansowanie jest przyznawane na rok, a decyzję o tym, czy dostaniemy te środki czy nie, poznajemy na przełomie kwietnia i maja. Do tego czasu musimy jakoś funkcjonować, nie wiedząc, czy będziemy mieli pieniądze na działalność czy nie. Na szczęście przyznano nam dofinansowanie na funkcjonowanie szkółki. W nieco późniejszym czasie napisaliśmy kolejny wniosek i otrzymaliśmy z Senatu 70 tys. zł, ogłosiliśmy zbiórkę, na której udało się już zebrać ponad 60 tys. zł, organizowaliśmy licytacje koszulek z podpisami piłkarzy. Muszę tu podkreślić naszą wdzięczność w stosunku do kibiców i sympatyków, na których zawsze możemy liczyć.

Ale do 400 tys. zł nadal daleko. Jakieś cięcia z pewnością były konieczne.

Roczny budżet Pogoni to 500 tys. zł. Sytuacja finansowa nie jest dobra. Mamy zadłużenie i szukamy rozwiązania. Aby jakoś się utrzymać, musieliśmy zawiesić działalność ponad 60-osobowej grupy młodzików. Nie stać nas na wynajem obiektów sportowych. Pogoń nie ma własnych obiektów, każdy trening kosztuje, a ceny za wynajem drastycznie rosną. Nie wiemy, jak uda nam się zakończyć ten rok, jaka będzie nasza przyszłość. Niewykluczone, że będziemy musieli zawiesić treningi juniorów i pierwszej drużyny. Z zazdrością patrzymy na Zakarpacie. Tam w miejscowości Mukaczewo działają węgierski klub Munkács i akademia piłkarska. Węgierska mniejszość na Zakarpaciu, wspierana przez węgierski rząd, wykupiła teren, zorganizowała potężną akademię, ściągają tam młodzież z zachodniej i centralnej Ukrainy, uczą języka węgierskiego, oglądają mecze węgierskich lig, a najlepsi wychowankowie akademii podpisują kontrakty z węgierskimi klubami. Podobne rozwiązanie byłoby idealne dla Pogoni. Moglibyśmy szkolić młodzież i wzmacniać polskie kluby. Skoro udało się Węgrom, to dlaczego miałoby się nie udać nam?

Podejmowaliście rozmowy ze stroną ukraińską, aby wynajmować publiczne obiekty sportowe za darmo albo z dużą bonifikatą?

Kiedyś, jeszcze przed atakiem Rosji na Ukrainę w 2022 r., mniejszość ukraińska utworzyła we Wrocławiu swój klub – Dynamo. Wrocławski samorząd udostępnił im za darmo obiekt sportowy do treningów. Podjęliśmy wtedy próbę rozmowy, by Pogoń, w ramach pewnej wymiany przysług, mogła liczyć na to samo we Lwowie. Niestety, nie doszło do porozumienia i nadal musimy płacić. Stadionem domowym Pogoni jest obecnie obiekt należący do Politechniki Lwowskiej. To miejsce z bogatą historią. To na tym stadionie swój ostatni mecz we Lwowie jako zawodnik rozegrał Kazimierz Górski. W 1942 r. wystąpił w składzie Lwowa w tzw. meczu przyjaźni przeciwko Niemcom. Okupanci zostali rozgromieni, a chłopaki ze Lwowa musieli na siebie uważać, bo Niemcy źle znieśli tę porażkę.

A jak teraz idzie Pogoni?

Najbardziej cieszymy się z wyników naszych juniorów, którzy niejednokrotnie zdobywali tytuł mistrza ligi juniorskiej. W tym roku zajmują trzecie miejsce. Pierwsza drużyna jest obecnie na siódmym miejscu w tabeli z dziewięcioma zwycięstwami, dziewięcioma remisami i sześcioma porażkami. Na boisku zawsze walczymy do końca, zgodnie ze słowami naszego hymnu, że nawet z diabłem pójdziemy w zawody. Tak samo będziemy walczyć o to, by Pogoń pozostała na mapie Ukrainy jako polski klub, a muszę przyznać, że były już próby i propozycje przejęcia klubu. Chcemy być reprezentacją Polski poza jej granicami. Gdyby ktoś chciał nam w tym pomóc, to będziemy wdzięczni. Każda dorzucona cegiełka to dla nas znak, że jesteśmy potrzebni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Horbań *– prezes zarządu LKS Pogoń Lwów. Lwowianin od kilku pokoleń. Współzałożyciel reaktywowanej Pogoni Lwów oraz fundator Fundacji Pogoń Lwów. Magister marketingu. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Złotym Medalem „Za zasługi dla polskiego ruchu olimpijskiego".*

eprasa.pl cd4abdcfc8

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Upokorzenie króla Stasia





JACEK KOMUDA

Kaniów nad Dnieprem, na Ukrainie, to miasto w cieniu elektrowni i zapory wodnej. Pamiątką wartą odwiedzenia jest grób Tarasa Szewczenki i poświęcony mu rezerwat, nieco poniżej Kaniowa, na terenie Tarasowej Góry. Kaniów związany jest z odwiedzinami króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1787 r. i spotkaniem z carycą Katarzyną, która po zajęciu Chanatu Krymskiego odbyła podróż do południowych ziem Rosji. To wówczas jej kochanek, książę Potiomkin, wybudował makiety wsi, nazwane potem „wsiami potiomkinowskimi".

Ogromny orszak Katarzyny, liczący 200 karet i wozów, wyruszył z Petersburga jeszcze w styczniu, a potem dwór przesiadł się na galery i statki. Płynął w dół Dniepru do Chersonia, gdzie miało nastąpić spotkanie z cesarzem austriackim Józefem II. Była to demonstracja siły i bogactwa wymierzona w Turcję, która przygotowywała się do kolejnej wojny z Rosją.

Orszak zatrzymał się w Kijowie. Tutaj oczekiwali przedstawiciele krajów europejskich, a przede wszystkim polscy magnaci – Potoccy, Czartoryscy, Braniccy, Sapiehowie, Sanguszkowie i inni. Byli też bratankowie króla – Stanisław i Józef, przyszły bohater i wódz; uczestniczyli w balach, ucztach i przedstawieniach, które ukazywały barbarzyński przepych dworu Katarzyny, i oczywiście ustawiali się w kolejce do okazywania hołdów.

Stanisław August wiązał z tą podróżą własne plany; chciał doprowadzić do sojuszu przeciwko Turcji, co pozwalałoby uzyskać zgodę na powiększenie armii. Jednak spotkanie okazało się pasmem upokorzeń. Król stanął nad Dnieprem w końcu marca, czekając na byłą kochankę. Dopiero 5 maja flotylla łodzi imperatorowej przybyła do brzegu powitana armatnimi wystrzałami. Na początku wszystko układało się pomyślnie – caryca miała spędzić w Kaniowie czas aż do 8 maja, kiedy przypadały uroczystości królewskich imienin, i wziąć udział w bankiecie. Jednak postanowiła upokorzyć petenta, który 6 maja rano niespodziewanie został poinformowany, że Katarzyna łaskawie gotowa jest poświęcić mu zaledwie jeden dzień. Został zaproszony na obiad z imperatorową i musiał natychmiast płynąć na carską galerę w deszcz. Jak zwykle król okazał się tchórzem, pytając Aleksandra Bezborodkę, czy Katarzyna przyjmie osobiście jego notę i petycje innych dygnitarzy i czy nie będą „mu one natrętne". W końcu został zaproszony do apartamentów cesarzowej, która – jak sama mówiła – czuła się nieco „zaambarasowana" na widok dawnego kochanka. Odbyli rozmowę w cztery oczy, jednak nie trwała ona długo. Znacznie lepiej poszło spotkanie z Potiomkinem, który był zachwycony Stanisławem Augustem i zrugał obecnego przy tym Franciszka Ksawerego Branickiego za stawanie w opozycji przeciwko królowi. Później Stanisław i Katarzyna zjedli obiad, pod którego koniec zaszła scena pokazująca rzeczywistą zależność obu władców. Otóż Stanisław August nie mógł odnaleźć kapelusza (znając historię rosyjskiej dyplomacji, można by nawet przypuszczać, że został celowo ukryty). Wówczas carowa podała go królowi, na co Poniatowski odpowiedział służalczo: „Już po raz drugi Wasza Cesarska Mość raczy ofiarować mi nakrycie głowy". Pod wieczór miała miejsce jeszcze jedna rozmowa z Katarzyną, wręczenie jej propozycji i not, później zeszło na rozmowy w salonie i grę w karty. Król Staś nadskakiwał Katarzynie i w pewnej chwili sam zaproponował, że pewnie rada byłaby skończyć spotkanie. Na pożegnanie imperatorowa odmówiła udziału w wieczornym przyjęciu i iluminacji, które Stanisław Poniatowski przygotował na jej cześć. Jakby na pocieszenie król otrzymał wstęgę i Gwiazdę Orderu św. Andrzeja oraz złoty medal z wizerunkiem carowej i cesarza Piotra I na odwrocie.

Czy spotkanie z carową coś dało królowi Stasiowi? Nic. „Rzecz jest dobra, podoba mi się – miała powiedzieć później o jego propozycji imperatorowa – przyjdzie do tego, ale takie rzeczy na galerze nie dają się robić". „Król Polski zmarnował trzy miesiące, wydał trzy miliony, żeby widzieć imperatorową przez trzy godziny i pokazać jej przez trzy minuty ognie sztuczne" – podsumował to spotkanie Karol de Ligne, który towarzyszył Katarzynie.

Był jednak nieoczekiwany zwrot sytuacji politycznej w Rzeczypospolitej związany z tą podróżą. Otóż do Kijowa przyjechali na spotkanie z Katarzyną przedstawiciele opozycji, w tym Ignacy Potocki, marszałek nadworny litewski. Zaproponowali własny pomysł sojuszu polsko-rosyjskiego, a także antykrólewskiej konfederacji. Zostali potraktowani ze wzgardą, co Potocki zapamiętał jako wielki afront i być może wówczas w głowie jego i innych magnatów zakiełkowała myśl, że tylko we własnym kraju będą osobami godnymi szacunku, podczas gdy w oczach imperatorowej obcego mocarstwa są tylko garstką prowincjonalnych arystokratów. Oby trafiło to do głów dzisiejszych polityków umizgujących się o względy Brukseli i Berlina, jak król Staś o łaskę Katarzyny. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8

CHERY TIGGO 8 PHEV



FOT. JAP

Jeśli ktoś w tym roku zrobił sobie listę rodzinnych aut w rozsądnej cenie do przetestowania przed zakupem, to z pewnością powinien dopisać do niej również tego „chińczyka". Siedmiomiejscowy, muskularny SUV potężnego koncernu Chery robi wrażenie zarówno zasięgiem (na jednym ładowaniu i tankowaniu to ok. 1100 km), jak i wielkością. Auto ma 472,5 cm długości, 186 cm szerokości i 170,5 cm wysokości. Jeśli chodzi o wzornictwo, to podobać się mogą: charakterystyczny przedni grill, nowoczesne reflektory LED, modna listwa świetlna z tyłu auta czy automatycznie wysuwane i chowane klamki.

To jeden z tych modeli, które mają pokazać, że Chińczycy potrafią już nie tylko konkurować ceną, lecz także innowacjami technologicznymi. Sercem Tiggo 8 jest 1,5-litrowy turbodoładowany silnik T-GDI wspomagany jednostką elektryczną. Łączna moc hybrydowego układu napędowego wynosi 279 KM. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje niecałe 9 s. Całkiem przyzwoicie jak na rodzinnego SUV-a.

Akumulator o pojemności 18.3 KWH pozwala przejechać wyłącznie na prądzie do 90 km, co powinno wystarczyć na codzienne dojazdy do biura i z powrotem nawet osobom mieszkającym poza miastem. Nawet przy rozładowanej baterii apetyt na paliwo rzadko jest zaś wyższy niż 6 l/100 km. Na pochwałę zasługuje też dobre wyciszenie kabiny.

Tiggo 8 prowadzi się pewnie. Układ kierowniczy mógłby być jednak bardziej bezpośredni.

Auto z logo Infiniti (a nie, przepraszam, przecież to Chery) ma dwie wersje wyposażenia: Comfort i Prestige. Ta ostatnia (testowana) ma m.in. wentylowane i podgrzewane przednie fotele, podgrzewaną tylną kanapę, system audio z 12 niezłymi głośnikami Sony, dach panoramiczny oraz Head-Up Display. Ba! Prawe przednie siedzenie ma nawet funkcję masażu (choć jednocześnie brakuje możliwości wygodnej regulacji). Za te udogodnienia w wersji Prestige nie trzeba dopłacać. Nawet za lakier.

We wnętrzu również jest jakby luksusowo i chociaż mercedes to jeszcze nie jest, to widać, że inżynierowie Chery doceniali rozwiązania stosowane przez tę niemiecką markę. Za mniej niż 170 tys. zł mamy już jednak tapicerkę ze skóry ekologicznej i bardzo przyjemne obicia zarówno deski rozdzielczej, boczków drzwi, jak i podłokietnika. W kabinie w oczy rzuca się potężny dotykowy ekran systemu multimedialnego o przekątnej 15,6 cala, który współpracuje bezprzewodowo z systemami Android Auto i Apple CarPlay. Na pokładzie są też nastrojowe oświetlenie wnętrza, system kamer 540 stopni, ładowarka indukcyjna o mocy 50 W czy klimatyzowany schowek.

Miejsca z tyłu jest mnóstwo. Dorosły zmieści się nawet w trzecim rzędzie. Kufer przy rozłożonych siedzeniach trzeciego rzędu ma 117 l (to mniej niż np. w Skodzie Kodiaq), a przy złożonym trzecim rzędzie 889 l pojemności. Przestrzeń bagażową da się powiększyć do 1930 l.

Najtańsze Tiggo 8 w wersji bez hybrydy kosztuje w promocji 141,9 tys. zł. Wariant PHEV w cenniku jeszcze niedawno zaczynał się od 169,9 tys. zł. Cena wersji Comfort stopniała jednak obecnie do 156,9 tys. zł, a w wersji Prestige do 166,9 tys. zł. ©℗

DREAME H15 PRO

Wysoka skuteczność, specjalne robotyczne ramię do sprzątania przy krawędziach, możliwość sprzątania na płasko oraz automatyczne samooczyszczenie w stacji bazowej w 100 st. C – to największe zalety inteligentnego odkurzacza mopującego chińskiej marki Dreame.

Odkurzacze pionowe do sprzątania na mokro i na sucho to dobre uzupełnienie w domu lub mieszkaniu, w którym na co dzień porządku pilnują roboty sprzątające. Tego typu sprzęty nadają się zarówno do odkurzania dywanów, jak i mopowania podłóg, usuwają bowiem zarówno kurz, jak i rozlany sok, kawę i te fragmenty potraw, na których dzieci uczyły się działania grawitacji.

Na dużym kolorowym wyświetlaczu H15 Pro widać tryb pracy, pozostały procent naładowania baterii oraz ikony przypominające o konieczności uzupełnienia wody czystej (zbiornik ma 780 l pojemności) lub opróżnienia zbiornika z wodą brudną (700 ml).

Dużą zaletą modelu H15 Pro jest wysoka moc ssania, która wynosi 21 kPA. Chińczycy pomyśleli również o kilku innych rozwiązaniach ułatwiających, a przede wszystkim przyspieszających sprzątanie. Bardzo ciekawym udogodnieniem jest technologia GapFree AI DescendReach, czyli – mówiąc po ludzku – sterowane przez sztuczną inteligencję robotyczne ramię ze ściągaczką, które automatycznie opuszcza się przy zbliżaniu do krawędzi mebli lub ścian. Dzięki temu łatwiej jest posprzątać w trudno dostępnych miejscach. Z kolei ściągaczka sprawia, że podłoga szybciej wysycha.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kolejny plus: H15 Pro może pracować na płasko, co ułatwia sprzątanie pod meblami (trzeba jednak pamiętać o minimalnej wysokości 14 cm).

Co ważne, testowany model sam troszczy się o swą higienę, oszczędzając czas użytkownika. Po odstawieniu do stacji bazowej wymienny wałek myty jest automatycznie wodą podgrzaną do 100 st. C, a następnie suszony w temperaturze 90 st. C. Takiego spa zdecydowana większość bakterii nie jest w stanie przetrwać. Stacja automatycznie zdejmuje też z wałka sierść i wyczesuje długie włosy. Na pochwałę zasługuje również długi czas pracy (akumulator ma pojemność 5000 mAh).

Minusy? Proces automatycznego czyszczenia w stacji mógłby przebiegać ciszej. Poza tym przydałyby się automatyczne dozowanie detergentu oraz podświetlenie z przodu. Jeszcze kilka tygodni temu wadą była też wysoka cena (2,5 tys. zł), ale w listopadowych promocjach model ten można kupić za 1,8 tys. zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl cd4abdcfc8



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Na osłodę – dynia

Kiedy nachodzi nas ochota na coś słodkiego, mamy dylemat: czy ma to być deser słodki czy też słodki i zdrowy?

Prozdrowotne właściwości dyni są nam wszystkim znane – przede wszystkim wspiera ona serce i wzrok, obniża cholesterol i poprawia trawienie dzięki dużej ilości błonnika. To cudowne warzywo zawiera składniki mineralne, witaminy A, C, E i antyoksydanty. Dynię możemy wykorzystać na wiele sposobów: zrobić zupę krem lub leczo warzywne, dodać do gulaszu mięsnego. W grę też wchodzi purée, które użyjemy do klusek leniwych czy wspaniałego fitsernika. Najczęściej kupujemy dynię hokkaido – cenimy ją za intensywny smak i przepiękny pomarańczowy kolor. Doskonale sprawdzi się również dynia piżmowa. Obydwie odmiany idealnie nadają się do deserów. Dynię należy pokroić na większe kawałki – ósemki, oczyścić z pestek i upiec w piekarniku w temperaturze 200 st. C przez minimum 20 min, a potem ostudzić, obrać ze skóry i zblendować na gładką masę. Tak powstały mus możemy przechowywać w zamrażarce lub zawekować i dodawać do klusek, racuchów, placków czy sernika albo zrobić zupę.

My dzisiaj zaproponujemy sernik. Trochę osłody w te ponure listopadowe dni się nam należy, czyż nie? Dla usprawiedliwienia przepis jest od Oli – naszej trenerki fitness.

Do fitsernika możemy wykorzystać ser trzykrotnie mielony albo gęsty jogurt grecki – wersja bardziej fit. Aby nadać mu wyjątkowego jesiennego smaku i orientalnego aromatu, dokładamy cynamon, kardamon i gałkę muszkatołową. Przyprawy te dodatkowo nas rozgrzeją, a o to przecież chodzi.

Sernik fit może zastąpić nam posiłek, zwłaszcza gdy dodamy do niego trochę odżywki białkowej o smaku waniliowym. Sprawdzi się jako późne śniadanie czy wczesny lunch. Jest bogaty w białko, a jeśli zamiast cukru użyjemy ksylitolu albo erytrytolu, to już bez żadnych wyrzutów sumienia możemy delektować się jego smakiem o każdej porze dnia.

Fitsernik

• 400 g twarogu półtłustego lub ser mielony na sernik • 200 g purée z dyni piżmowej • 2 jajka • 2 łyżki erytrytolu lub ksylitolu • 1 łyżeczka ekstraktu waniliowego • 1 łyżeczka przyprawy do piernika

Wszystko zblendować na gładką masę. Wylać do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia. Piec 45 min w temperaturze 170 st. C.

Po upieczeniu schłodzić w ciągu 2 godzin w lodówce. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mały fiat

Gdy odbieram samochód po przeglądzie gwarancyjnym, siedząc w eleganckim salonie stacji obsługi, nie umiem się opędzić od wspomnień. Chciałam napisać: nie w salonie, ale w warsztacie. Tylko jaki to warsztat? Wokół szkło i aluminium, prężą się najnowsze modele „koreańczyków" (najmodniejsze kolory: zielony i szary), płaci się w terminalu (Ma pani kartę fizyczną? Bo płatności telefonem powyżej 1 tys. zł terminal odrzuca).

Auto odbieram w stanie dziewiczej czystości, w którym w moim przypadku bywa tylko w dniu nabycia.

Jednak nawet pan Marcin ze stacji obsługi, lat trzydzieści parę, rozumie moje rozczulenie na wspomnienie zimowych wieczorów, kiedy sąsiedzi na Stegnach zgodnie taszczyli do domu akumulatory. Nie dało się inaczej – przenocowawszy na mrozie, maluch by nie zapalił. Poza futerałem na akumulator do niezbędnych akcesoriów posiadacza Fiata 126p należał kij od szczotki. Woziłam go w trzech maluchach – aby auto uruchomić, należało nacisnąć kijem na rozrusznik. Silnik zaczynał działać, auto wpadało w dygot, wzbudzając obawę, że samo odjedzie. Ale wymontowanie akumulatora i wmontowanie go z powrotem rano na miejsce było podstawową umiejętnością kierowcy i – jakby niektórzy dziś powiedzieli – kierowczyni. Wtedy pierwszy i ostatni raz wiedziałam, gdzie w samochodzie znajduje się rozrusznik.

Maluch to cała historia PRL – no może pół. Całe rodziny jechały nim na wakacje do Jugosławii (walizki na dachu przywiązane sznurkiem), bez problemu podjeżdżał pod oblodzoną górkę, na której lepsze auta ślizgały się bezradnie. Wszędzie dało się nim dojechać, a parkowało nawet w mysiej dziurze. Bo był to naprawdę kultowy samochód. Żaden chyba inny nie wytworzył takiej legendy, jak to skromne auto, które zdobywało się nie bez trudu, na talony, za dolary, czekając w kolejce, wygrywając odbiór.

Psuło się uporczywie. Posiadanie zaufanego warsztatu, w którym nie każą czekać dwa tygodnie i nie obedrą ze skóry, należało do tajników przetrwania w PRL. Podobnie jak posiadanie znajomej kioskarki odkładającej „Przekrój", znajomość baby z cielęciną, a w niektórych, niezbyt licznych przypadkach posiadanie znajomości w sklepie mięsnym. Na spotkaniach towarzyskich opowieści o przygodach w warsztatach samochodowych zawsze były gwoździem programu. Komuś stare sprzęgło zamienili na jeszcze starsze, komuś po trzech naprawach w stacji obsługi powiedzieli: „Panie, weź se pan to auto i zabierz, ono jest feralne".

No dobra, przeszłość zawsze się koloryzuje. Dzisiaj nie chciałabym jeździć małym fiatem, ale we Włoszech jeszcze jeżdżą. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



DEKAMERONKI

Pociągnę za Ziemkiewicza

JERZY KARWELIS

Dowód niedoprowadzony do końca jest jak fajna piosenka bez refrenu – czegoś tu brakuje, choć zapowiadało się dobrze. Tak jest z tezą postawioną niedawno przez redaktora Ziemkiewicza. Wskazał on bowiem ostatnio na ciekawą zwrotkę w najnowszych piosnkach „uśmiechniętej Polski", ale nie doszedł do refrenu. Otóż redaktor zauważył, że akt oskarżenia przeciwko ministrowi Ziobrze sprowadza się do zarzutu, że ten, realizując pożyteczne zadania ze środków Funduszu Sprawiedliwości, robił to po to, by przysporzyć sobie politycznej popularności.

Groteskowość takich „prawniczych" tez sprowadza się do tego, że tak inkryminowany proceder jest kwintesencją polityki. W końcu spełnianie obietnic spotyka się z wyrazami poparcia wśród ludu wyborczego, który właśnie do tego wynosi do władzy swego ulubieńca. Byłaby to zatem – w nowym wydaniu Żurkowej polityki – prawnicza kara za dowożenie obietnic wyborczych. To, że dotyczy to redystrybucji środków budżetowych do wybranych grup społecznych, czyli korzystania z podatków płaconych przez jednych, by przypodobać się innym, to fakt niezbyt etyczny, ale w takim razie całe państwo (głównie w demokracjach) okazuje się tworem niesprawiedliwym, bo… tym jest polityka każdej ekipy. W końcu wybory to festiwal obietnic partii wobec wybranych grup społecznych, których poparcie kupuje się z kalkulatorkiem w ręku, przeliczając głosy na mandaty dające władzę.

Ale redaktor Ziemkiewicz zatrzymał się akurat w momencie, w którym ta piosenka nabiera tempa. Fakt próby ukarania Ziobry za robienie sobie popularki ze środków publicznych implikuje proces odwrotny, tłumaczący dzisiejsze zachowanie premiera Tuska. Ten – odwrotnie niż Ziobro – obiecał nawet 100 konkretów, z których niewiele dowiózł. Wychodzi, że zrobił to z ostrożności, z obawy przed utratą wolności. No bo jakby dowiózł te obietnice, to wzbudziłby podejrzenia, jak Ziobro. A tak może nie ma zbyt dużego poparcia, ale nie pójdzie siedzieć za niecny proceder zamieniania swych obietnic na popularność.

Należy się więc spodziewać ciekawego państwa, które brakiem kary będzie nagradzać obiecujących, acz nie dowożących polityków. Co ma teraz zrobić suweren obywatel? Jak głosować? Na kogo? Jak w ogóle rozliczać polityków z obietnic, skoro ich spełnianie podpada pod paragraf? A zatem w tym stanie rzeczy, by ocalić swego politycznego ulubieńca, jego wyborca będzie od razu zakładał niedowiezienie jego obietnic? Chyba że woli ich spełnienie, nawet za cenę uwięzienia swego wybrańca? Ciekawe dylematy czekają postżurkowych wyborców… ©℗



#WARTO

Siewcy naukowej paniki

JAN POSPIESZALSKI

Rozszerza się katalog tematów, których poruszenie wywołuje powszechną panikę. Na szczęście nie zawsze i nie wszędzie. Żeby wystąpienie wywołało trzęsienie ziemi, muszą zostać spełnione szczególne warunki. To, że w Internecie jest wielu niezależnych nadawców i „zakazanych" tematów, ośrodki „dystrybucji prestiżu i pogardy" musiały przełknąć. Ale jeśli wystąpienie się odbyło np. na uniwersytecie lub zdobywa popularność w sieci, a głosicielem „nienaukowych" treści jest osoba z tytułem, np. profesor, lekarz lub uznany w „głównym nurcie" dziennikarz, zaczyna się paniczna reakcja.

Do tej pory zakazane było m.in. krytykowanie teorii gender, teorii globalnego ocieplenia, aborcji, polityki wobec COVID-19 i bezpieczeństwa szczepień czy obowiązującej powszechnie historii Zagłady. Dziś, za sprawą prof. Grażyny Cichosz i Bogdana Rymanowskiego, na zakazanej liście tematów ląduje kwestia jakości produktów spożywczych w wielkich sieciach handlowych. Mechanizm oburzenia zwykle jest podobny. Dziennikarze obnażają nienaukowość wygłoszonych treści, tzw. eksperci nadają oburzeniu sankcję naukową, a strażnicy poprawności i akademickiej etyki piszą donosy lub organizują listy autorytetów potępiających daną osobę, żądając natychmiastowego zwołania komisji dyscyplinarnych. W tym czasie wywiad prof. Cichosz notuje oglądalność większą niż huczny sylwestrowy show w Polsacie, nie mówiąc już o TVN.

Ostatnio na zakazanej liście wylądował kolejny temat. Na Wydziale Fizyki i Astronomii UAM w Poznaniu działa Konwersatorium Wiara i Rozum, organizowane wspólnie z duszpasterstwem akademickim i parafią. W ramach konwersatorium zaplanowano wykład o. dr. hab. Michała Chaberka OP. Tytuł „Czy katolik musi być ewolucjonistą? O teologicznych i filozoficznych problemach teorii Darwina" tak bardzo wystraszył jednego z pracowników wydziału, że napisał donos do pani rektor. Dziekan wezwał organizatorów, a ci – broniąc wykładu – zaznaczali, że poglądy prelegentów nie są poglądami wydziału, a uniwersytet w statucie ma zasadę wolności badań naukowych i poszanowanie pluralizmu światopoglądowego. Mimo to rozpoczęły się naciski, by wydarzenie odwołać, a w przededniu „Głos Wielkopolski" zamieścił paszkwil ostrzegający przed pseudonaukowym wykładem. Na szczęście wykład się odbył, cieszył się dobrą frekwencją, jest dostępny na YouTube na kanale Konwersatorium Wiara i Rozum. Historia jednak się nie skończyła, ponieważ ksiądz, współorganizator wydarzenia ma się stawić do kurii przed oblicze abp. Zbigniewa Zielińskiego. Ciekawe, jakie stanowisko zajmie poznańska kuria wobec naukowej interpretacji Księgi Rodzaju. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



ĆWIERKOT

Jak pokolorował drwala?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Mistrzowsko do upowszechniania posłów wziął się redaktor Wojciech Dąbrowski z Polsatu, który rozmawiając ze zdecydowanie za mało znaną Mają Nowak z Polski 2050, pomagał jej, jak mógł, uśmiechem zrozumienia, bo przecież nie politowania, a naprawdę nie miał łatwo, naprawdę nie miał łatwo. Stop. Pytana, czy zagłosuje za uchyleniem immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, posłanka rzekła: „Na pewno zagłosuję za zdjęciem immunitetu, bo wobec prawa każdy powinien być równy bez względu na to, jakie pełni funkcje publiczne, i to nie ulega wątpliwości". Stop. Na co redaktor podstępnie: „To jeszcze dopytam, niedawno był wniosek o uchylenie immunitetu Joannie Musze. Jak pani zagłosowała?". Stop. Na co Maja nasza kochana, z lekko zakłopotanym uśmiechem: „No chyba się pan zgodzi, że to jest inny wniosek, zupełnie inny kaliber sprawy?". Stop. Redaktor zgodził się z tajemniczym uśmiechem. Stop. Inność polega w tym przypadku na tym, że Joanna Mucha jest z partii Hołowni, tak jak nasza Maja kochana. Stop. Słuchając, „bo wobec prawa każdy powinien być równy", Orwell szeptał mi do ucha „Folwarkiem zwierzęcym": „Zwierzęta w ogrodzie patrzyły to na świnię, to na człowieka, potem znów na świnię i na człowieka, ale nikt już nie mógł się połapać, kto jest kim". Stop.

A Konrada Frysztaka z Koalicji Obywatelskiej to państwo znają? Stop. Warto! Dość długi jak na siatkarza (207 cm), ale niespecjalnie hm, jakby to nazwać? No powiedzmy, niespecjalnie tego. Stop. W trakcie wywiadu w rządowym medium poseł ów błysnął: „Zbigniew Ziobro może być przestępcą zaraz potem, jak usłyszy zarzuty". Spanikowany dziennikarz próbował ratować sytuację, mówiąc: „Będzie wtedy podejrzanym". Ale nasz długi nie dał się zbić z pantałyku, ripostując twardo: „Ktoś, kto jest podejrzany, jest już przestępcą". Stop. W krainie Tusko-Żurka mamy najnowszą nowość: ktoś, kto jest podejrzany, jest już przestępcą. Stop. Teraz będzie ciekawe, długi na 2 m i 7 cm Frysztak jest absolwentem prawa. Stop. Teraz będzie jeszcze ciekawsze. Skończył je gdzie? W Radomiu on je skończył. A na jakiej uczelni? Stop. Na Europejskiej Uczelni Społeczno-Technicznej. Stop. Na Europejskiej, w Radomiu. Stop. Ciekawe, jak na egzaminie końcowym pokolorował drwala?

Pewien przestępca, a dokładnie oszust, oskarżył publicznie Dariusza Jońskiego z Koalicji rządzącej, że kupił mu marynarkę, telefon i okulary. Stop. Po tych oskarżeniach Joński zapadł się pod ziemię na kilka dni, a następnie udzielił wywiadu, w którym powiedział, że jego dziecko nie było chrzczone. Stop. Moim zdaniem Joński jest czysty. ©℗



SPODE ŁBA

Prometeusz w okowach?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo niepokojących odkryć dokonał ostatnio amerykański portal Politico. W artykule zatytułowanym „Ciemna strona rządów Zełenskiego" („The dark side of Zelenskyy's rule") autorstwa Jamiego Dettmera znaleźć możemy opinie zaskakujące dla konsumentów serwowanej nam w polskich mediach propagandowej papki. Okazuje się bowiem, że ukraiński kawaler Orderu Orła Białego, przedstawiany dotąd jako charyzmatyczny realizator idei prometejskich, „używa instytucji prawnych do zastraszania oponentów i uciszania krytyków za pomocą oskarżeń o korupcję lub współpracę z Rosją". Oskarżeń – jak twierdzi ukraińska opozycja – sfabrykowanych.

Ofiarą podobnych zabiegów paść miał właśnie dyrektor państwowego koncernu energetycznego Ukrenergo. Zwolniony ze stanowiska przed rokiem oskarżony został o zaniedbania sprzed siedmiu lat i najbliższe miesiące spędzi w areszcie śledczym. Politycy opozycji i międzynarodowi komentatorzy uważają aresztowanie Wołodymyra Kudryckiego za próbę znalezienia „kozła ofiarnego", w sytuacji gdy pod wpływem rosyjskich ataków ukraińska energetyka przestaje funkcjonować. Sam Kudrycki uważa się za ofiarę bezprawnej centralizacji władzy, dokonywanej przez ekipę Zełenskiego. Zdaniem aresztowanego menedżera „dopiero teraz naprawdę skorumpowane osoby dokonają przejęcia publicznej spółki energetycznej".

Podobnie brzmiące zarzuty wobec swojego następcy formułuje były prezydent Ukrainy, Petro Poroszenko. On także oskarżony został o korupcję, co może wyeliminować go z przyszłych wyborów. Polityk zwraca uwagę na „pełzający autorytaryzm" rządów Zełenskiego i próby „usunięcia ze sceny politycznej wszystkich potencjalnych rywali". Podobnego zdania jest cytowany przez Politico były ukraiński minister: „Nowa narracja jest prosta: albo popierasz Zełenskiego, albo jesteś rosyjskim agentem". Jak twierdzą cytowani przez Politico eksperci: „Niektóre części Ukrainy nie zobaczą już pewnie dostaw energii elektrycznej do wiosny. W wielu kijowskich mieszkaniach temperatura spada już do 10 st. C, a miastu grożą wyłączenia energii. Ludzie są z tego powodu wściekli, więc administracja prezydencka na gwałt potrzebuje winnych".

Amerykańscy politolodzy i dziennikarze zaczęli właśnie dostrzegać „niepokojące elementy rządów Zełenskiego". Niczego podobnego nie widzą obserwatorzy znad Wisły albo do takich spostrzeżeń wolą się nie przyznawać. Łuski opadną im z oczu, gdy przyjdzie polecenie skąd trzeba, a takie obserwacje zaczną się „ekspertom" opłacać. ©℗

eprasa.pl cd4abdcfc8



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Ważniejsza niż Kmicic

Mel Gibson zaskoczył wszystkich oczekujących na długo zapowiadaną kontynuację filmu „Pasja". Okazuje się, że w ewangeliczne postacie nie wcielą się te same osoby co 20 lat temu, ale młodsi aktorzy. Najbardziej spośród widzów na całym świecie zaskoczeni poczuli się polscy internauci – oto bowiem reżyser do roli Maryi wybrał Katarzynę Smutniak, aktorkę, która brała udział w zupełnie niechrześcijańskich czarnych protestach. Pozowała do zdjęć z twarzą wymalowaną w dość idiotyczne proaborcyjne hasła, pokazując przy tym środkowy palec zwolennikom niezabijania dzieci (w tym politykom, biskupom), więc i katolikom.

W sieci zawrzało. Wielu poczuło się oburzonych, a nawet urażonych. I ja ten stan doskonale rozumiem. Matka Boża uosabia wszak wszystko, co najlepsze, więc z całą pewnością nie aborcję, feminizm, wulgarność. Liczni polscy wierni skrzyknęli się w komentowaniu, a nawet protestach przeciwko takiej decyzji obsadowej. Niektórzy pisali e-maile do Mela Gibsona.

Rozumiem to oburzenie, mamy prawo protestować w odniesieniu do dzieł kultury, może nam się nie podobać coś, co innym się podoba. Oburzenie to pokazuje wielkie przywiązanie katolików do Matki Bożej, do pierwszego filmu Mela Gibsona oraz to, że istnieje wśród nas wciąż przekonanie, że moralność jest bardzo istotna, a aborcja i jej promowanie to po prostu coś bardzo złego.

Reakcja części polskiego katolickiego Internetu do czerwoności rozgrzała jednak również… media świeckie, lewicowe i ateistyczne. Zawodowi anty-Polacy i antykatolicy naraz rzucili się do wyśmiewania oburzonych, opluwania ich i wyzywania od zaścianków itp. Wszystko to wyszło z ust piewców tolerancji. Nie od dziś wiadomo jednak, że wszystkim wolno oburzać się na wszystko, na przeszłość każdego (patrz: hejt na prezydenta Nawrockiego), ale katolikom nie wolno, bo to obciach na cały świat.

Cóż, przypomnę tylko, że w Polsce już kiedyś – na znacznie większą skalę – było już takie oburzenie z powodu obsady filmu: ponad 50 lat temu, gdy ogłoszono, że Andrzeja Kmicica w „Potopie" zagra Daniel Olbrychski. Wtedy nie chodziło oczywiście o poglądy aktora, lecz o inne sprawy, ale oburzenie było nie mniejsze. Ludzie pisali listy zarówno do telewizji, jak i do samego Jerzego Hoffmana, sugerując zupełnie inne kandydatury. Historia ta wpisała się trwale do annałów polskiego kina, skoro znam ją ja, urodzony kilkanaście lat później.

Bo ludzie mają prawo oburzać się na to, co wzbudza w nich emocje. Kmicic to dla Polaków postać ważna, choć fikcyjna. Ale przecież Matka Boża stoi w hierarchii bytów nieporównanie wyżej niż Sienkiewiczowski bohater. Dlatego oburzenie nie powinno nikogo oburzać. Ale wiadomo, że katolikom w III RP po prostu należy się medialny łomot, więc rytualnie został im spuszczony.

Wspomniałem, że rozumiem szlachetne emocje oburzonych. Rozumiem, ale ich nie podzielam. Gdy sam dowiedziałem się o nowej roli pani Smutniak, mi również zrobiło się przykro, ale z zupełnie innego powodu – otóż jako kinoman po prostu widziałem ją we włoskich filmach bez ubrania, delikatnie to określając. I to sprawia mi znacznie większy dyskomfort w kontekście drugiej „Pasji" niż głupie poglądy i sposób ich wyrażania.

W pierwszej „Pasji" Matkę Chrystusa zagrała Maia Morgernstern – 20 lat później Katarzyna Smutniak jest do niej bardzo podobna. Dużo bardziej niż pani Maia do samej siebie sprzed dwóch dekad. Aktorka z Rumunii zagrała wówczas fenomenalnie, mocno wrywszy się w duszę niejednego chrześcijanina, w tym w moją. Pani Maia pochodzi z żydowskiej rodziny, nie jest katoliczką. Odrzuca więc Chrystusa jako Mesjasza, a to grzech jeszcze donioślejszy nawet niż okropne przecież dzieciobójstwo. Zagrała zaś Matkę Chrystusa w sposób brawurowy. Pieta w jej wykonaniu stała się, jeśli można tak powiedzieć, internetową ikoną. Jej ekranowe cierpienie prowadzi wprost do pobożności związanej z Matką Bożą Bolesną. Odegrane przez nią sceny wczesnego macierzyństwa nadal wzruszają do łez.

Może jeszcze przyjmie Chrystusa jako swego Króla i Pana? Życzę jej tego nie mniej niż Katarzynie Smutniak. ©℗

Katarzynę Smutniak widziałem we włoskich filmach bez ubrania. I w kontekście drugiej „Pasji" to sprawia mi znacznie większy dyskomfort niż głupie poglądy aktorki

eprasa.pl cd4abdcfc8

PODLEGŁOŚĆ



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W USA odbywają się Marsze Niepodległości podobne do tych w Polsce. Żaden nie zostanie skrytykowany, bo w USA niepodległość nadal jest wartością pozytywną. W Europie na odwrót.

W ramach Unii Europejskiej nie ma państw niepodległych. Kraj, który wchodzi do UE, przestaje podejmować suwerenne decyzje – na tym polegają idea Unii, jej istota i jej zasady działania. Na terenie UE koncepcja Święta Niepodległości jest niedorzeczna, nielogiczna, absurdalna – przecież istotą Unii jest unifikacja; unifikacja zarządzana odgórnie z Brukseli, czyli coś odwrotnego do idei suwerennych państw narodowych. Niepodległość istnieje na zewnątrz Unii, natomiast wewnątrz Unii nie ma na nią miejsca. Kto wziął ślub, ten nie może być jednocześnie kawalerem. Zasada jest prosta: albo Unia, albo niepodległość, i nie da się mieć obu rzeczy naraz. I chociaż niektóre państwa należące do Unii są trochę bardziej suwerenne od pozostałych, to nadal nie jest to prawdziwa niepodległość.

***

Kto chce niepodległości Polski, ten jednocześnie chce rozwodu z Unią, nawet jeżeli sobie tego na razie nie uświadamia lub krępuje się o tym mówić na głos. To dlatego Unia krytykuje i zwalcza Marsz Niepodległości. Im nie przeszkadzają żadne konkretne hasła ani transparenty, lecz sama IDEA niepodległości. Dlatego uważam, że nie ma się co powstrzymywać i gryźć w język – nawet najbardziej radykalne okrzyki wznoszone w trakcie Marszu nie pogorszą naszej sytuacji. Gdybyśmy maszerowali w kompletnej ciszy, też musieliby nas zwalczać i opisaliby nas tymi samymi słowami co teraz: nacjonaliści, ksenofoby itd. Dlatego krzycz, ile wlezie, wykrzycz z siebie, co tylko chcesz – żadne zakazane i obrazoburcze hasło nie pogorszy sytuacji. Brukseli przeszkadza niepodległość, a nie jej elementy składowe. Brukseli przeszkadza ogólnie całokształt, a nie detale.

***

Gdy się zastanowić nad epitetem „nacjonalista", to… Czy to jest na pewno słowo obraźliwe? Oni z taką intencją rzucają w nas tym słowem – chcą obrazić. Ale czy ono jest obraźliwe? Ja się nie obrażam. Kocham Polskę, nie kocham Niemiec. Kocham żonę, nie kocham sąsiadki. Jestem lokalnym patriotą, więc chwalę Kociewie i robię sobie żarty z Kaszubów. NORMALNE, nic w tym złego ani dziwnego.

A „ksenofob"? W obecnych czasach to jest moim zdaniem komplement. Ksenofob nie chce na swoim terenie ludzi obcych rasowo i kulturowo, bo odbiera ich jako zagrożenie. I nie wyssał sobie tego zagrożenia z palca, lecz widzi, co się dzieje w innych krajach. Czyli np. nie chce Murzynów i muzułmanów osiedlających się w Polsce, bo się zwyczajnie boi negatywnych skutków. Obawa i zapobieganie negatywnym skutkom to nic złego.

Ponadto ja tak po prostu i zwyczajnie nie chcę czarnych taksówkarzy, bo jestem biały, urodziłem się w białym kraju i pasuje mi koncepcja „Afryka-nie do Afryki, Azjaci do Azji". To nawet nie jest kwestia rasowa, lecz ESTETYCZNA. Mam swój gust i to nie jest powód, by mnie nazywać złym człowiekiem. Rozmawiamy o kolorach (skóry), o kształcie oczu (skośne), o tym, że ja wolę, gdy ekspedientka w sklepie mówi do mnie bez obcego akcentu. Jeden lubi herbatę, drugi kawę i tyle. A ja lubię Polskę taką jak ta, w której się wychowałem, czyli z kościołami katolickimi i bez meczetów. Za to gdy pojadę na wycieczkę do Maroka, meczety mi się podobają bardzo, ale TAM, a nie tu.

***

Przed drugą wojną światową popularnym hasłem w Polsce było: „Żydzi na Madagaskar". Skandowane na marszach, rozlepiane w formie plakatów i z powodu tego hasła byliśmy oskarżani o antysemityzm. W tym samym czasie syjoniści zachęcali swoich braci Żydów, by wyjechać z Polski i osiedlić się w Palestynie, co w ostateczności doprowadziło do powstania Państwa Izrael. Oba te hasła nawoływały do wyjazdu z Polski w celu znalezienia lepszego życia w nowym miejscu. W dodatku wtedy Rzeczpospolita Polska planowała zakup wyspy Madagaskar od Francji, czyli hasło „Żydzi na Madagaskar" było propozycją bardziej przyjazną niż namawianie Żydów do osiedlenia się pośród wrogich plemion arabskich w Palestynie.

***

Niepodległość po wejściu do UE utraciliśmy nie tylko my. Zjawisko jest powszechne. Przykład: w Hiszpanii sady pomarańczowe idą pod topór, bo mają zrobić miejsce na panele słoneczne. A do tego Unia zarządziła import pomarańcz z RPA, Egiptu i Brazylii, który obniżył cenę cytrusów, i tradycyjne uprawy w Europie się nie opłacają. Projekt instalacji paneli na 280 ha oznacza wycięcie 126 tys. drzew cytrusowych dających ponad 5 mln kg owoców rocznie. Żyzne ziemie, gdzie był sad, zostaną przykryte plastikiem paneli, podczas gdy w tym samym regionie jest 25 tys. ha nieużytków rolnych. Unia Europejska to cywilizacja śmierci – żyzne ziemie i sady zniszczyć panelami, a nieużytki zostawić. Krok za krokiem śmierć głodowa.

***

Niepodległość utraciliśmy nie tylko my. Zjawisko jest w Europie powszechne. Kto do UE należy, ten nie podejmuje decyzji suwerennych. Są jakieś wyjątki? Niepodległa jest Turcja, bo nie należy do UE. Szwajcaria jest otoczona Unią, więc podlega jej w sporym zakresie. Orbán się broni na Węgrzech, ale aby się bronić, musi jednocześnie kolaborować i oddawać trochę pola.

Niemcy wydają rozkazy i budują IV Rzeszę Niemiecką na terenach podbitych tym razem nie za pomocą wojen światowych i wojska, lecz za pomocą machin urzędniczych z Brukseli. Państwo niemieckie wydaje w Unii rozkazy, ale… samo podlega własnym rozkazom, a zatem nawet Niemcy tracą suwerenność, gdy Unia wymusza jakieś rozwiązania, np. na katolikach z Bawarii. Nikt, kto jest w UE, nie może być niepodległy – system unijny na to nie pozwala. ©℗

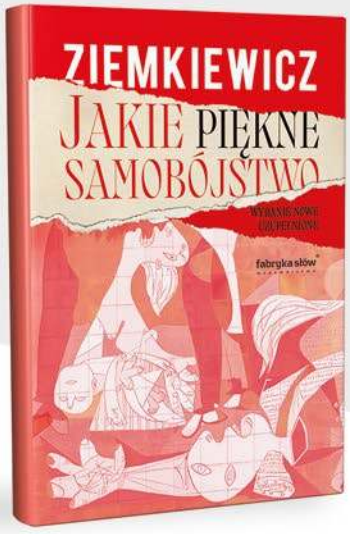
eprasa.pl cd4abdcfc8

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: „JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1291 ZŁ~~

544,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 747 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd4abdcfc8

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl cd4abdcfc8